POMOC MOŻE NADEJŚĆ Z NAJMNIEJ OCZEKIWANEJ STRONY...

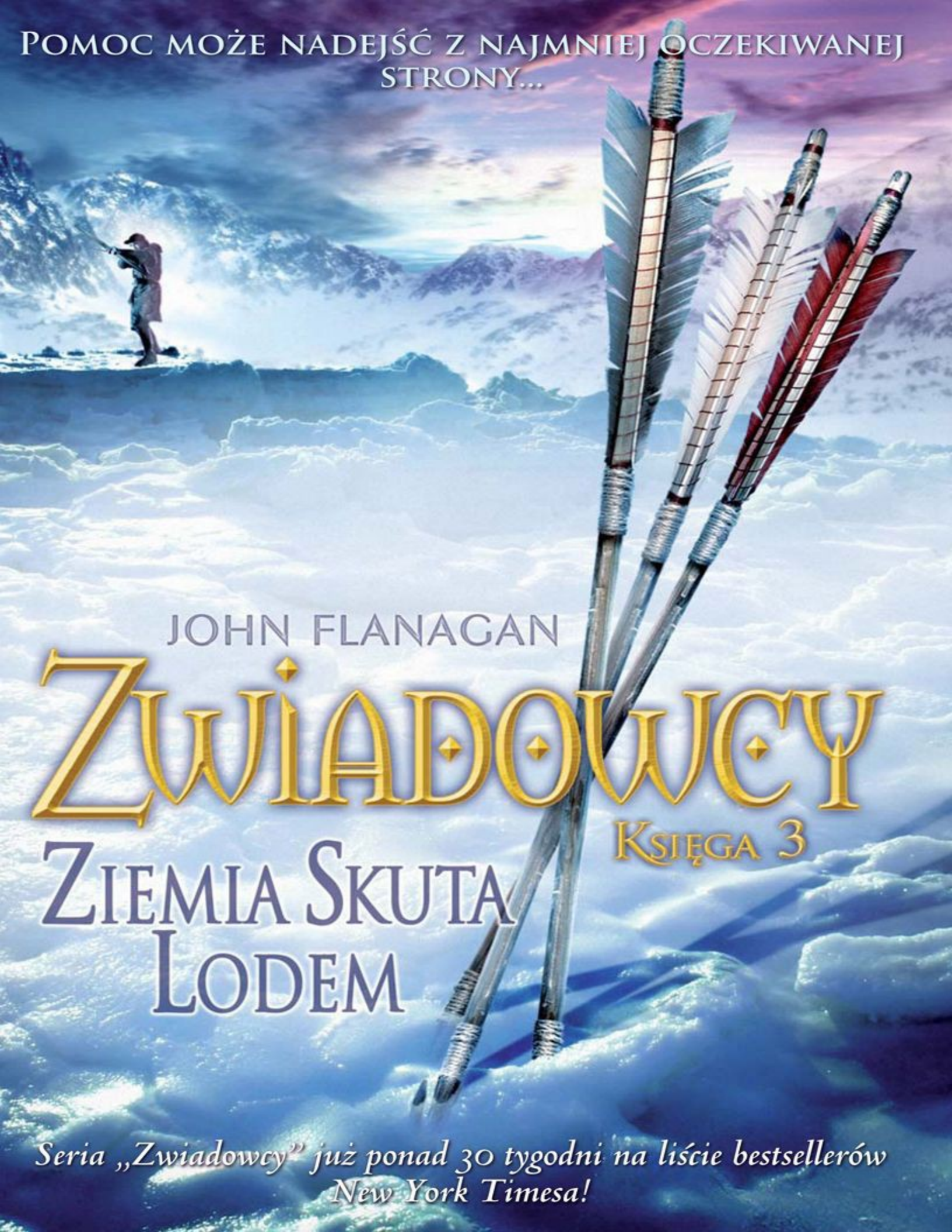

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 3

ZIEMIA SKUTA LODEM

Seria „Zwiadowcy" już ponad 30 tygodni na liście bestsellerów New York Timesa!

JOHN FLANAGAN

Zwiadowcy

Księga 3

Ziemia Skuta Lodem

Tłumaczenie
Stanisław Kroszczyński

Jaguar

Tytuł oryginału: *Rangers Apprentice. The Icebound Land*
First published by Random House Australia Pty Limited, Sydney, Australia This edition published by arrangement with Random House Australia Wydanie pierwsze w tej edycji, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2011

Skład i łamanie: EKART
Redakcja: Julia Holewińska
Korekta: Aneta Szeliga

ISBN 978-83-7686-092-3

Copyright © John Flanagan 2005
All rights reserved.

Cover illustration by Jeremy Reston
Cover design & illustration © www.blacksheep-uk.com
All rights reserved.
Copyright for the Polish edition © 2011 by Wydawnictwo Jaguar

Książka dla czytelników w wieku 11 +

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar s.j.
ul. Kazimierzowska 52 lok. 104
02-546 Warszawa
www.wydawnictwo-jaguar.pl

Wydanie pierwsze w wersji ebook
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2011

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Epilog

Link

Dla Penny,
która tak wysoko umieściła poprzeczkę

ARALUEN
i kraje sąsiednie
ROK 643 WSPÓLNEJ ERY
Morze Lodowe
Pustkowia Północy
Las Szarego Wschodu
OCEAN ZACHODNI
SKANDIA
Hallasholm
STEPY WSCHODU
SONDERLAND
Morze Białych Sztormów
Skorgbijl
TEUTONIA
PICTA
Zamek Araluen
Morze Wąskie
La Rivage
Montsombre
ALPINA
ARALUEN
GALLIA
CELTIA
IBERION
TOSCANO
ASLAVA
OCEAN BEZMIERNY
Morze Spokojne
Morze Rostowskie
N

Wilczy okręt znajdował się już zaledwie o parę godzin drogi od Przylądku Schronienia, gdy trafił na potężny sztorm.

Dotąd przez trzy dni żeglowali na północ w kierunku Skandii morzem spokojnym jak kacza sadzawka – co bardzo odpowiadało Willowi i Evanlyn.

– Nie jest tak źle – stwierdził Will, gdy wąski okręt przecinał gładko fale. Nasłuchał się ponurych opowieści o tym, jak bardzo choroba morska może dać się we znaki. Jednak to łagodne kołysanie okazało się zupełnie niegroźne.

Evanlyn skinęła głową, choć bez przekonania. Nie miała zbyt wielkiego doświadczenia w żeglowaniu, ale zdarzało jej się pływać już statkiem.

– Jest nieźle, o ile nie będzie gorzej – stwierdziła. Nie przypadły jej do gustu zaniepokojone spojrzenia, jakie rzucał ku północnej stronie Erak, kapitan okrętu. Ponaglał także wioślarzy „Wilczego wichru", by podwoili wysiłki. Doświadczony wilk morski wiedział bowiem, że taki złudny spokój zwiastuje rychłą zmianę pogody, rzecz jasna – na gorsze. W oddali, na samym horyzoncie, widział już tworzącą się ciemną linię sztormu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zdołają na czas opłynąć Przylądku Schronienia i wylądować, burza uderzy w nich z całą siłą. Przez kilka minut dokonywał

oceny odległości, porównując prędkość, z jaką poruszał się jego okręt z szybkością pędzących chmur.

– Nie damy rady – rzekł wreszcie do Svengala. Zastępca pokiwał głową.

– Na to wygląda – stwierdził ze stoickim spokojem.

Erak rozejrzał się uważnie, sprawdzając, czy po pokładzie nie wala się jakiś ekwipunek, który należałoby zabezpieczyć. Jego spojrzenie spoczęło na dwojgu więźniach, którzy przycupnęli na dziobie.

– Dobrze byłoby przywiązać tych dwoje do masztu – polecił. – Trzeba też lepiej umocować wiosło sterowe.

Will i Evanlyn zauważyli, że Svengal zmierza w ich stronę, a w ręce trzyma zwój konopnej liny.

– O co chodzi? – zdziwił się Will. – Chyba nie myślą, że na pełnym morzu zechcemy próbować ucieczki?

Svengal zatrzymał się jednak przy maszcie, po czym naglącym gestem dał im znak, żeby się zbliżyli. Jeńcy z Araluenu wstali i niepewnym krokiem ruszyli w jego stronę. Will zauważył, że kołysanie okrętu nieco się wzmogło, powiało też trochę mocniej. Teraz już trudniej mu było utrzymywać równowagę na pokładzie. Usłyszał za sobą głos Evanlyn, która rzuciła całkiem niegodne damy przekleństwo, bowiem potknęła się i uderzyła boleśnie w kostkę.

Svengal wydobył z pochwy szeroki nóż i odciął dwa spore kawałki sznura.

– Przywiążcie się do masztu – rozkazał. – Lada chwila rozpęta się istne piekło, burza nad burze.

– Chcesz powiedzieć, że wichura może nas zwiać z pokładu? – spytała Evanlyn z niedowierzaniem. Svengal zauważył kątem oka, że Will przywiązał się sprawnie do masztu, wykonując porządny podwójny węzeł. Dziewczyna nie bardzo sobie radziła, więc Svengal wziął od niej linę i przewiązał Evanlyn w talii, tak że po chwili i ona była już bezpiecznie umocowana.

– Możliwe – odpowiedział na jej pytanie. – Grozi wam raczej, że fale was z niego zmyją.

Twarz chłopca pobladła.

– Chcesz powiedzieć, że fale mogą naprawdę wtargnąć na pokład?

Svengal obdarzył go ponurym uśmiechem.

– A mogą, mogą. I to jak – odrzekł, po czym pozostawił ich samym sobie i ruszył, by pomóc Erakowi na rufie, gdzie kapitan uwiązywał już ogromne wiosło.

Will aż zaniemówił z wrażenia. Dotąd przypuszczał, że taki okręt unosi się na grzbietach fal jak mewa. Teraz jednak dowiedział się, że najprawdopodobniej rozszalałe morze będzie przelewać się przez jego pokład. Jeśli tak, to jakim cudem zdoła utrzymać się na powierzchni?

– O Boże… co to takiego? – szepnęła Evanlyn, spoglądając na północ. Wąska czarna linia, którą Erak niedaw- – a -no dostrzegł na horyzoncie, stała się teraz potężną masą skłębionych czarnych chmur, odległą od nich zaledwie o ćwierć kilometra i pędziła ku nim prędzej niż galopujący koń. Oboje przycupnęli, starając się objąć ramionami sosnowy maszt u samej jego podstawy, wpijając się w niego kurczowo palcami.

A potem słońce znikło i rozpętał się sztorm.

Już samo uderzenie wichru zaparło Willowi dech w piersiach. Dosłownie. Z takim wiatrem jeszcze nigdy nie miał do czynienia. Była to dzika, nieokiełznana potęga żywiołu, szalejąca wokół niego, ogłuszająca, oślepiająca i wyduszająca powietrze z płuc, nie pozwalając przy tym zaczerpnąć tchu; wicher smagał go i usiłował zmusić do rozluźnienia uchwytu. Zacisnął oczy, starając się odetchnąć choć trochę głębiej i desperacko trzymając się masztu. Pośród wycia wichury dosłyszał krzyk Evanlyn i poczuł, że dziewczyna zaczyna się od niego oddalać. Chwycił ją na oślep za rękę i przyciągnął do siebie.

Pierwsza potężna fala uderzyła w dziób wilczego okrętu, a wówczas jego pokład uniósł się pod niebezpiecznie stromym kątem, następnie zaś okręt jakby stanął na chwilę w miejscu, po czym zaczął zsuwać się – w dół i do tyłu! Svengal oraz Erak wykrzykiwali coś do wioślarzy. Ich głosy porwał wiatr, ale siedzący tyłem do dzioba marynarze zrozumieli. Naparli na wiosła, tak że drewniane rękojeści niemal wygięły się od wysiłku i ruch wsteczny z wolna ustał. Okręt zaczął poruszać się ku górze, wspinając się wyżej i wyżej na grzbiet fali, jednak dość wolno i Will zdał sobie sprawę, że jeszcze chwila, a znów rozpocznie się ta przerażająca jazda w tył.

Jednak właśnie w tej chwili grzbiet fali przełamał się i runęły na nich z góry całe tony wody, przygniatając okręt swym ciężarem, ciskając nim i przechylając na prawą burtę tak silnie, iż wydawało się, że „Wilczy wicher” nie zdoła się już nigdy wyprostować. Will wrzasnął w zwierzęcym

przerażeniu, lecz w następnej chwili jego krzyk stłumiła lodowata słona woda, która uderzyła z potworną siłą, wypełniając jego usta i płuca. Nie zdołał utrzymać się masztu, fala rzuciła go na pokład i poniosła ze sobą, dopóki nie zatrzymała go napięta lina, a wówczas woda miotała nim w tę i we w tę, dopóki nie przelała się cała jej masa. Leżał teraz na deskach pokładu jak wyłowiona ryba, a okręt tymczasem powoli odzyskiwał równowagę. Obok siebie ujrzał Evanlyn. Popełzli oboje do masztu, by znów uchwycić się go z całej siły.

Okręt tymczasem wyprostował się zupełnie, ale już w następnej chwili jego dziób zanurkował do przodu, po czym „Wilczy wicher" z oszałamiającą prędkością popłynął w dół po drugim zboczu fali, tak że żołądki aż podeszły im do gardeł; znów krzyczeli w nieopanowanym przerażeniu.

Dziób okrętu wbił się w wodę, rozcinając ją z taką siłą, że rozbryzgi uniosły się wysoko, by w następnej chwili runąć z góry na pokład. Jednak nie uderzyły ich z takim impetem jak nacierająca fala i tym razem oboje zdołali utrzymać się masztu. Woda sięgała im do pasa, ale spłynęła szybko i smukły wilczy okręt jakby otrząsnął się z jej ciężaru.

Pośród rzędów wioślarzy uwijali się już wojowie z drugiej zmiany, wylewając wodę wiadrami. Erak i Svengal, którzy znajdowali się na najbardziej wystawionej na fale części pokładu, także przymocowali się zawczasu linami po obu stronach sztormowego wiosła sterowego, jakiego używano w podobnych okolicznościach – było ono o połowę większe od zwykłych wioseł. Dzięki dłuższemu drzewcu sternik mógł napierać z większą siłą, pomagając w ten sposób wioślarzom przy skręcie. Teraz jednak, podczas sztormu, trzeba było aż dwóch rosłych mężczyzn, by móc nim poruszyć.

Gdy znaleźli się w dolinie pomiędzy wodnymi masywami, wiatr nieco zelżał. Will otarł piekące od soli oczy, następnie zaczął kaszleć, a w końcu zwymiotował słoną wodą na pokład. Pochwycił przerażone spojrzenie Evanlyn. Przemknęło mu przez myśl, że powinien coś uczynić, by podnieść ją na duchu, jednak nie był w stanie nic powiedzieć ani zrobić. Po prostu nie mieściło mu się w głowie, żeby ten okręt był w stanie wytrzymać choćby jeszcze jeden napór potężnej fali.

A następna fala właśnie nadciągała. Była jeszcze potężniejsza od poprzedniej. Odległa o kilkaset metrów, podążała ku nim z rykiem,

wznosząc się nad nimi, coraz bliżej. Przewyższała wysokością mury Zamku Redmont. Will przycisnął twarz do masztu, widząc kątem oka, że Evanlyn czyni to samo, gdy okręt znów zaczął wspinać się mozolnie po wodnej pochyłości.

Wznosili się tak i wznosili, wdzierając się po stromiźnie fali; wioślarze napierali z całych sił na drzewca wioseł, usiłując przeciwstawić się połączonym siłom wiatru i morza. Tym razem, zanim nawet fala ich zalała, Will był pewien, że jeszcze chwila i okręt poniesie klęskę w tym starciu, bowiem znowu zaczął zsuwać się do tyłu, ku pewnej zgubie. Jednak wówczas fala przełamała się i runęła na nich z całą swą potęgą. Masa wody znów cisnęła nim o pokład. Chwycił się kurczowo zbawczej liny, ale w tej samej chwili coś silnie uderzyło go w usta: zdał sobie sprawę, że był to łokieć Evanlyn. Woda przelała się nad nim z hukiem, potem dziób znów zanurkował, a „Wilczy wicher" z oszałamiającą prędkością popędził w dół, prując wodę niczym lądująca kaczka. Willowi nie starczyło już sił, by krzyczeć. Jęknął tylko i podczołgał się z powrotem do masztu. Popatrzył na Evanlyn i potrząsnął głową. Był przekonany, że czegoś takiego żadnym sposobem nie zdołają przetrwać. W jej oczach dostrzegł takie samo bezmierne przerażenie.

Podczas gdy okręt pędził w dół, znajdujący się na rufie Erak i Svengal trzymali z całych sił drzewce wiosła; strugi wody wznosiły się wysoko po obu bokach, a cały okręt aż drżał od naprężeń. Zakołysał się, otrząsnął – i znów odzyskał równowagę.

– Nieźle się spisuje! – krzyknął Svengal. Erak przytaknął ruchem głowy, ale minę miał niewesołą. Choć Will i Evanlyn przeżywali sztorm, jakby nadchodziły ich ostatnie chwile, wilcze okręty dostosowane były do żeglugi nawet w tak skrajnych warunkach. Jednak także i one miały swoje ograniczenia, toteż Erak wiedział doskonale, że jeśli nie zmieni taktyki, nikt ze znajdujących się na pokładzie nie ujdzie z życiem.

– Tym razem mało brakowało – odparł ponuro.

Jedynie dzięki rozpaczliwemu wysiłkowi wioślarzy, którzy zdołali przeprowadzić okręt przez grzbiet fali, nie zsunął się on tyłem w wodną przepaść.

– Musimy zawrócić i pozwolić, żeby sztorm nas niósł – stwierdził, a Svengal skinął głową, wpatrując się przed siebie i mrużąc oczy od wiatru

oraz kropelek słonej wody. – Po następnej fali, do dzieła! – zakomenderował dowódca.

Kolejna fala była trochę mniejsza od kolosa, który o mało ich nie zmiażdżył, ale i tak okazała się gigantyczna. Obaj Skandianie znów pochwycili z całych sił drzewce wiosła sterowego.

– Napierać, do wszystkich diabłów! Mocniej! – wrzeszczał Erak na wioślarzy, gdy nadszedł kolejny wodny wał, a „Wilczy wicher" po raz trzeci rozpoczął niebezpieczną, morderczą wspinaczkę.

– O, nie! Proszę, niech to się już skończy – jęknął głucho Will, gdy pokład znów się uniósł. Niedające się opanować przerażenie wyczerpywało niczym ogromny fizyczny wysiłek. Marzył już tylko, żeby było po wszystkim. Jeśli nie da się inaczej, trudno, niech okręt zatonie. Mniejsza o wszystko inne. Tylko niech to się już wreszcie skończy. Byle tylko uwolnić się od tego przytłaczającego lęku. Opodal słyszał Evanlyn, która szlochała ze strachu. Otoczył ją ramieniem, ale nic więcej nie był w stanie zrobić, żeby dodać jej otuchy.

Wznosili się i wznosili, aż rozległ się znajomy już ryk przełamującego się grzbietu fali, po czym jeszcze raz zalała ich woda, by spłynąć, nim kadłub okrętu opadnie z hukiem na drugie zbocze fali, pędząc w dół. Will chciał krzyknąć, ale ze ściśniętego gardła chłopca wydobył się tylko jakiś nieartykułowany, cichy odgłos.

„Wilczy wicher" po raz trzeci znalazł się w dolinie u stóp fali. Erak zaczął wykrzykiwać rozkazy. Musieli zdążyć przed najsilniejszym porywem wiatru i przed nadejściem kolejnej fali; w ciągu tych rozpaczliwie krótkich chwil musieli wykonać zwrot.

– Na sterburtę! – ryknął, pokazując jednocześnie kierunek ręką na wypadek, gdyby jego głos nie dotarł do wioślarzy siedzących na przodzie okrętu, choć trudno było sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł go nie dosłyszeć.

Wioślarze zaparli się stopami o drewniane ławy. Pióra wioseł uniosły się; ci, którzy znajdowali się na sterburcie, czyli po prawej stronie, przyciągnęli drzewca jak najdalej w tył, przygotowując się do wiosłowania w odwrotnym niż dotąd kierunku; żeglarze siedzący na bakburcie przeciwnie, pchnęli je przed siebie. Gdy pokład okrętu wyrównał się, Erak wrzasnął na całe gardło:

– Teraz!

Wiosła zanurzyły się w morzu, załoga jednej burty wiosłowała w przód, drugiej w tył, a Erak i Svengal napierali z całej siły na wiosło sterowe. Długi, wąski okręt odwrócił się zwinnie, niemal w miejscu, wystawiając rufę na uderzenie morza i wiatru.

– Teraz wszyscy razem, ciągnąć! – ryknął znów Erak, a wioślarzom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Doskonale zdawali sobie sprawę, że od tego wysiłku zależy ich los, w przeciwnym wypadku masy wody po prostu ich pochłoną. Erak rzucił przelotnie okiem na dwójkę araluеńskich jeńców czepiających się desperacko masztu i w następnej chwili zapomniał o nich, skupiając całą uwagę na ruchach okrętu oraz pilnując, by przez cały czas był ustawiony idealnie tyłem do wiatru. Najmniejszy błąd groził odpadnięciem w bok i przewróceniem, co oznaczałoby nieuchronny koniec. Z wiatrem płynęło się łatwiej, ale nie mógł pozwolić sobie na jedną chwilę nieuwagi.

Z punktu widzenia Willa i Evanlyn okręt nadal wznosił się i opadał w przerażającym tempie, pokonując różnice wysokości sięgające dobrych piętnastu metrów. Jednak teraz nie było aż tak trudno nad nim zapanować, gdyż okręt dał się nieść szalejącym żywiołom, miast podejmować z nimi beznadziejną walkę. Co prawda, wciąż w regularnych odstępach uderzały w nich masy wody i obryzgiwała słona piana, ale przynajmniej „Wilczy wicher" już nie cofał się ku zgubie w wodnej przepaści. Przekonawszy się, że okręt radzi sobie z kolejnymi wodnymi masywami przepływającymi pod nim i wokół niego, w duszy Willa zaświtał cień nadziei: być może mieli jednak nikłą szansę na przeżycie.

Być może. Jednak z nadejściem każdej zalewającej ich fali czuł ten sam chwytający za trzewia, obezwładniający lęk. Za każdym razem zdawało mu się, że właśnie ta fala może być ostatnią. Objął Evanlyn obiema rękami, poczuł, że i jej ramiona chwytają go, lodowaty policzek dotknął jego twarzy. Jedyną pociechą dla każdego z nich była obecność drugiego. Evanlyn aż skomlała ze strachu i Will z niejakim zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że robi dokładnie to samo – mruczy pod nosem jakieś bezsensowne słowa, wzywa Halta, woła Wyrwija… kogokolwiek, kto mógłby go wysłuchać i mu dopomóc. Jednak gdy fala po fali przewalały się, a „Wilczy wicher" był wciąż cały, obezwładniająca groza ustępowała miejsca nerwowemu wycieńczeniu. W końcu zdołał usnąć.

Jeszcze przez siedem dni okręt płynął wraz z burzą na południe, opuszczając Morze Wąskie, by znaleźć się w końcu na obrzeżach Oceanu Bezmiernego. Will i Evanlyn leżeli skuleni u stóp masztu: przemoczeni, wycieńczeni i przemarznięci do szpiku kości. Lęk przed mogącą nastąpić w każdej chwili katastrofą nie opuścił ich, lecz stopniowo powróciła wiara w możliwość przeżycia.

Ósmego dnia zza chmur wyłoniło się słońce, zaświeciło blado i przez mgłę. Gwałtowne kołysanie ustało, okręt znów sunął gładko po powierzchni.

Śmiertelnie znużony Erak, którego broda oraz włosy białe były od soli, przesunął potężne drzewce steru. Okręt zatoczył łagodny łuk, na powrót kierując się w północną stronę.

– Płyniemy do Przylądku Schronienia – oznajmił załodze.

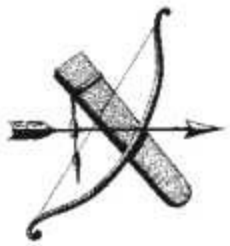

Halt stał bez ruchu, niewidoczny na tle pnia potężnego dębu, spoglądając, jak bandyci wybiegają z leśnego gąszczu i otaczają karetę.

Zwiadowca był całkowicie odsłonięty, ale nikt go nie widział. Częściowo dlatego, że rabusie zajęci byli swymi ofiarami – bogatym kupcem i jego małżonką. Ci zaś mieli co innego na głowie niż rozglądać się dookoła, gdy pośrodku polany ich powóz otoczyła zgraja uzbrojonych bandytów.

Pozostawał niezauważony dzięki ochronnym barwom płaszcza i kaptura rzucającego cień na jego twarz, a nade wszystko dlatego, że stał w absolutnym bezruchu. Jak wszyscy zwiadowcy, Halt posiadł sekret wtapiania się w otoczenie i nie sposób było go dostrzec, nawet gdy ktoś patrzył prosto na niego.

„Uwierz, że jesteś niewidzialny, a nikt cię nie zobaczy" – głosiło powiedzenie zwiadowców.

Spomiędzy drzew wyłoniła się barczysta postać w czerni. Oczy Halta zwęziły się na krótką chwilę, a potem zwiadowca westchnął bezgłośnie. Jeszcze jeden fałszywy trop – pomyślał.

Mężczyzna był odrobinę podobny do Foldara, czyli człowieka, którego Halt ścigał od zakończenia wojny z Morgarathem. Foldar był jednym z renegatów, którzy przyłączyli się do Morgaratha, i jego zaufanym

zastępcą. Gdy zbuntowany możnowładca padł w boju, a jego armia człekopodobnych, okrutnych wargalów poszła w rozsypkę, on zdołał umknąć.

Jednak Foldar nie był bynajmniej bezrozumną bestią. Przeciwnie, zaliczał się do istot ludzkich szczególnie przebiegłych i wyrachowanych – a przy tym całkowicie i doszczętnie przesiąkniętych złem. Wywodził się z araluеńskiego rodu szlacheckiego i już jako młodzieniec zamordował oboje rodziców, a to z powodu sporu o pewnego wierzchowca. Uciekł przed wymiarem sprawiedliwości w Góry Deszczu i Nocy, gdzie Morgarath rozpoznał w nim bratnią duszę i przyjął do swego grona. Teraz był ostatnim pozostałym przy życiu zausznikiem złowrogiego władcy, toteż pojmanie go i osądzenie stało się najważniejszym zadaniem, jakie król Duncan wyznaczył swym wojskom.

Kłopot polegał jednak na tym, że nagle, jak grzyby po deszczu, zaczęli się pojawiać rozmaitego autoramentu złoczyńcy udający Foldara. Najczęściej byli to zwykli bandyci, tacy jak ten. Posługiwali się wywołującym grozę imieniem i korzystali ze złowrogiej reputacji byłego zausznika Morgaratha. Dzięki temu budzili lęk u swych ofiar i zyskiwali posłuch pośród sobie podobnych. Gdy tylko pojawiał się któryś z nich, Halt i inni zwiadowcy musieli tracić czas na ich tropienie. Czuł, jak z wolna rozpala się w nim gniew na myśl, że musi trwonić siły na wyłapywanie tych uciążliwych, ale w gruncie rzeczy drobnych złodziejaszków. Halt miał bowiem ważniejsze sprawy do załatwienia. Złożył obietnicę i zamierzał jej dotrzymać, tymczasem tacy nędznicy skutecznie mu to uniemożliwiali.

Rzekomy Foldar zatrzymał już karocę. Czarny płaszcz z wysokim kołnierzem przypominał nawet ulubiony strój Foldara. Tyle że prawdziwy Foldar zaliczał się do wyjątkowych elegantów, toteż nosił płaszcz z nieskazitelnie czarnego aksamitu i jedwabiu, tymczasem ten tutaj miał na sobie zwykłe wełniane okrycie, kiepsko ufarbowane i w dodatku pokryte łatami w wielu miejscach. Kołnierz wykonany był z nieudolnie ubarwionej skóry.

Nie lepiej prezentowało się nakrycie głowy należące do herszta, było wymięte i zniszczone, a przyozdabiające je pióro czarnego łabędzia zgięte w połowie; prawdopodobnie usiadł na nim jakiś nieuważny bandyta. Zbójca odezwał się, usiłując naśladować sarkastyczny sposób wysławiania

się Foldara, ale zarazem słychać było, że nie zdołał się wyzbyć prostackiego, wiejskiego akcentu i robił błędy gramatyczne.

– Zechciejcie wysiąść z powozu, dobry panie i ty, łaskawa damo – rzekł, składając niezdarny pokłon. – I nie lękaj się, szanowna jejmość, bowiem szlachetny Foldar nigdy nie zrobiłby krzywdy takiej ślicznotce – rzekł i wydał z siebie coś, co zapewne miało być śmiechem złowieszczym i pełnym ironii, a zabrzmiało niczym kurze gdakanie.

„Łaskawej damie" daleko było do ślicznotki. Była to jejmość w średnim wieku, otyła i nader pospolita – pomyślał Halt, uśmiechając się ponuro – ale to jeszcze nie powód do takiego traktowania. Kobieta cofnęła się w głąb powozu, krzycząc ze strachu na widok czarnej sylwetki napastnika. „Foldar" podszedł bliżej, teraz już nie bawił się w piękne słówka:

– Jazda, paniusiu, wysiadać! – wrzasnął. – Bo jak nie, utnę twojemu mężulkowi uszy!

Jego prawa dłoń spoczęła na rękojeści długiego puginału przytroczonego do pasa. Niewiasta znów krzyknęła i usiłowała zaszyć się we wnętrzu karocy, a tymczasem jej mąż, nie mniej przerażony i widocznie przywiązany do swych uszu, próbował ją popchnąć w stronę drzwiczek.

Dosyć tego – uznał Halt. Upewnił się, że nikt nie spogląda w jego stronę, nałożył strzałę na cięciwę, naciągnął łuk i podczas tego samego płynnego ruchu wycelował i wypuścił strzałę.

„Foldar", który tak naprawdę nazywał się Rupert Gubblestone, poczuł, że coś świsnęło tuż przed jego nosem i w tej samej chwili poczuł potężne szarpnięcie za podniesiony kołnierz płaszcza. Strzała przygwoździła go do ściany karocy. Szarpnął się, stracił równowagę, ale nie upadł, bo za szyję podtrzymał go własny kołnierz, który teraz zaczął go dławić.

Pozostali bandyci odwrócili się w stronę, z której nadleciała strzała, a Halt postąpił krok na bok od drzewa. Jednak zdumionym rabusiom wydało się, że wyszedł z pnia potężnego dębu.

– Jestem królewskim zwiadowcą! – zawołał. – Rzućcie broń.

Było ich dziesięciu, wszyscy uzbrojeni. Jednak ani jednemu z nich nie przyszło do głowy, że mogliby nie posłuchać rozkazu. Noże, miecze i maczugi upadły na ziemię. Przecież dopiero co na własne oczy widzieli jedną z czarodziejskich sztuk zwiadowców: oto złowroga postać pojawiła się znikąd, wyszła z pnia żywego drzewa. Nawet teraz dziwny płaszcz

zwiadowcy zlewał się z otoczeniem, tak że trudno było skupić na nim wzrok. Jeśli ktoś przypadkiem nie wierzył w czary, istniał też całkiem namacalny powód, by się poddać – potężny, długi łuk, gotowy już był do oddania kolejnego strzału.

– Wszyscy na ziemię, brzuchami do dołu! Ale już! – jego głos zabrzmiał jak chlaśnięcie biczem.

Rabusie rzucili się, by wykonać rozkaz.

– Nie, ty nie! – Halt wskazał palcem na młodego chłopaka o brudnej twarzy. Właściwie był to dzieciak, nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat. – Ty pozdejmuj im pasy i zwiąż ręce na plecach.

Przerażony chłopak kilka razy skinął skwapliwie głową i pochylił się nad jednym ze swych leżących plackiem na ziemi towarzyszy. Zamarł, słysząc znów głos Halta:

– Tylko porządnie! – zawołał zwiadowca. – Jeżeli zobaczę jeden luźny węzeł… – Halt zawahał się na ułamek sekundy, by dobrać stosowną groźbę – …zamknę cię w pniu tego dębu.

To powinno wystarczyć – pomyślał zwiadowca. Wiedział doskonale, jakie wrażenie wywarł na tych niedouczonych prostakach, pojawiając się niespodziewanie i – na pozór – znikąd. Stosował już tę sztuczkę wiele razy. Widząc, jak nieszczęsny chłopak pobladł ze strachu, zrozumiał, że poskutkowała i tym razem. Mógł więc spokojnie zająć się Gubblestone'em, który szarpał się rozpaczliwie z duszącym go coraz bardziej rzemieniem. Zbójca poczerwieniał na twarzy, a oczy zaczęły wychodzić mu na wierzch.

Wytrzeszczył je jeszcze bardziej, kiedy Halt dobył z pochwy ciężką saksę.

– Spokojnie, spokojnie – rzucił zirytowany zwiadowca.

Szybkim ruchem przeciął rzemień i Gubblestone runął jak długi na ziemię. Nawet nie próbował wstać, by nie znaleźć się w zasięgu lśniącego ostrza. Halt rzucił okiem w stronę pasażerów karocy. Na ich twarzach malowała się ulga i zaskoczenie.

– Myślę, że możecie ruszać w drogę – poinformował ich niedbałym tonem. – Ci głupcy nie będą już was niepokoić.

Kupiec, któremu wstyd było na myśl o tym, jak próbował wypchnąć żonę z powozu, usiłował gadaniną pokryć zmieszanie:

– Zwiadowco, oni zasługują na to, by ich powiesić! Powiesić, dobrze mówię! Wystraszyli moją biedną żonę, a nawet zagrozili mojej osobie!

Halt przyglądał mu się beznamiętnie, czekając, aż skończy.

– Dopuścili się czegoś znacznie gorszego – oznajmił.

– Straciłem przez nich czas.

– Odpowiedź brzmi: nie! – rzekł Crowley. – Tak samo teraz, jak i poprzednio.

Cała postać Halta emanowała gniewem, a przywódca zwiadowców doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Crowley wcale nie był zachwycony tym, że takiej właśnie odpowiedzi musiał mu udzielić, ale rozkaz to rozkaz, do niego zaś należało egzekwowanie poleceń dowództwa. Obowiązkiem zaś Halta było stosowanie się do nich i dotyczyło go to w takim samym stopniu, jak każdego innego zwiadowcy.

– Nie jestem wam potrzebny! – wybuchnął Halt. – Tracę tylko czas, tropiąc tych rzekomych Foldarów i włócząc się po całym królestwie, a tymczasem powinienem udać się na poszukiwanie Willa!

– Król stwierdził, że odnalezienie Foldara jest naszym najważniejszym zadaniem – przypomniał mu Crowley. – Prędzej czy później dostaniemy tego prawdziwego.

Halt machnął lekceważąco ręką.

– Ale do tego ma czterdziestu dziewięciu pozostałych zwiadowców! Na litość boską, to chyba dosyć?

– Król potrzebuje wszystkich czterdziestu dziewięciu i ciebie jako pięćdziesiątego. Wierzy ci, polega na tobie. Jesteś z nas najlepszy.

– A mnie się zdaje, że swoją część roboty już wykonałem – odparł spokojnie Halt. Crowley wiedział, z jakim trudem przyszło jego rozmówcy wypowiedzenie tych słów. Zdawał też sobie sprawę, że jedyną możliwą odpowiedzią jest milczenie – choć wiedział też, że nie na wiele się to zda.

– Królestwo niemało zawdzięcza temu chłopcu – stwierdził Halt nieco bardziej stanowczym tonem.

– Chłopak jest jednym ze zwiadowców – rzekł zimno Crowley.

– Jest tylko uczniem – poprawił go Halt, na co Crowley wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

– Uczeń ma takie same obowiązki, jak każdy z nas. Tak było zawsze. Każdego ze zwiadowców obowiązuje ta sama zasada: królestwo przede

wszystkim. Taki jest sens naszej przysięgi. Złożyłeś ją ty, złożyłem ja. Will także.

Przez chwilę obaj milczeli, ale w tej ciszy gniew tylko się wzmagał. Bolał ich tym dotkliwiej, że od wielu lat byli towarzyszami walki oraz przyjaciółmi. Crowley wiedział, że nigdy nie miał serdeczniejszego druha niż Halt. A teraz doszło do sporu i ostrej wymiany zdań. Pochylił się, podniósł przewrócone krzesło, a potem rzekł pojednawczym tonem:

– Posłuchaj – uśmiechnął się z przymusem – pomóż mi tylko załatwić sprawę z Foldarem. Za dwa, może trzy miesiące wyruszysz na poszukiwanie Willa, a wówczas dopomogę ci, jak tylko będę mógł.

Halt potrząsnął głową, nim Crowley zdążył dokończyć zdanie.

– Za dwa miesiące Will może już nie żyć. Albo zostanie sprzedany jako niewolnik i przepadnie na zawsze. Trzeba wyruszyć natychmiast, dopóki trop jest świeży. Poza tym obiecałem mu to – dodał po chwili nieco ochrypłym głosem.

– Nie – odparł Crowley tonem wskazującym, że rozmowa skończona. Halt zrozumiał to od razu.

– W takim razie udam się do króla – rzekł, zrezygnowany.

Crowley wbił wzrok w blat stołu.

– Król cię nie przyjmie – powiedział bezbarwnym głosem. Spojrzał na Halta i ujrzał w jego oczach bolesne zdumienie.

– Król odmówi? Po tym wszystkim?

Od ponad dwudziestu lat Halt był jednym z najbliższych doradców władcy i miał do niego dostęp o każdej porze dnia i nocy.

– Tak, bo przecież nie gorzej ode mnie zdaje sobie sprawę, czego będziesz od niego żądał. Odmówi audiencji, bo będzie chciał oszczędzić sobie bezpośredniej odmowy twoim prośbom.

W spojrzeniu Halta nie było już urazy, tylko zimna determinacja.

– Cóż, postaram się, by zmienił zdanie – wycedził.

Gdy okręt okrążył przylądek i znalazł się w zatoce, wiatr ustał. Tę naturalną przystań osłaniały wysokie skały powstrzymujące wicher.

Woda była tu spokojna, a jej powierzchnię zaburzał tylko ulotny ślad, jaki pozostawiał za sobą „Wilczy wicher".

– To już Skandia? – spytała Evanlyn.

Will nie miał pojęcia, co ma jej odpowiedzieć. Jeśli rzeczywiście dotarli już do tej krainy, to wyglądała ona całkiem inaczej, niż się tego spodziewał. Na brzegu wznosiły się tylko dwie drewniane chaty; miasta ani śladu, poza tym w zasięgu wzroku nie było widać żywej duszy.

– Wygląda dość niepozornie, nie uważasz?

Svengal, który zwijał linę, zaśmiał się głośno.

– Jaka tam Skandia – prychnął. – Jesteśmy dopiero w połowie drogi. To jest Skorghijl.

Widząc ich zdumione spojrzenia, wyjaśnił:

– Teraz do Skandii nie da się dopłynąć. Ta przeklęta burza na Wąskim Morzu spowodowała takie opóźnienie, że nie udało nam się dopłynąć do celu przed letnimi sztormami. Tutaj odczekamy, dopóki się nie wyszaleją. Po to właśnie wzniesiono te chaty.

Will popatrzył z powątpieniem na zbudowane z bali domy. Sprawiały wrażenie prymitywnych i niegościnnych.

– Jak długo to potrwa? – spytał.

Svengal skrzywił się.

– Może sześć tygodni, może dwa miesiące. Kto wie?

Odwrócił się i zostawiając ich samych, odszedł, zarzuciwszy na ramię kłąb liny. Spoglądali ku zbliżającemu się wybrzeżu.

Wyspa Skorghijl sprawiała niegościnne wrażenie. Granitowe urwisko opadało niemal do samej wąskiej plaży, przy której wznosiły się wyblakłe od słońca i pobielałe od soli domostwa. Jak okiem sięgnąć nie widać było ani jednego drzewa, ani nawet źdźbła trawy. Szczyty klifów pokrywał śnieg i lód. Prócz tych białych plam wszystko wokół było szare – piętrzące się kamienie oraz nieco ciemniejsze granitowe skały. Całkiem jakby czczeni przez Skandian bogowie pozbawili ten nieprzychylny zakątek wszelkich barw.

Wioślarze, którzy nie musieli już się zmagać z przeciwnym wiatrem i falami, zwolnili tempo. Okręt sunął przez zatokę w stronę kamienistej plaży. Siedzący przy sterze Erak prowadził go pewną ręką, aż wreszcie stępka zaszurała o dno; wilczy okręt znieruchomiał po raz pierwszy od wielu dni.

Will i Evanlyn stali niepewnie na pokładzie, zaskoczeni tym, że kołysanie, do którego zdążyli już przywyknąć, nagle ustało.

Wciągane wiosła zadudniły o pokład. Erak uwiązał drzewce wiosła sterowego grubym rzemieniem, by nie poruszało się wraz z falami. Spojrzał w stronę jeńców.

– Możecie wyjść na brzeg, jeśli macie ochotę – rzucił. Nie musiał ich krępować ani wyznaczać strażników, którzy by ich pilnowali. Średnica Skorghijl w najszerszym miejscu sięgała zaledwie dwóch kilometrów. Poza naturalną przystanią, w której się znaleźli i dzięki której miejsce to stało się schronieniem przed letnimi huraganami, wybrzeże opadało prosto do morza skalnymi urwiskami.

Will i Evanlyn przeszli na dziób okrętu, mijając po drodze żeglarzy zajętych wydobywaniem spod pokładu baryłek z wodą oraz piwem i worków z suchym prowiantem. Will przerzucił ciężar ciała przez nadburcie, zawisł przez chwilę na rękach i opadł na kamienisty brzeg. Jako że okręt siłą rozpędu wysunął się na plażę, było to dość wysoko. Odwrócił się, by pomóc Evanlyn, ale dziewczyna wylądowała już na ziemi obok niego.

Nie byli w stanie postąpić ani kroku dalej.

– O Boże – jęknęła cicho Evanlyn, czując jak stały ląd pod jej nogami chwieje się i kołysze. Straciła równowagę i przyklękła na jedno kolano.

Will miewał się niewiele lepiej. Teraz, gdy skończyło się bezustanne kołysanie, miał wrażenie, że to ziemia faluje pod jego stopami. Oparł się ręką o belki poszycia okrętu, żeby nie upaść.

– Co się dzieje? – spytał. Popatrzył pod nogi, ale ujrzał tylko nieruchome kamyki płaskiej plaży. Zaczęło mu się zbierać na mdłości.

– Uważać tam, na dole! – krzyknął ktoś nad nimi i w tej samej chwili z głuchym łomotem tuż obok nich wylądował wór pełen suszonej wołowiny. Will zatoczył się i podniósł głowę. Napotkał wzrok jednego z marynarzy, który uśmiechał się od ucha do ucha, wyraźnie rozbawiony.

– Kręci się we łbie, co? – zauważył wilk morski nie bez cienia sympatii w głosie. – To minie, za parę godzin wszystko będzie dobrze.

Willowi rzeczywiście potężnie kręciło się w głowie. Evanlyn zdołała jakoś wstać. Wciąż zataczała się, ale przynajmniej nie męczyły jej mdłości, które doskwierały młodemu zwiadowcy. Wzięła go za rękę.

– Chodź – powiedziała. – Przed tamtą chatą jest ława, jak posiedzimy, to może nam przejdzie.

Chwiejąc się jak pijani, dotarli z trudem do drewnianej ławy i stołu przy jednej z chat.

Will opadł na nią ciężko i podparł głowę rękami. Stęknął niewyraźnie, czując kolejną falę mdłości. Evanlyn czuła się ciut lepiej. Poklepała go po ramieniu.

– Skąd to się bierze? – spytała słabym głosem.

– Tak bywa, kiedy spędziło się nieco czasu na pokładzie – wyjaśnił jej Erak, który właśnie do nich podszedł. Uginał się pod ciężarem worka z prowiantem; zrzucił go na ziemię przy drzwiach chaty i odsapnął z ulgą.

– Jakoś tak się dzieje – mówił dalej – że nogi muszą odzwyczaić się od kołysania. Nikt nie wie, dlaczego. Minie kilka godzin i poczujesz się lepiej.

– Nie wierzę, żebym jeszcze kiedyś poczuł się dobrze – jęknął chrapliwie Will.

– Nic ci nie będzie, zobaczysz – zapewnił go Erak. – Lepiej rozpal ogień – polecił szorstko. Wskazał kciukiem osmalony krąg kamieni znajdujący się kilka metrów od najbliższej chaty. – Poczujesz się lepiej, jak zjesz coś ciepłego.

Na wzmiankę o posiłku Will znów jęknął. Wstał jednak chwiejnie z ławy i wziął od Eraka hubkę oraz krzesiwo. Podeszli z Evanlyn do miejsca przeznaczonego na ognisko. Obok wznosiła się sterta drew wyłowionych z wody przez poprzednich użytkowników tego miejsca. Bierwiona były suche dzięki słońcu i morskiej soli. Niektóre z nich okazały się na tyle cienkie, że dało się je łamać gołymi rękami. Will zaczął ustawiać szczapy w piramidkę pośrodku kamiennego kręgu.

Evanlyn zajęła się zbieraniem garści mchu na podpałkę. Już po paru minutach płonął mały ogieniek, języki płomieni lizały łapczywie większe kawałki drewna, które chłopak i dziewczyna dokładali teraz do ogniska.

– Jak za dawnych, dobrych czasów – stwierdziła półgłosem Evanlyn, lekko się uśmiechając. Na to wspomnienie rozjaśniła się również twarz Willa. Doskonale pamiętał płonący most Morgaratha, płomienie pożerające łapczywie nasączone smołą liny i suche sosnowe belki. Westchnął ciężko. Gdyby trzeba było, zrobiłby to jeszcze raz, bez wahania. Żałował jednak, że wciągnął we wszystko Evanlyn. Gdyby mógł cofnąć czas i zrobić coś, żeby nie pojmali jej razem z nim.

A jednocześnie, choć ubolewał nad tym, co się stało, jej obecność stanowiła jedyną pociechę w beznadziejnej sytuacji i, trochę wbrew sobie, cieszył się, że dziewczyna jest przy nim. Prócz tej przyjaźni nie pozostało mu już nic.

Zawstydził się swych myśli, ale nic nie mogło zmienić faktu, że gdyby nie ona, po prostu nie chciałoby mu się dłużej żyć. Wyciągnął dłoń i dotknął jej ręki. Spojrzała na niego, tym razem to on uśmiechnął się pierwszy.

– Zrobiłabyś to jeszcze raz? – spytał. – Wiesz, mam na myśli most i tak dalej.

Zastanowiła się poważnie krótką chwilę, a potem odpowiedziała:

– Bez wahania. A ty?

Skinął głową. Potem zaś westchnął znów, myśląc o tym, co pozostawili za sobą.

Erak, który przyglądał się im dyskretnie z pewnej odległości, mruknął pod nosem z aprobatą. Każdemu z tych dwojga przyda się przyjaciel – pomyślał. Gdy dotrą do Hallasholm i znajdą się na dworze Ragnaka, czeka ich niełatwe życie. Zostaną sprzedani jako niewolnicy, a to oznaczało ciężką fizyczną pracę, bez wytchnienia i nadziei na uwolnienie. Ktoś, kto

haruje od świtu do nocy, dzień po dniu, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem – potrzebuje przyjaznej duszy. Chyba że król Araluenu zapłaci za nich okup.

Trudno byłoby powiedzieć, że Erak tak naprawdę polubił tych dwoje. Jednak zyskali jego szacunek. Skandianie byli wojownikami z krwi i kości, ceniącymi nade wszystko zręczność oraz odwagę okazywaną w bitwie, a z pewnością ani Willowi, ani Evanlyn nie brakowało śmiałości, skoro poważyli się na tak szaleńcze przedsięwzięcie, jak spalenie mostu Morgaratha. Chłopak sprawiał się naprawdę nieźle, kładąc pokotem groźnych wargalów z tego swojego maleńkiego łuku. Erakowi rzadko zdarzało się widywać kogoś, kto strzelałby równie celnie i szybko. Domyślał się, że Will zawdzięczał to swojemu zwiadowczemu wyszkoleniu.

Ale dziewczyna też wykazała się nie lada odwagą, najpierw dopilnowując, by niszczycielski ogień rozpalił się jak należy, a potem, gdy Will padł ogłuszony kamieniem ciśniętym przez jednego ze Skandian, próbowała jeszcze pochwycić łuk i walczyć dalej.

Trudno było nie darzyć ich sympatią. Oboje są jeszcze tak młodzi, a przed nimi niełatwa przyszłość. Postanowił traktować ich dobrze, ale tylko do czasu, kiedy znajdą się już w Hallasholm… Erak otrząsnął się gniewnie z tych rozmyślań, które jego zdaniem stanowiły oznakę słabości.

– Mięczak się ze mnie robi na starość! – mruknął gniewnie pod nosem.

Zauważył, że jeden z wioślarzy próbuje ukradkiem podwędzić kawał wieprzowiny z worka. Zaszedł go cichcem od tyłu i z całej siły kopnął w tylną część ciała, tak że tamten runął jak długi.

– Łapy przy sobie, złodziejskie nasienie! – warknął. Odwrócił się i schylając głowę, wszedł przez niskie odrzwia do wnętrza mrocznej, cuchnącej dymem chaty, by upomnieć się o należną sobie najlepszą porcję.

Była to obskurna, ciasna i nędzna tawerna o niskim suficie, a jej wnętrze było brudne i zadymione. Mieściła się jednak w pobliżu rzeki oraz portu, do którego zawijały statki przywożące towary sprzedawane potem w stolicy, toteż zazwyczaj panował tu spory ruch.

Jednak akurat teraz ruch niemal ustał, a przyczyną tego stanu rzeczy był osobnik siedzący przy jednym z poplamionych stołów, nieopodal kominka. Mężczyzna ów spoglądał właśnie na oberżystę, jego oczy płonęły pod krzaczastymi brwiami. Stuknął niecierpliwie pustą szklanką o blat z surowych sosnowych desek.

– Pusto! – zawołał rozkazująco. Rozkazująco, stanowczo i tylko odrobinę mniej wyraźnie niż za pierwszym razem, choć właściciel tawerny pamiętał dobrze, iż napełniał szkło tanim, ognistym trunkiem już co najmniej osiem razy. Nie, dziewięć! Takim właśnie napojem raczyli się najczęściej bywalcy tego miejsca. Owszem, klient to klient, zwłaszcza jeśli płaci, ale ten akurat wyglądał na takiego, który sprowadza swoją osobą kłopoty, i oberżysta życzyłby sobie z całego serca, by gość poszedł gdzie indziej i sprawiał je komu innemu.

Większość stałych bywalców, wiedziona nieomylnym instynktem portowych wyjadaczy, wyniosła się, odkąd pojawił się ten niski mężczyzna i zaczął pić z taką determinacją. Zostało tylko kilku. Nikt nie próbował

szukać zaczepki, bo mimo niepozornego wyglądu szarozielony płaszcz i groźnie wyglądające noże u boku wskazywały, że mają do czynienia z królewskim zwiadowcą, a nikt o zdrowych zmysłach nie próbowałby zadzierać z przedstawicielem tego elitarnego korpusu. Znalazł się jednak pewien potężnej budowy tragarz, który uznał, że poradzi sobie bez trudu z tak drobnym przeciwnikiem.

Tragarz o swej pomyłce przekonał się boleśnie na własnej skórze. Walka trwała kilka sekund i osiłek wylądował nieprzytomny na podłodze. Jego towarzysze czym prędzej sobie poszli, by poszukać bezpieczniejszego miejsca, w którym będzie przyjaźniejsza atmosfera. Zwiadowca rzucił tylko okiem w stronę drzwi, za którymi znikli, i zażądał od oberżysty kolejnej porcji trunku. Gospodarz przeszedł nad bezwładnym ciałem tragarza, nieco drżącą ręką napełnił szklankę zwiadowcy, po czym pospiesznie wycofał się na swe względnie bezpieczne stanowisko za kontuarem.

I wtedy zaczęły się prawdziwe kłopoty.

– Doszedłem do wniosku – oznajmił zwiadowca, wymawiając każde słowo starannie, jak człowiek, który wie, że wypił zbyt wiele – iż nasz dobry król Duncan, władca obecnie panujący, jest zwykłym tchórzem.

O ile już przedtem w portowej knajpie panowała napięta atmosfera, to teraz cisza, która zapanowała po wypowiedzi zwiadowcy, stała się wprost nie do zniesienia. Wszyscy – nieliczni – goście, którzy zdecydowali się pozostać w tawernie, wpatrywali się w osobnika, który dopuścił się tak jawnej obrazy majestatu. Ten zaś rozejrzał się, na jego wąskich ustach pojawił się uśmieszek, ledwie widoczny pod szpakowatym zarostem.

– Tak, jest tchórzem. Śmierdzącym tchórzem. A w dodatku głupcem – rzekł.

Nikt nawet nie drgnął. Doprawdy, niebezpiecznie było mówić takie rzeczy, a nawet ich słuchać. Gdyby jakiś zwykły poddany pozwolił sobie na podobne słowa, stanowiłoby to poważne wykroczenie. Gdy zaś chodziło o zwiadowcę, zobowiązanego przysięgą żołnierza specjalnych sił królestwa, sprawa ocierała się o zdradę stanu. Co poniektórzy wymienili zaniepokojone spojrzenia. Wszyscy, którzy pozostali jeszcze w tawernie, żałowali gorzko, że nie wyszli wcześniej. Jednak coś w zimnym spojrzeniu zwiadowcy mówiło im, że jest już na to za późno. Dopiero teraz zauważyli, że potężny, długi łuk, oparty o ścianę za zwiadowcą, opatrzony został

zawczasu w cięciwę. A kołczan pełen był strzał. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że pierwszego, który spróbuje rzucić się ku drzwiom, może dosięgnąć jedna z nich. No i wszyscy doskonale wiedzieli, że zwiadowca, choćby i pijany, rzadko chybia celu.

A jednak siedzieć tu i słuchać, jak obraża i poniża króla, było czymś równie niebezpiecznym. Ich milczenie można by uznać za cichą zgodę na obrazoburcze słowa.

– Wiem ze sprawdzonego źródła – ciągnął zwiadowca, teraz niemal jowialnym tonem – że nasz dobry król Duncan bezprawnie zajmuje swój tron. Słyszałem pogłoski, iż włada nami pomiot jakiegoś pijanego czyściciela zamkowych kibli. Inna z kolei plotka głosi, że jest on owocem miłostki jego ojca oraz pewnej tancereczki. Do wyboru, panowie. Tak czy inaczej, kiepski rodowód jak na króla, nieprawdaż?

Ktoś syknął cicho przez zęby, wyraźnie zaniepokojony. Sytuacja z każdą chwilą stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Oberżysta cofnął się nerwowo i dostrzegł jakiś ruch na zapleczu. Przysunął się bliżej drzwi. Jego żona, która niosła tacę z ciasteczkami, zatrzymała się w pół kroku, słysząc ostatnie słowa zwiadowcy. Pobladła i zwróciła ku mężowi pytające spojrzenie.

Rzucił okiem w stronę zwiadowcy, który obserwował właśnie jakiegoś wozaka, który to próbował udawać, że wcale nie ma go tam, gdzie był, czyli przy drugim końcu baru.

– Sam powiedz, ty… Tak, ty, w żółtym kubraku. Swoją drogą, co ty na nim masz, chyba całe wczorajsze śniadanie?…No więc gadaj, czy ktoś taki może być królem tej pięknej krainy?

Wozak mruknął coś niezrozumiałego, wiercąc się niespokojnie na swym stołku i unikając wzroku zwiadowcy.

Oberżysta niemal niedostrzegalnie skinął głową, wskazując małżonce tylne wyjście z budynku. Niewiasta spojrzała w tamtą stronę, a potem znów na niego, unosząc brwi. Nie rozumiała.

– Straż… – wypowiedział więc bezgłośnie i dostrzegł błysk zrozumienia w jej oczach. Cichutko, na palcach, wciąż poza zasięgiem wzroku zwiadowcy, przemierzyła zaplecze i wyszła na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi najciszej, jak tylko potrafiła.

Jednak nie dość się starała, bowiem zatrzask szczęknął cicho, a zwiadowca błyskawicznym ruchem odwrócił się w stronę oberżysty.

– Co to było? – spytał.

Właściciel knajpy wzruszył ramionami, wycierając spocone dłonie o poplamiony fartuch. Nawet nie próbował się odezwać. Wiedział, że zbyt zaschło mu w gardle, by mógł wykrztusić choćby słowo.

Przez ułamek sekundy wydało mu się, że na twarzy tamtego widzi przebłysk zadowolenia, jakby coś stało się po jego myśli, ale odrzucił to wrażenie jako całkiem pozbawione racjonalnych podstaw.

Chwile wlekły się nieznośnie, a obelgi rzucane przez zwiadowcę na króla Duncana stawały się coraz bardziej drastyczne. Oberżysta przełknął niespokojnie ślinę. Minęło już chyba dziesięć minut, odkąd jego żona wyszła. Przecież chyba musiała już napotkać jakiś patrol? Tak, na pewno zaraz tu będą, uwolnią go od tego niebezpiecznego człowieka i powstrzymają jego zdradzieckie wynurzenia.

Rzeczywiście, jakby sprowadził ich myślą: drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem, a do mrocznego wnętrza wpadł oddział pięciu zbrojnych. Każdy z nich wyposażony był w długi miecz i krótką maczugę o ciężkiej głowicy wiszącą u pasa, mieli też okrągłe tarcze zawieszone na plecach.

Przewodził im kapral, który rozejrzał się szybko po sali, podczas gdy jego ludzie utworzyli za nim równy szereg. Dowódca niemal natychmiast dostrzegł przygarbioną postać siedzącą za stołem.

– Co tu się dzieje? – spytał kapral, a zwiadowca odpowiedział mu uśmiechem. Uśmiechem, od którego oberżyście ciarki przeszły po plecach.

– Nic takiego. Gawędziliśmy sobie o polityce – oznajmił tonem, który jakoś w żaden sposób nie wyrażał poszanowania dla autorytetu stróżów prawa.

– Ładna mi polityka. Wedle moich doniesień doszło tu do zdrady stanu! – stwierdził ostrym tonem kapral.

Oblicze zwiadowcy przybrało wyraz niebotycznego i nadzwyczaj kpiącego zdumienia.

– Zdrada stanu? – powtórzył i udał, że rozgląda się wokół siebie. – Czy ktoś tutaj pozwolił sobie na zbyt wiele? A może ktoś za dużo gada? Ubić gada!

Stało się to tak prędko, że oberżysta ledwie zdążył upaść plackiem za kontuar. Wypowiadając ostatnie słowo zwiadowca jakimś cudem zdołał pochwycić łuk, naciągnąć go i wystrzelić strzałę. Pocisk utkwił w ścianie

dokładnie tam, gdzie zaledwie ułamek sekundy przedtem znajdowała się głowa właściciela tawerny. Drżał jeszcze, gdy kapral odezwał się:

– Dosyć tego…

Postąpił przed siebie, lecz choć to nie do wiary, zwiadowca zdołał już powtórnie naciągnąć łuk. Matowo lśniący grot wycelowany był w czoło kaprala, łuk gotowy do strzału. Strażnik znieruchomiał. Oto spoglądał śmierci prosto w oczy.

– Odłóż broń – polecił, ale zdawał sobie sprawę, że w jego głosie zabrakło rozkazującego tonu. Całkiem inną rzeczą było trzymać w ryzach portowych rozrabiaków i przywoływać do porządku drobnych pijaczków.

A teraz miał przecież do czynienia z zawodowym zabójcą. Niejeden szlachetnie urodzony rycerz dałby za wygraną w takiej konfrontacji. A co dopiero zwykły kapral miejskiej straży?

Jednak kapral nie był tchórzem i wiedział, na czym polega jego obowiązek. Odkaszlnął, a potem powoli, powoli uniósł rękę.

– Odłóż… ten… łuk – wycedził.

Na próżno. Grot strzały wciąż mierzył w jego twarz. Bardzo powoli postąpił do przodu.

– Nie rób tego.

Nie, to nie zabrzmiało przekonująco. Kapral dałby głowę, że w tej chwili słyszał bicie własnego serca, łomoczącego niczym werbel. Tak głośno, że chyba wszyscy inni też je słyszeli. Wziął głęboki wdech. Ślubował wierność swojemu królowi. Nie był szlachcicem ani rycerzem, lecz zwykłym poddanym swojego władcy. Jednak słowa przysięgi znaczyły dla niego nie mniej niż uroczyste zapewnienia jakiegoś wielmoży. Dotąd tej zrodzonej z honoru pewności siebie starczało mu, by radzić sobie z pijanymi rozrabiakami i drobnymi rabusiami. Teraz chodziło o coś więcej, znacznie więcej. Mianowicie o to, by okazać się godnym złożonej przysięgi, choćby za cenę…

Jeszcze krok do przodu.

W dojmującej ciszy odgłos zwalnianego łuku był wprost ogłuszający. Machinalnie kapral cofnął się, zachwiał, oczekując już tylko potwornego bólu ostrza rozdzierającego jego mózg i złowrogiego mroku nieuniknionej śmierci.

W następnej chwili zdał sobie sprawę: cięciwa łuku pękła.

Zwiadowca spoglądał z niedowierzaniem na bezużyteczny oręż. Przez ułamek sekundy wszystko jakby zamarło, a potem kapral i jego ludzie rzucili się na niskiego mężczyznę, tłukąc go krótkimi, ciężkimi maczugami. Gdy zwiadowca upadł pod ich ciosami, nikt nie dostrzegł, że Halt ukradkiem upuścił na ziemię maleńkie ostrze, którym posłużył się, by przeciąć cięciwę. Jednak oberżysta, który niejedną bójkę już widział, trochę się zdziwił, że człowiek, który nader sprawnie poradził sobie z dwukrotnie roślejszym od siebie tragarzem, dał się pojmać tak łatwo miejskim strażnikom.

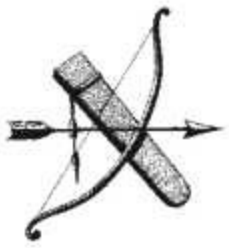

Will biegł wzdłuż wybrzeża nagiej, chłostanej wiatrem wysepki Skorghijl.

Przemierzył już pięciokrotnie kamienistą plażę, a teraz ruszył po stromym zboczu wznoszącym się na tyłach chat. Mięśnie nóg paliły go, gdy zmuszał się do pospiesznej wspinaczki. Tygodnie bezczynności na wilczym okręcie osłabiły jego sprawność, toteż postanowił odzyskać ją jak najprędzej i przywrócić mięśniom krzepę. Tego właśnie oczekiwałby od niego Halt.

Nie mógł, co prawda, ćwiczyć strzelania z łuku ani rzucania nożem, ale postanowił zrobić wszystko, by jego ciało było gotowe, jeśli tylko nadarzy się okazja do ucieczki.

Co więcej, Will nie zamierzał dopuścić do siebie myśli, że takowa może się nie nadarzyć.

Wdrapywał się więc po stromym stoku, a spod jego stóp osypywały się drobne kamyki. Im wyżej się znajdował, tym silniej wicher targał jego ubraniem. Wreszcie dotarł na szczyt, gdzie wichura uderzyła w niego z całą mocą. To właśnie był ów wiejący z północy letni sztormowy wiatr. Po północnej stronie wysepki wiatr gnał fale na czarne skały, wyrzucając wysoko w powietrze rozbryzgi piany. W zatoce, z której tu przybył, wody

były względnie spokojne dzięki naturalnej osłonie wysokiego cypla, tworzącego coś w rodzaju obszernej podkowy.

Jak zawsze, gdy znajdował się w tym miejscu, przemierzył wzrokiem połać oceanu, rozglądając się za jakimś statkiem. Jednak i teraz, tak jak zwykle, nie widać było nic oprócz niestrudzenie napływających fal.

Popatrzył znów w kierunku zatoki. Obie chaty, które w rzeczywistości były całkiem spore, wydawały się stąd śmiesznie małe. W jednej z nich Skandianie spali, druga przeznaczona była na jadalnię, gdzie spędzali większość czasu, kłócąc się, grając na pieniądze i pijąc. Przy jednej ze ścian chaty sypialnej znajdowała się mała przybudówka, którą Erak wyznaczył na tymczasowe miejsce zamieszkania Willa i Evanlyn. Była ciasna, ale przynajmniej nie musieli mieszkać razem ze Skandianami. Pośrodku Will zawiesił stary koc, by Evanlyn miała przynajmniej odrobinę prywatności.

Siedziała teraz obok tej przybudówki. Nawet z oddali Will dostrzegał jej zrezygnowaną, przygnębioną postawę. Zmarszczył brwi. Kilka dni wcześniej zaproponował, żeby ćwiczyła razem z nim. Evanlyn jednak z miejsca odmówiła. Wyglądało na to, że po prostu pogodziła się z losem. Poddała się. Przez następne dni prawie nie odzywali się do siebie. Will usiłował podnieść ją na duchu i wciąż mówił o możliwości ucieczki – zaczął mu się już bowiem wykluwać w głowie pewien plan. Jednak jej zachowanie dziwiło go i rozczarowywało. Dziewczyna nie była już tą dzielną Evanlyn, która razem z nim podpaliła most, która przebiegła po wąskiej kładce nad bezdenną przepaścią, by mu pomóc, i nawet przez chwilę nie pomyślała o własnym bezpieczeństwie, a potem jeszcze próbowała walczyć ze Skandianami, gdy ci ich dopadli.

Ta nowa Evanlyn była dziwnie zrezygnowana. Zdumiewało go to, bo nigdy by nie przypuszczał, że właśnie ona się podda w niesprzyjających okolicznościach.

Może po prostu takie są dziewczyny – mruknął do siebie. Ale jakoś nie chciało mu się w to wierzyć. Wyczuwał, że chodzi tu o coś innego, o coś, czego mu nie powiedziała. Wzruszył ramionami, nie zamierzając pogrążać się w jałowych rozmyślaniach i zaczął schodzić na dół.

Było to łatwiejsze niż wspinaczka, ale też wcale nie takie proste. Osuwające się, zdradliwe podłoże sprawiało, że musiał biec coraz prędzej i prędzej, by utrzymać równowagę, zrzucając po drodze miniaturowe lawiny. Bieg pod górę najbardziej obciążał mięśnie ud, teraz przede

wszystkim dawały się Willowi we znaki łydki. Znalazł się w końcu u stóp zbocza. Zdyszany, opadł na ręce, by wykonać serię szybkich pompek.

Po kilku minutach rozbolały go ramiona, ale nie przestawał, zmuszając się, by przekroczyć barierę bólu. Ściekający po twarzy pot oślepiał go… aż nie był w stanie wykonać ani jednego ćwiczenia więcej. Opadł na ziemię, ręce odmówiły już współpracy. Przez dobrych kilka minut leżał bez ruchu, usiłując złapać oddech.

Evanlyn zbliżyła się, kiedy robił pompki, więc jej nie słyszał. Teraz drgnął nerwowo na dźwięk jej głosu.

– Willu, tracisz tylko czas.

W jej głosie nie słychać było tego kłótliwego tonu, który tak dawał mu się we znaki przez ostatnie dni. Przeciwnie, słowa dziewczyny brzmiały raczej pojednawczo. Stęknął cicho i dźwignął się z kamieni, następnie przewrócił się na bok i usiadł, otrzepując z rąk mokry piasek.

Uśmiechnął się do niej, na co odpowiedziała uśmiechem, a potem siadła obok niego na plaży.

– Dlaczego uważasz, że tracę czas? – spytał.

Machnęła ręką, tak jakby tym jednym ruchem chciała pokazać mu plażę, na której dopiero co robił pompki i wzgórze, na które się wspinał.

– Po co ci całe to bieganie i ćwiczenia? I plany ucieczki? – spytała.

Zmarszczył lekko brwi. Nie chciał się z nią kłócić, toteż odpowiadając, starannie dobierał słowa. Odezwał się tonem rozsądnym i neutralnym:

– Przecież ćwiczenia, pozwalające utrzymać formę, nigdy nie są stratą czasu – zauważył.

Skinęła głową, jakby częściowo przyznając mu rację.

– Może i nie. Ale ucieczka? Stąd? Przecież to bez szans.

Wiedział, że teraz musi bardzo uważać. Jeśli dziewczyna uzna, że znów czeka ją kazanie, zamknie się w skorupie i nie sposób będzie się porozumieć. Wiedział jednak, że w takich sytuacjach jak ta najważniejsze jest, by nie tracić nadziei i pragnął, żeby także ona to zrozumiała.

– Przyznaję, że sprawy nie mają się najlepiej – stwierdził. – Jednak nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro. Najważniejsze, żeby wierzyć, nie poddawać się. Tego nauczył mnie Halt. Nigdy się nie poddawaj, bowiem kiedy pojawi się sposobność, musisz być gotów, żeby z niej skorzystać. A więc proszę cię, Evanlyn, nie poddawaj się.

Potrząsnęła głową, choć wcale nie zamierzała się z nim spierać.

– Nie zrozumiałeś mnie. Wcale się nie poddałam. Mówię tylko, że snucie planów ucieczki jest niepotrzebną stratą czasu. Nie musimy wcale uciekać. Istnieje inne wyjście.

Will rozejrzał się ostentacyjnie dookoła, jakby szukając wyjścia, o którym mówiła.

– Czyżby? – spytał. – Obawiam się, że go nie widzę.

– Możemy zostać wykupieni – powiedziała, a on z miejsca wybuchnął głośnym śmiechem, w którym nie było wzgardy, za to szczere rozbawienie jej naiwnością.

– Szczerze wątpię. Któż zapłaci okup za ucznia zwiadowcy i pokojówkę? Prawdę mówiąc, wiem, że Halt by to zrobił, ale on z pewnością nie ma tylu pieniędzy. Kto zdecyduje się wyłożyć żywą gotówkę w zamian za nasze skromne osoby?

– Król – odpowiedziała po prostu.

Will popatrzył na nią, jakby postradała zmysły. Właściwie nawet poważnie zaniepokoił się, czy aby nie oszalała ze zgryzoty, bowiem z pewnością utraciła poczucie rzeczywistości.

– Król? – powtórzył. – A dlaczego król miałby nagle się nami zainteresować?

– Dlatego, że jestem jego córką.

Uśmiech znikł z twarzy Willa. Gapił się na nią, nie całkiem pewien, czy dobrze usłyszał. Przypomniał sobie jednak słowa Gilana wypowiedziane jeszcze w krainie Celtów, kiedy to młody zwiadowca ostrzegał go, że z Evanlyn coś jest nie tak.

– Jesteś j ego… – zaczął i umilkł. Po prostu nie mieściło mu się to w głowie.

– Jestem jego córką. Strasznie mi przykro, Willu. Powinnam ci o tym powiedzieć dużo wcześniej. Ale sam zrozum, podróżowałam po Celtii incognito – tłumaczyła się. – Ukrywanie prawdziwego imienia weszło mi w nawyk. A potem, kiedy Gilan odjechał, zamierzałam ci powiedzieć. Zdałam sobie jednak sprawę, że jeśli tak uczynię, będziesz nalegał, żeby odwieźć mnie jak najprędzej do ojca.

Will pokręcił z niedowierzaniem głową, usiłując zrozumieć, ale przychodziło mu to z trudem.

– A czy tak nie byłoby lepiej? – spytał z nutką goryczy w głosie. Odpowiedziała mu smutnym uśmiechem.

– Pomyśl tylko, Willu. Gdybyś wiedział, kim jestem, nie poszlibyśmy za wargalami. I nie odkrylibyśmy mostu.

– I nie dostalibyśmy się do niewoli – wtrącił Will, jednak Evanlyn nie dała się przekonać.

– Wtedy Morgarath by zwyciężył – stwierdziła stanowczo.

Popatrzył w jej oczy i zdał sobie sprawę, że dziewczyna ma rację. Przez dłuższą chwilę oboje milczeli.

– A więc naprawdę nazywasz się… – zawahał się, a ona dokończyła za niego zdanie:

– Cassandra. Księżniczka Cassandra – a potem dodała z figlarnym uśmiechem: – I przykro mi, jeśli czasem zachowywałam się jak księżniczka, zwłaszcza ostatnio. Miałam wyrzuty sumienia, właśnie dlatego, że ci o tym nie powiedziałam. Nie chciałam być opryskliwa.

– Nie, nic się nie stało – odparł machinalnie. Wciąż nie posiadał się ze zdumienia. Potem nagle coś przyszło mu do głowy: – Kiedy powiesz Erakowi?

– Myślę, że wcale mu nie powiem – odparła. – Takie sprawy najlepiej załatwiać na najwyższym szczeblu. Erak i jego ludzie to w końcu tylko zwykli piraci. Nie wiem, jak by zareagowali. Moim zdaniem, najlepiej będzie, jeśli pozostanę Evanlyn aż do czasu, gdy dotrzemy do Skandii. Potem znajdę jakiś sposób, żeby porozumieć się z ich władcą – jak on się nazywa?

– Ragnak – podpowiedział Will. – Oberjarl Ragnak.

Rozmyślał gorączkowo. Jasne, że miała rację. Księżniczka Cassandra z Araluenu przedstawiałaby swoją osobą niemałą wartość dla oberjarla. A ponieważ Skandianie walczyli przede wszystkim dla zysku, bez wątpienia zgodziłby się uwolnić ją w zamian za pokaźny okup.

Jego własna sytuacja przedstawiała się jednak nieco inaczej. Evanlyn tymczasem mówiła dalej:

– Kiedy już powiem im, kim jestem, postaram się, by wpłacono okup za nas oboje. Jestem pewna, że ojciec się zgodzi.

No tak, na tym właśnie polegał kłopot. Być może zresztą, gdyby osobiście poprosiła o to ojca, władca by się zgodził. Jednak przecież rozmowy prowadzić będą Skandianie. Najpierw powiadomią króla Duncana, że jego córka znalazła się w ich rękach i wyznaczą okup. Takie historie często zdarzały się podczas wojny, ale dotyczyło to tylko

przedstawicieli szlachty. Ze zwykłymi wojownikami i zwiadowcami sprawy przedstawiały się zgoła inaczej. Skandianie niechętnie wypuszczą na wolność zwiadowcę, nawet jeśli jest tylko uczniem, bowiem w przyszłości może im sprawić niemało kłopotów.

Należało też wziąć pod uwagę inny aspekt zagadnienia. Nim wieść dotrze do Araluenu, miną długie miesiące, może nawet pół roku. Odpowiedź Duncana wędrować będzie równie długo. A potem rozpoczną się negocjacje. Przez cały ten czas Evanlyn żyć sobie będzie bezpiecznie i wygodnie. Bądź co bądź przedstawia sobą, jako się rzekło, niemałą wartość. Tylko co w tym czasie stanie się z Willem? Gdy zostanie wpłacony okup, może po prostu już go nie być wśród żywych.

Evanlyn najwyraźniej o tym wszystkim nie pomyślała. Ciągnęła dalej swój wywód:

– Więc sam widzisz, Willu, że ta bieganina w górę i w dół, i to wymyślanie sposobów ucieczki nie ma sensu. Nie musisz tego robić. W dodatku budzisz podejrzenia Eraka. On nie jest głupcem i zauważyłam, że cię obserwuje. Po prostu odpuść sobie i zaufaj mi. Moja w tym głowa, żebyśmy wrócili bezpiecznie do domu.

Już miał podzielić się z nią swoimi przemyśleniami, otworzył nawet usta, ale natychmiast je zamknął. Zdał sobie sprawę, że nawykła do rozkazywania i przeprowadzania wszystkiego po swej myśli księżniczka nigdy nie zdoła go zrozumieć. Była przekonana, że zdoła doprowadzić do ich powrotu, toteż nic, co by powiedział, i tak nie zmusiłoby jej do zmiany zdania. Uśmiechnął się więc tylko i skinął głową. Był to jednak uśmiech wymuszony.

Pojął, że będzie musiał samotnie odnaleźć drogę do domu.

Zamek Araluen, siedziba króla Duncana, był pięknym, majestatycznym budynkiem. Strzeliste, zwieńczone iglicami wieże i smukłe przypory przydawały mu malowniczości, choć był zarazem budowlą potężną i warowną.

Nawiasem mówiąc, wysokie wieże nie tylko przydawały lekkości bryle zamczyska, ale zapewniały też jego mieszkańcom dogodne pozycje obserwacyjne i strzeleckie, z których można było ciskać kamienie czy lać wrzący olej na napastników, jeśli takowi poważyliby się podjąć jego oblężenie.

Sala tronowa znajdowała się w samym sercu budowli; aby do niej dotrzeć, należało przejść bramy w kolejnych pierścieniach muru i przebyć mosty zwodzone – bowiem zamek zbudowano tak, by można go było bronić nawet po zdobyciu przez nieprzyjaciela jego zewnętrznych murów. Jak wszystko w tej budowli, sala tronowa o wysokim sklepieniu była ogromna. Podłogę w niej wyłożono płytami z czarnego, tudzież różowego marmuru.

W wysokich oknach umieszczono witraże, przez które lśniło padające teraz pod niskim kątem zimowe światło słoneczne. Kolumny podpierające ciężką konstrukcję zwężały się ku górze. Ustawiono je tak, żeby dodać wnętrzu wrażenia lekkości i przestronności. Nad tronem Duncana, który

był zwykłym siedziskiem z dębowego drewna, wisiał wyrzeźbiony liść dębu. Pod przeciwległą, południową ścianą, ciągnęły się drewniane ławy i stoły dla doradców króla. Przestrzeń pośrodku była pusta, tam właśnie podczas uroczystych okazji gromadziło się nawet kilkuset dworzan; ich barwne szaty i tarcze z herbami oraz polerowane srebrzyste zbroje połyskiwały istną feerią kolorów opromienione czerwonym, błękitnym, złotym i pomarańczowym światłem wpadającym przez okna.

Dziś jednak, zgodnie z rozkazem Duncana, obecnych było zaledwie kilkanaście osób – czyli tyle tylko, ile wymagało prawo, aby władca mógł ferować prawomocne wyroki. Duncan niechętnie myślał o czekającym go zadaniu. Dlatego też postarał się, by jak najmniej świadków asystowało przy tym, co, jak wiedział, będzie musiał uczynić.

Zasiadł na tronie, nachmurzony, spoglądając wprost przed siebie – na podwójne wrota. Jego ogromny, dwuręczny miecz o głowicy wyrzeźbionej na kształt łba lamparta, który stanowił osobiste insygnium króla, stał oparty o tron z jego prawej strony.

Lord Anthony ze Spaax, który od piętnastu lat pełnił obowiązki szambelana na dworze Duncana, stał obok tronu, kilka stopni niżej. Spojrzał znacząco na króla i odkaszlnął przepraszająco, by przykuć uwagę monarchy.

Niebieskie oczy Duncana zwróciły się ku niemu, brwi władcy uniosły się w niewypowiedzianym pytaniu. Kanclerz skłonił się.

– Już czas, wasza wysokość – rzekł półgłosem.

Lord Anthony, niski oraz otyły, nie miał w sobie nic z wojownika. Nie umiał zresztą posługiwać się bronią, toteż jego niećwiczone mięśnie zwiotczały. Był natomiast wyjątkowo zręcznym administratorem i zarządcą; to głównie dzięki niemu królestwo Araluenu kwitło, opływając w dobrobyt.

Duncan był królem sprawiedliwym i lubianym przez swych poddanych. Nie oznaczało to jednak słabości, przeciwnie: jako władca dbał o to, by obowiązujące w jego państwie prawa nie pozostawały martwą literą.

Stąd też brał się ponury nastrój i zły humor, jaki miał tego dnia król Duncan. Otóż dzisiaj będzie musiał wydać surowy wyrok na człowieka, który był jego przyjacielem i wiernym sługą. Mało tego, Duncan zawdzięczał mu właściwie wszystko, bowiem człowiek ten w ciągu

ostatnich dwóch dziesięcioleci dwukrotnie ocalił Araluen przed mroczną grozą klęski z rąk szaleńca.

Lord Anthony poruszył się niespokojnie. Duncan dostrzegł to i uniósł dłoń w geście przyzwolenia.

– No cóż – rzekł – miejmy to już za sobą.

Anthony zwrócił się ku sali. Wówczas zgromadzeni spojrzeli wyczekująco na drzwi. Uniósł długą hebanową laskę okutą stalą, symbol urzędu szambelana, i uderzył nią dwukrotnie o marmurowe płyty. Odgłos poniósł się echem przez salę jako sygnał dla ludzi czekających przed zamkniętymi drzwiami.

Po krótkiej chwili wrota otwarły się na oścież. Stało się to niemal bezgłośnie, bowiem wrota wyważone były doskonale, a zawiasy starannie naoliwione. Następnie do wnętrza sali ceremonialnym krokiem wkroczyła grupka mężczyzn, którzy zatrzymali się u stóp szerokich schodów, prowadzących na szczyt podium, gdzie wznosił się tron.

Weszło ich tylko czterech. Trzej odziani byli w kolczugi, kaftany i hełmy straży królewskiej. Czwarty był niskiego wzrostu, okryty szarozielonym płaszczem. Nie miał nakrycia głowy, toteż dobrze było widać jego szpakowate włosy, potargane i źle przystrzyżone. Kroczył pomiędzy dwoma strażnikami, trzeci szedł tuż za nim. Na twarzy więźnia widniała zaschnięta krew, miał też paskudnie podbite i opuchnięte lewe oko.

– Halt? – odezwał się król. – Nic ci nie jest?

Halt uniósł głowę, ich spojrzenia spotkały się. Przez krótką chwilę Duncan odniósł wrażenie, że w oczach zwiadowcy dostrzega bezbrzeżny smutek. Jednak już w następnej chwili ciemne spojrzenie Halta wyrażało tylko determinację, może nawet z lekką domieszką kpiny.

– Miewam się tak dobrze, jak tylko to możliwe w obecnej sytuacji, wasza wysokość – odparł sucho. Lord Anthony zareagował tak, jakby ukąsiła go osa.

– Trzymaj język za zębami, więźniu! – krzyknął.

Na te słowa kapral stojący za Haltem zamierzył się, by uderzyć więźnia. Nim jednak zdążył to uczynić, Duncan na wpół uniósł się z tronu.

– Dosyć tego! – jego głos zagrzmiał potężnie w niemal pustej sali.

Kapral opuścił dłoń, trochę zawstydzony. Duncan zdawał sobie sprawę, że ta scena nikomu nie sprawiała przyjemności. Halt był osobistością

powszechnie znaną i szanowaną w całym królestwie. Zawahał się, wiedząc, co musi teraz zrobić, ale nie mając po temu najmniejszej ochoty.

– Czy mam odczytać akt oskarżenia, wasza wysokość? – spytał lord Anthony. W zasadzie to Duncan powinien mu tę czynność nakazać. Król machnął tylko ręką w niechętnym przyzwoleniu.

– Tak, tak. Skoro to nieodzowne – mruknął.

Anthony popatrzył na monarchę z wyrzutem.

No tak – zdał sobie sprawę Duncan – oczywiście. Dla niego to też był przykry obowiązek. Król wzruszył ramionami.

– Wybacz, lordzie Anthony. Odczytaj, proszę, akt oskarżenia.

Anthony odkaszlnął, zakłopotany. Źle się stało, że król zaniedbał formalnej procedury. Jednak dla szambelana o wiele bardziej krępujące było to, że władca go przeprosił.

– Więzień Halt, należący do królewskiego Korpusu Zwiadowców, z królewskiego mianowania noszący odznakę Srebrnego Liścia Dębu, dopuścił się obrazy majestatu, poddając w wątpliwość należne mu przez urodzenie prawa oraz prawowitość tegoż urodzenia, wasza wysokość – oznajmił.

Ktoś spośród wąskiego grona oficjalnych świadków pozwolił sobie na ciche, ledwo dosłyszalne westchnienie. Duncan spojrzał w tamtą stronę, zastanawiając się, kto to mógł być. Zapewne baron Arald, władca Zamku Redmont i suweren lenna, w którym służył Halt. A może Crowley, dowódca Korpusu Zwiadowców. Ci dwaj byli najdawniejszymi przyjaciółmi Halta.

– Przypominam waszej wysokości – odezwał się ostrożnie Anthony – że takie wypowiedzi stanowią pogwałcenie złożonej przez więźnia przysięgi wierności i tym samym tworzą podstawę do oskarżenia o zdradę stanu.

Duncan spoglądał bezradnie na swego szambelana. Gdy chodziło o to przestępstwo, regulacje prawa były jednoznaczne i przewidywały tylko dwa rodzaje kary.

– Doprawdy, lordzie Anthony – rzekł – kilka słów rzuconych w gniewie to przecież jeszcze nie zdrada.

Kanclerz czuł się coraz niezręczniej. Szczerze mówiąc liczył, że król nie będzie próbował na niego wpłynąć w tym względzie.

– Wasza wysokość, jest to pogwałcenie przysięgi. Nie idzie tu o same słowa, lecz o fakt, iż więzień złamał powyższą, wypowiadając je publicznie. W tej materii przepisy prawa są nieugięte.

Spojrzał na Halta i rozłożył ręce, jakby pokazując, że nic więcej w tej sprawie nie jest w stanie uczynić.

Pokiereszowane oblicze zwiadowcy rozjaśniło się półuśmiechem.

– Co więcej, lord Anthony złamałby swoją przysięgę, nie powiadamiając o tym władcy – zauważył Halt.

Tym razem Anthony nie nakazał mu milczenia. Mógł tylko przytaknąć, bowiem Halt miał rację. W niczym nie umniejszało to jednak faktu, że swoimi niewybaczalnymi pijackimi wybrykami postawił wszystkich w wyjątkowo kłopotliwej sytuacji.

Duncan chciał się odezwać, zawahał się jednak, by zacząć znów:

– Z pewnością zaszło tu nieporozumienie, prawda? – zasugerował w nadziei, że zwiadowca znajdzie jakiś sposób, żeby zaprzeczyć oskarżeniom.

Ten jednak odpowiedział spokojnie:

– Nie mam nic do powiedzenia na swoją obronę, wasza wysokość. W rzeczy samej, słyszano mnie, jak mówiłem… no, dość nieprzyjemne rzeczy o waszej wysokości.

W tym właśnie cały problem: Halt wygłaszał obraźliwe stwierdzenia publicznie, w obecności co najmniej sześciu świadków. Jako człowiek i jako przyjaciel Duncan mógł mu je wybaczyć, co też z pewnością już zrobił. Jednak jako władca miał obowiązek strzec godności swojego urzędu.

– Ale… dlaczego, Halt? Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zrobiłeś to – nam wszystkim?

Zwiadowca odwrócił wzrok i spuścił głowę. Mruknął pod nosem coś, czego Duncan nie zrozumiał.

– Co rzeczesz? – spytał, wciąż jeszcze łudząc się, że znajdzie jakieś wyjście ze ślepego zaułka, w którym się znalazł.

– Za dużo gorzałki, wasza wysokość – odpowiedział głośniej Halt. A potem dodał jeszcze z ponurym uśmiechem: – Nigdy nie miałem dobrej głowy do trunków. Może należałoby dodać też oskarżenie o pijaństwo, kanclerzu Anthony?

Królewski dostojnik już całkiem stracił panowanie nad sobą – i procedurami.

– Halt, proszę cię… – zaczął i urwał. O mało nie poprosił oskarżonego, by ten nie naruszał protokołu oskarżenia.

Wziął się w garść i skłonił królowi. – Oto zarzuty, wasza wysokość. Oskarżony przyznaje się do winy.

Przez dłuższą chwilę Duncan siedział w milczeniu. Spoglądał na niskiego mężczyznę stojącego przed nim, próbując odgadnąć jego myśli skryte za nieprzeniknioną maską; dostrzec, co kryje się za wyzywającym spojrzeniem i zrozumieć prawdziwe przyczyny postępku Halta. Wiedział, że zwiadowca ma mu za złe odmowę pozwolenia na wyprawę w poszukiwaniu ucznia. Jednak Duncan szczerze wierzył, że obecność Halta w Araluenie jest niezbędna, dopóki nie wyjaśni się sytuacja z Foldarem. Z każdym mijającym dniem dawny doradca Morgaratha stawał się coraz większym zagrożeniem, toteż Duncan chciał mieć przy sobie wszystkich najlepszych ludzi, by dopomogli mu załatwić tę sprawę.

A Halt był najlepszym z najlepszych.

Duncan postukiwał nerwowo palcami w drewniany podłokietnik swego siedziska. Taki brak szerszego spojrzenia… to niepodobne do Halta. Przez wszystkie te lata, odkąd go znał, Halt nigdy nie przedkładał swoich celów nad dobro królestwa. Tymczasem nagle, najwyraźniej z gniewu i urazy, a przy tym pod wpływem trunku, pozwolił, by uczucia przyćmiły jasność jego osądu. Wobec świadków obraził króla, a nad tym nie można było przejść do porządku dziennego, bowiem nie chodziło tu o słowa rzucone w gniewie, podczas rozmowy między przyjaciółmi. Duncan spojrzał na swego starego przyjaciela i doradcę. Wzrok Halta wbity był w podłogę. Może gdyby błagał o łaskę, powołał się na swe przeszłe zasługi w służbie korony. Słowem, gdyby zrobił cokolwiek w swojej obronie, może dałby w ten sposób swemu władcy szansę, by móc jakoś wybrnąć z tego nader kłopotliwego położenia.

– Halt? – odezwał się Duncan.

Zwiadowca uniósł wzrok, na co Duncan odpowiedział pytającym wzniesieniem brwi. W oczach Halta malowała się zimna determinacja i król zrozumiał, że zwiadowca nie będzie prosił o łaskę. Mało tego, uczynił ledwo dostrzegalny przeczący ruch głową. Władca podjął jeszcze jedną, ostatnią próbę pokonania przepaści, jaka rozwarła się między nim a zwiadowcą.

– Prawdę mówiąc – rzekł, starając się nadać swoim słowom ton przyjaznej perswazji – mogę przecież całkiem dobrze zrozumieć, co czujesz. Moja rodzona córka została uprowadzona razem z twoim

uczniem. Czy nie wydaje ci się, że wolałbym pozostawić królestwo i wyruszyć jej na ratunek?

– Tutaj zachodzi pewna istotna różnica, wasza wysokość. Królewska córka może spodziewać się nieco lepszego traktowania niż zwykły czeladnik zwiadowcy. Przecież jest cenną zakładniczką.

Duncan odchylił się nieco na swym tronie. Gorycz w głosie Halta odczuł jak uderzenie w twarz, tym boleśniejsze, że przecież Halt miał słuszność. Gdy Skandianie dowiedzą się, kim jest Cassandra, nic nie będzie jej grozić, po prostu zażądają za nią wysokiego okupu. Ku swemu ubolewaniu zdał sobie sprawę, że ta próba pojednania jeszcze bardziej oddaliła władcę od człowieka, który dotąd był najwierniejszym z jego sług. Zapadło długie milczenie, które przerwał wreszcie lord Anthony.

– O ile więzień nie ma czegoś do powiedzenia na swą obronę, zostanie uznany za winnego – ostrzegł Halta.

Halt wciąż spoglądał na króla i raz jeszcze nieznacznie pokręcił głową. Anthony zwlekał, rozejrzał się po sali, spoglądając na szlachetnych wielmożów w nadziei, że ktoś zdoła znaleźć jakiś argument przemawiający za Haltem. Jednak, oczywiście, nikt się nie odezwał. Szambelan dostrzegł, że masywna postać barona Aralda jakby skurczyła się w przygnębieniu, widział też boleść na twarzy Crowleya, gdy dowódca zwiadowców odwrócił głowę, nie chcąc patrzeć na rozgrywającą się scenę.

– Więzień jest winny czynów, o które go oskarżono – oznajmił Anthony. – Przywilejem waszej wysokości jest wydać wyrok.

Otóż to – myślał Duncan – oto jedno z tych zadań, do których nikt nie jest w stanie przygotować przyszłego władcy. Wierność i oddanie, władza, ceremoniał. Wino i wykwintne potrawy, rasowe wierzchowce, kosztowna broń. A potem trzeba płacić za to wszystko. Chwile takie jak ta, kiedy nie ma innego wyjścia i trzeba postąpić zgodnie z nakazami prawa. Zgodnie z tradycją. Gdy godność urzędu wymaga surowego wyroku, nawet jeśli musi to oznaczać utratę jednego z najcenniejszych doradców i najserdeczniejszych przyjaciół.

– Prawo przewiduje tylko dwie możliwe kary za zdradę, wasza wysokość – ponaglił go Anthony, pragnąc zakończyć jak najprędzej rozprawę i uwolnić władcę od ciążącego na nim brzemienia nieodwołalnej decyzji.

– Tak. Tak, wiem – rzucił gniewnie Duncan, ale lord Anthony zdążył dokończyć:

– Śmierć lub wygnanie.

Na dźwięk tych słów królowi przyszła do głowy pewna myśl.

– A więc taki mam wybór, lordzie Anthony? – spytał.

Anthony skłonił się ze złowrogą powagą.

– Nie ma innego, wasza wysokość. Tylko kara śmierci lub wygnanie.

Duncan wstał powoli, ujmując miecz prawą dłonią. Wyciągnął go przed siebie, trzymając ukrytą w pochwie klingę tuż pod kunsztownie rzeźbionym i wykładanym klejnotami jelcem. Poczuł ogarniającą go satysfakcję, bowiem znalazł już rozwiązanie. Dlatego właśnie spytał Anthony'ego, by ten po dwakroć powtórzył to w obecności świadków.

– Ja, Duncan, król Araluenu – odezwał się władczym tonem, świadom, że spojrzenia wszystkich skierowały się ku niemu – skazuję ciebie, byłego królewskiego zwiadowcę rezydującego w lennie Redmont, na banicję ze wszystkich mych ziem i włości.

I znów w sali zapanowało nieznaczne poruszenie, bowiem słuchacze odetchnęli z ulgą, słysząc, że nie pada wyrok śmierci. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że nikt z obecnych tak naprawdę najwyższego wymiaru kary się nie spodziewał. Teraz jednak czekała ich niespodzianka.

– Mocą tego wyroku, pod groźbą śmierci zabraniamy ci wstępu i pobytu w tym królestwie… – zawiesił głos, bo spojrzał w tej chwili w oczy Halta i dojrzał w nich rozpaczliwy smutek, którego zwiadowca nie potrafił już ukryć. Dokończył więc co prędzej: – …na czas roku, licząc od dnia dzisiejszego.

Natychmiast w sali tronowej zapanowało ożywienie. Lord Anthony postąpił krok do przodu, na jego twarzy malowało się wzburzenie.

– Wasza wysokość! Muszę zaprotestować! Tak być nie może!

Duncan zachował kamienny spokój, czego nie można było powiedzieć o innych świadkach rozprawy. Baron Arald nie krył promiennego uśmiechu, zaś Crowley starał się jak mógł, by ukryć zadowolenie za szarym kołnierzem swego płaszcza. Duncan, choć wciąż nie pojmował motywów kierujących Haltem, nie bez skrywanej skrzętnie satysfakcji zauważył, że po raz pierwszy tego ranka zwiadowca wydawał się zaskoczony obrotem wydarzeń. Na pewno jednak nie do tego stopnia, co głośno sprzeciwiający się wyrokowi lord Anthony. Król uniósł brwi, spoglądając na niego pytająco.

– Tak być nie może, lordzie Anthony? – spytał, starając się, by zabrzmiało to odpowiednio wyniośle.

Anthony zmitygował się, zdając sobie sprawę, że bądź co bądź nie przystoi mu pouczać króla.

– Chciałem tylko rzec, wasza wysokość, że kara wygnania, banicji. No cóż, to kara banicji – urwał, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

Duncan z wielką powagą skinął głową.

– Jako żywo – stwierdził. – Sam rzekłeś, lordzie szambelanie, nie mam innego wyboru, jeśli nie liczyć kary śmierci.

– Ależ, wasza wysokość, przecież wygnanie… to wygnanie! Na zawsze! – upierał się Anthony. Poczerwieniał jak burak, całkiem już nie wiedząc, w jaki sposób ma się zachować. Nie żywił nieprzychylnych uczuć wobec Halta, przeciwnie – jak dotąd darzył go niemałym szacunkiem, przynajmniej do chwili, gdy zwiadowca został zatrzymany pod zarzutem skandalicznego i obraźliwego wobec majestatu zachowania. Niemniej jednak, jego niewdzięczną rolą było służyć królowi radą w kwestii odwiecznych praw.

– A więc tak właśnie stanowi prawo? Czyżby zapisano w kodeksach, że banicja musi być dożywotnia? – spytał Duncan, a Anthony musiał zaprzeczyć, rozkładając jednocześnie ręce w bezradnym geście, przy czym omal nie wypuścił z dłoni laski, stanowiącej nieodzowny atrybut jego szacownego urzędu.

– Ach nie, nie. Tego nigdzie nie zapisano, bowiem nie było takiej potrzeby. Wygnanie zawsze było karą dożywotnią, bowiem tak stanowi tradycja! – dodał, gdy wreszcie udało mu się znaleźć stosowne słowa.

– Otóż to – odparł Duncan. – Tradycja zaś nie jest prawem.

– Lecz… – zaczął Anthony, a potem nagle sobie uzmysłowił, że nie ma powodu, by tak się upierać. Przecież właśnie sprawiedliwy król wymierzył Haltowi karę zgodną z prawem, a jednocześnie znalazł sposób, by okazać swą łaskawość.

Nie dając mu czasu do namysłu, król odezwał się znów:

– Tak oto mocą naszego majestatu wydaliśmy wyrok, a brzmi on: wygnanie, na czas całych dwunastu miesięcy. Więźniu, masz czterdzieści osiem godzin, by opuścić granice Araluenu.

Raz jeszcze król spojrzał w oczy swego zwiadowcy. Halt skłonił się, dając tym wyraz szacunku i wdzięczności wobec władcy. Duncan tymczasem

westchnął cicho. Nie miał pojęcia, czemu Halt go do tego zmusił. Być może, kiedy ten rok minie, dowie się czegoś więcej.

Nagle poczuł, że ma już powyżej uszu całej tej sprawy. Zatknął ukryty w pochwie miecz za pas.

– Posiedzenie skończone – oznajmił zgromadzonym. – Sprawa została zamknięta.

Odwrócił się na bok, zszedł po stopniach i opuścił salę tronową przez małe drzwiczki prowadzące do jego osobistych apartamentów. Lord Anthony popatrzył uroczyście po zgromadzonych:

– Król przemówił i wydał wyrok – rzekł podniośle, ale w jego głosie słychać było znużenie. – Więzień skazany jest na roczną banicję. Straż, odprowadzić go.

To rzekłszy, udał się za królem.

Evanlyn z irytacją przyglądała się Willowi, który po raz kolejny przebiegł wzdłuż całej plaży, a potem opadł na ziemię, by wykonać dziesięć szybkich pompek.

Nie mogła pojąć, dlaczego chłopak tak się uparł, żeby kontynuować swój program ćwiczeń. Gdyby chodziło tylko o utrzymanie formy, nie miałaby nic przeciwko temu – bądź co bądź na Skorghijl nie było nic poza tym do roboty. Czuła jednak, że chodzi tu o coś ważniejszego. Pomimo rozmowy, którą odbyła z nim kilka dni wcześniej, była pewna, że nadal snuje plany ucieczki.

– Uparty głupiec – mruknęła. Swoją drogą, u chłopaka to normalne. Nie mógł pogodzić się z myślą, że ona, dziewczyna, może zająć się wszystkim i zapewnić im bezpieczny powrót do Araluenu. Jednak w Celtii zachowywał się zupełnie inaczej. Kiedy planowali zniszczenie potężnego mostu Morgaratha, nie miał nic przeciwko jej udziałowi i realizowaniu jej pomysłów. Zastanawiała się, co spowodowało tę zmianę.

Will tymczasem podszedł do samego brzegu zatoki, by zamienić kilka słów ze Svengalem, zawijającym właśnie należącą do okrętu szalupą. Zastępca dowódcy Skandian był zręcznym rybakiem. Wypływał szalupą niemal co rano, o ile tylko pozwalała na to pogoda, dzięki czemu ich monotonna dieta, składająca się z suszonego solonego mięsa i suszonych

ryb, wzbogaciła się o świeże dorsze oraz okonie schwytane w głębokich, lodowatych wodach zatoki Skorghijl.

Poczuła drobne ukłucie zawiści, patrząc jak Will rozmawia ze Skandianinem. Wiedziała, że nie potrafi z taką łatwością jak Will nawiązywać kontaktów z ludźmi. Był bezpośredni, otwarty – a to sprawiało, że wszyscy z miejsca darzyli go sympatią. Ona zaś często czuła się skrępowana wobec obcych, którzy chyba to wyczuwali. Nie przyszło jej jednak na myśl, że może to być wynikiem wychowania, jakie odebrała na dworze. A ponieważ tego ranka była w złym humorze i miała wszystko Willowi za złe, nie spodobało jej się, że chłopak pomaga Svengalowi wciągnąć łódź poza linię przypływu.

Kopnęła gniewnie kamień i zaklęła, gdy okazał się większy niż z pozoru, a w dodatku wcale nie chciał się ruszyć ze swego miejsca. Kulejąc, poszła do przybudówki, skąd przynajmniej nie musiała patrzeć na Willa i jego nowego przyjaciela.

– Jak dzisiaj poszło? – spytał Will, zadając tym samym pytanie, na które każdy rybak zawsze chętnie odpowie. Svengal wskazał ruchem głowy stos ryb na dnie łodzi.

– Mam tu jedną niezłą sztukę – oznajmił. Podniósł wielkiego dorsza; prócz niego Svengal złowił jeszcze osiem czy dziewięć mniejszych ryb, ale też wcale nie takich małych. Will skinął z uznaniem głową.

– Rzeczywiście, niezły – przyznał. – Pomóc ci przy skrobaniu?

Istniała spora szansa, że i tak otrzyma polecenie wypatroszenia oraz oskrobania ryb. Od przybycia na wyspę obowiązkiem jego i Evanlyn stało się wykonywanie rozmaitych prac domowych, na które składało się przede wszystkim przygotowywanie posiłków. Chciał jednak nawiązać rozmowę ze Svengalem, a skoro sam przejawił tę inicjatywę, można się było spodziewać, że Skandianin nie pójdzie sobie, tylko wda się w pogawędkę, podczas gdy Will będzie pracował. Chłopak zdążył już wielokrotnie zauważyć, że Skandianie są dość gadatliwi, a już szczególnie jeśli ktoś inny pracuje.

– Pewnie – zgodził się chętnie Svengal i rzucił mały nożyk do ryb na dno łodzi. Rozsiadł się na jej burcie, podczas gdy Will wyciągnął ryby i zabrał

się do brudnej roboty – patroszenia, czyszczenia i skrobania. Tego właśnie Will oczekiwał. Wiedział zresztą, że Skandianin będzie chciał osobiście zanieść wielkiego dorsza do chaty. Wszyscy rybacy lubią się przechwalać.

– Słuchaj – odezwał się Will, oskrobując jednego z okoni i starając się mówić możliwie jak najbardziej niedbałym tonem – nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego nie wypływasz na ryby każdego dnia o tej samej porze?

– Chodzi o przypływ, chłopcze – wyjaśnił Svengal. – Najlepiej łowi się właśnie wtedy. Przypływ wpędza ryby do zatoki. Rozumiesz?

– Ale co to właściwie takiego ten przypływ? – zainteresował się Will. Svengal nie mógł się nadziwić, że araluеński chłopiec nie ma pojęcia o rzeczach tak podstawowych.

– Chyba zauważyłeś, że poziom wody w zatoce podnosi się, a potem opada? – spytał. Gdy Will kiwnął głową, mówił dalej: – To jest właśnie przypływ, a gdy woda opada, mamy odpływ. Tylko że każdego dnia następuje nieco później.

– No dobrze, ale dokąd odpływa ta woda? – zdziwił się Will. – No i przede wszystkim skąd przypływa?

Svengal w zamyśleniu szarpał brodę. Było to zagadnienie, nad którym nigdy nie próbował się zastanawiać. Przypływy i odpływy stanowiły po prostu część jego żeglarskiego życia. Rozmyślania o przyczynach takich zjawisk pozostawiał innym.

– Powiadają, że to sprawka Wielkiego Błękitnego Wieloryba – rzekł, przypominając sobie baśń, którą opowiadano mu, gdy był jeszcze dzieckiem. Widząc, że Willowi nic to nie mówi, ciągnął: – Pewnie nawet nie wiesz, co to takiego wieloryb? – westchnął, widząc zupełny brak zrozumienia na twarzy chłopca. – Wieloryb to taka wielka ryba.

– Taka jak ten dorsz? – spytał Will, pokazując rybackie trofeum Svengala. Wilk morski roześmiał się, szczerze rozbawiony.

– Dużo większa, chłopcze. O wiele, wiele większa.

– A więc taka wielka jak mors? – dopytywał się Will. W południowej części zatoki osiedliło się spore stadko zwierząt, których nazwę poznał dzięki jednemu z członków załogi. Svengala coraz bardziej bawiła ignorancja chłopca.

– Jeszcze większa. Zwyczajne wieloryby są wielkie jak domy. Naprawdę ogromne. Ale Wielki Błękitny Wieloryb to całkiem inna sprawa. Jest taki

wielgachny, jak jeden z tych waszych zamków. Wciąga wodę, a potem wypluwa ją przez otwór, który ma na szczycie łba.

– Aha. Rozumiem – rzekł ostrożnie Will, wypadało bowiem coś powiedzieć.

– No, więc gdy połyka tę wodę – tłumaczył cierpliwie Svengal – mamy odpływ. A potem ją wypluwa.

– Tym otworem na czubku głowy? – upewnił się Will.

Zabrał się tymczasem do patroszenia dorsza. Wszystko to brzmiało zbyt fantastycznie, jakoś nie przemawiała mu do wyobraźni ryba z otworem w głowie, która oddychała wodą. Svengal zmarszczył brwi, niezadowolony, że mu przerwano. Zdawało mu się także, że słyszy w głosie chłopca nutkę niedowierzania.

– Tak jest! Przez otwór, który ma na czubku łba. Kiedy to robi, następuje przypływ. I tak dzieje się dwa razy dziennie.

– Ale dlaczego każdego dnia o innej porze? – pytał dalej Will, ku niejakiemu zakłopotaniu Svengala. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia. Legenda nic o tym nie wspominała.

– Bo wieloryb to wieloryb, chłopcze! Przecież wieloryby nie wiedzą, która jest godzina, no nie? – to rzekłszy, pochwycił sznur, na który nanizane były oczyszczone ryby, zabrał swój nóż i ruszył po plaży w stronę domu, pozostawiając na brzegu Willa, który musiał zmyć z dłoni krew i rybie łuski.

Erak siedział na ławie przed domem służącym za jadalnię.

– Piękny dorsz – stwierdził, a Svengal skinął głową w podzięce za pochwałę. Erak wskazał kciukiem w kierunku Willa i spytał: – O co chodziło?

– Że co? A, pytasz o chłopca. Opowiadałem mu tylko o Wielkim Błękitnym Wielorybie – wyjaśnił Svengal.

Erak podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

– Nie może być? A to po co?

Svengal zastanowił się przez dłuższą chwilę.

– No, bo on pytał mnie o przypływ, znaczy, skąd się bierze, i takie tam – odczekał moment, na wypadek gdyby dowódca miał coś jeszcze do powiedzenia, a potem wzruszył ramionami i wszedł do środka.

– Pytał o przypływ. – rzekł do siebie Erak. Trzeba będzie mieć baczne oko na chłopaka – pomyślał.

Przez kilka następnych godzin nie ruszał się sprzed chaty; wszystko wskazywało na to, że drzemie sobie w słońcu. Jednak spod przymkniętych powiek obserwował bezustannie ucznia zwiadowcy. Po jakimś czasie zauważył, że chłopak rzuca kawałki drewna do wody, a potem obserwuje, jak odpływ wynosi je na pełne morze.

– Ciekawe – mruknął do siebie kapitan wilczego okrętu. Zauważył, że Will stoi bez ruchu i, osłoniwszy oczy dłonią, spogląda ku wejściu zatoki. Erak popatrzył w tę samą stronę i zaskoczony, zerwał się z ławy.

Do zatoki wpływał inny okręt, mocno pochylony na bok i zanurzony; jego wioślarze pracowali nierówno, najwyraźniej ostatkiem sił.

Szary jeździec kulił się z chłodu, szczelnie zawinięty w płaszcz, gdy z wolna przemierzał pola pośród gęstej mżawki. Kopyta jego koni – jednego dosiadał, a drugi służył mu za luzaka, niosącego kilka niezbyt ciężkich tobołków – rozbryzgiwały wodę w kałużach powstałych w zagłębieniach drogi.

Za nim, na tle szarego nieba, wznosiły się wieże Zamku Araluen. Jednak Halt nie oglądał się, by podziwiać ten wspaniały widok. Gnał prosto przed siebie.

Usłyszał podążających za nim jeźdźców na długo, nim się z nim zrównali. Abelard zastrzygł uszami na odgłos łomoczących kopyt końskich i Halt wiedział, że jego konik rozpoznał konie zwiadowców. Nadal się nie odwracał. Wiedział, kim są jeźdźcy. Wiedział też, dlaczego go ścigają. Był nawet nieco zawiedziony. Miał nadzieję, że w całym zamieszaniu, jakie towarzyszyło jego banicji, Crowley zapomni o pewnym drobiazgu, który teraz jednak Halt będzie musiał oddać.

Westchnął lekko ze znużeniem, godząc się z tym, co nieuniknione. Dotknął lekko szyi Abelarda. Konik zareagował natychmiast, stając w miejscu. Luzak podążający z tyłu uczynił to samo. Tętent zbliżał się; Halt nie poruszał się, patrząc tępo na horyzont, gdy Crowley i Gilan znaleźli się u jego boku.

Cztery konie dotknęły się pyskami na powitanie. Trzej mężczyźni wykazali nieco więcej rezerwy. Przez chwilę panowało niemiłe milczenie, które wreszcie przerwał Crowley.

– Ha, wcześnie wstałeś. Musieliśmy zdrowo pospieszyć nasze konie, by cię dogonić – rzekł, siląc się bez większego powodzenia na jowialność, którą maskował swe ubolewanie wobec tego, jak potoczyły się wypadki. Halt zerknął bez zaciekawienia na ich wierzchowce. Z ich nozdrzy unosiły się w zimnym powietrzu kłęby pary.

– Widzę – odparł spokojnie. Starał się udawać, że nie dostrzega wzburzenia malującego się na twarzy Gilana. Wiedział, że jego dawny uczeń szczerze cierpi z powodu niewytłumaczalnego zachowania swego mistrza, nic jednak nie mógł na to poradzić.

Teraz i Crowley spoważniał. Nie było po co odwlekać przykrej formalności.

– Halt, jest pewna rzecz, o której może zapomniałeś. Przykro mi, ale muszę nalegać… – urwał.

Halt nie zamierzał ułatwiać mu zadania, toteż przybrał zdumiony wyraz twarzy.

– Na opuszczenie królestwa mam czterdzieści osiem godzin – zauważył. – Licząc od świtu dzisiejszego dnia. Zapewniam cię, że nim upłynie wyznaczony czas, znajdę się za granicą. Nie ma potrzeby, byś mnie eskortował.

Crowley potrząsnął głową. Kątem oka Halt dostrzegł, że Gilan odwraca wzrok. Była to bolesna scena dla wszystkich trzech zwiadowców. Wiedział dobrze, po co przyjechał Crowley. Halt sięgnął pod płaszcz do zawieszonego na szyi srebrnego łańcuszka.

– Liczyłem trochę na to, że zapomnisz – odezwał się, starając się, by zabrzmiało to beztrosko, jednak z umiarkowanym powodzeniem, bowiem coś chwytało go za gardło. Crowley skrzywił się niewesoło.

– Wiesz, że nie wolno ci zachować Liścia Dębu. Jako skazany na banicję zostałeś tym samym wykluczony z Korpusu Zwiadowców.

Halt skinął głową. Czuł bolesne ukłucie w sercu, gdy rozpiął łańcuszek i przekazał dowódcy srebrną odznakę. Metal wciąż jeszcze był ciepły od dotyku jego ciała. Oczy zamgliły mu się, gdy odznaka spoczęła na dłoni Crowleya. Taki mały, nic nieznaczący kawałek metalu – pomyślał – a przecież znaczył dla niego tak wiele. Przez większą część życia nosił ów

Liść Dębu z dumą – jak wszyscy zwiadowcy. A teraz musiał się z nim rozstać.

– Przykro mi – rzekł Crowley grobowym głosem. Halt machnął ręką.

– Przecież to drobiazg – odpowiedział.

Znów zapadło milczenie. Crowley spoglądał w oczy Halta, próbując przeniknąć zasłonę tajemnicy. Zasłonę niedbałej, obojętnej akceptacji. Wiedział, że to tylko pozory, lecz musiała istnieć przecież jakaś przyczyna.

Wreszcie dowódca nie wytrzymał, pochylił się w siodle i chwycił mocno Halta za przedramię.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? – spytał gniewnie.

I znów to irytujące machnięcie ręką.

– Już mówiłem – przypomniał Halt – że wypiłem za dużo gorzałki. Wiesz dobrze, że zawsze miałem słabą głowę.

Zdołał nawet się uśmiechnąć. Jednak uśmiech na jego twarzy przypominał raczej dziwaczny grymas. Crowley puścił go, zawiedziony.

– Z Bogiem – rzekł w końcu, głosem drżącym od tłumionych emocji. W następnej chwili niezwykle jak na siebie gwałtownym ruchem szarpnął za wodze, odwracając łeb wierzchowca, i odjechał galopem z powrotem w stronę Zamku Araluen.

Halt spoglądał za nim przez chwilę; maskujący płaszcz zwiadowcy wkrótce zniknął pośród szarej mżawki. Następnie odwrócił się do swego byłego ucznia i uśmiechnął się smutno. Tym razem i uśmiech, i smutek były szczere.

– Żegnaj, Gilanie. Miło mi, że zechciałeś się ze mną pożegnać.

Jednak młodszy zwiadowca przybył tu z całkiem innym zamiarem.

– Wcale nie zamierzam się z tobą pożegnać – oświadczył stanowczo. – Wyruszam z tobą.

Halt uniósł jedną brew. Gilan wiedział aż nazbyt dobrze, co to znaczy.

– Na wygnanie? – spytał Halt młodzieńca, a Gilan potrząsnął energicznie głową.

– Nie. Wiem, co zamierzasz uczynić – odparł. Wskazał na jucznego konika, czekającego cierpliwie za Abelardem. – Zabrałeś ze sobą Wyrwija. To jasne jak słońce, że wyruszasz na poszukiwanie Willa. Prawda?

W pierwszej chwili Halt chciał zaprzeczyć, ale udawał już zbyt długo i miał tego powyżej uszu. Poczuł coś na kształt ulgi, kiedy wreszcie mógł przyznać się do prawdziwych przesłanek, jakie nim powodowały.

– Nie miałem wyjścia, Gilanie – oświadczył spokojnie. – Obiecałem mu to. Nie istniał żaden inny sposób, by zwolniono mnie ze służby.

– Ale czy musiałeś posunąć się aż tak daleko? – spytał Gilan z niedowierzaniem w głosie. – Nie przyszło ci na myśl, że Duncan mógł kazać cię ściąć?

– Coś mi mówiło, że tego nie uczyni. Trzeba było zaryzykować.

Gilan smutno pokręcił głową.

– Na wygnanie czy dokądkolwiek – oznajmił – ale jadę z tobą.

Halt odwrócił wzrok. Wziął głęboki wdech, potem westchnął. Musiał przyznać, że była to niemała pokusa. Wybierał się w długą, ciężką i niebezpieczną drogę, toteż cieszyłby się, mając Gilana za towarzysza, nie mówiąc już o tym, że miecz młodego zwiadowcy mógł się podczas niej bardzo przydać. Jednak Gilan potrzebny był gdzie indziej i Halt, któremu mocno ciążyła świadomość, iż porzucił swe obowiązki, nie mógł pozwolić, by młodzieniec poszedł jego śladem.

– Gilanie, nie wolno ci – powiedział. Gilan już chciał się odezwać, ale Halt powstrzymał go ruchem ręki. – Miej na uwadze, że prosiłem, by pozwolono mi udać się na poszukiwanie Willa, ale mi odmówiono, jako że ponoć jestem tu potrzebny. A raczej byłem potrzebny – uściślił.

Umilkł na chwilę, a Gilan przytaknął ruchem głowy.

– No cóż, w moim mniemaniu ta potrzeba nie jest aż tak wielka. Jednak to tylko moja ocena i niewykluczone, że się mylę. Foldar na wolności stanowi rzeczywiste zagrożenie dla królewskiej władzy. Jego opór trzeba zdławić w zarodku. Nim jeszcze zdoła skupić wokół siebie większą grupę zwolenników, trzeba go wytropić, osaczyć i unieszkodliwić. I powiem szczerze, że żaden ze zwiadowców nie nadaje się do tego zadania lepiej niż ty.

– Nie licząc ciebie – zauważył Gilan, a Halt przyznał mu rację lekkim skinieniem głowy. Nie była to kwestia zbyt wygórowanego mniemania o sobie, a po prostu świadomość własnych możliwości.

– Może i tak – stwierdził – ale nie w tym rzecz. Jeśli zabraknie nas obu, Crowley będzie musiał powierzyć to zadanie komuś innemu.

– Nie obchodzi mnie to – obruszył się Gilan. Zwinął rzemień wodzy w dłoni, po czym znów go rozprostował. Halt uśmiechnął się do niego łagodnie.

– A mnie owszem, Gilanie. Niełatwo jest zerwać więzy lojalności. To boli, możesz mi wierzyć. Otóż nie pozwolę, żebyś wyrządził podobną krzywdę sobie samemu.

– Ale. Halt – Gilan był bliski rozpaczy, a szpakowaty zwiadowca zdawał sobie sprawę, że wręcz bliski łez. – Ciąży na mnie odpowiedzialność, bowiem to ja porzuciłem Willa. Zostawiłem go samego w Celtii! Gdybym został wtedy z nim, nigdy nie wpadłby w łapy Skandian!

Halt pokręcił głową. Gdy starał się pocieszyć młodzieńca, jego głos zabrzmiał zaskakująco łagodnie:

– Nie możesz się o to winić – stwierdził. – To, co wówczas uczyniłeś, było słuszne. Możesz winić raczej mnie – o to, że przyjąłem w nasze szeregi chłopaka, który miał dość honoru i odwagi, by tak się zachować. No i za to, że wyszkoliłem go w taki sposób, żeby nie istniał ani cień wątpliwości, iż tak właśnie postąpi.

Przerwał, by dać mu czas na przetrawienie tych słów. Gilana ogarnęły wątpliwości i nie był już tak pewien swego postanowienia, a Halt doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dorzucił jeszcze jeden argument:

– Gilanie, czy nie pojmujesz, że mogę porzucić swe stanowisko dlatego właśnie i tylko dzięki temu, że ty pozostaniesz na straży? Wiem i nie będę tego krył, że mało kto może mnie zastąpić. Jednak ty, jako jeden z niewielu, potrafisz sprostać temu zadaniu.

Słysząc to, Gilan zgarbił się lekko. Ze wzrokiem wbitym w ziemię mruknął gardłowym głosem:

– Dobrze. Już dobrze. Ale znajdź go, Halt. Znajdź go i przywieź z powrotem.

Halt znów obdarzył go niewesołym uśmiechem i pochylił się, by pochwycić ramię młodzieńca.

– To tylko rok – stwierdził. – Będziemy z powrotem, ani się obejrzysz. A teraz żegnaj, Gilanie.

– Z Bogiem – odpowiedział mu młody zwiadowca łamiącym się głosem. Rozległ się głuchy stukot kopyt na nawierzchni drogi: Abelard i Wyrwij ruszyli w stronę wybrzeża.

Gdy tak jechali, wiatr wiał Haltowi w twarz, ciskając w nią maleńkie kropelki deszczu. Woda zbierała się w większe krople na jego ogorzałym obliczu, a krople te spływały w dół po policzkach.

Nadpływający okręt zbliżał się powoli ku plaży, mocno przechylony na bok, a przy tym zanurzony znacznie głębiej niż powinien. Krawędź lewej burty wznosiła się zaledwie dziesięć centymetrów nad linią wody. Tymczasem załoga Eraka wyległa z chaty, by przyjrzeć się nowo przybyłym.

– To Slagor! – zawołał jeden ze Skandian na plaży, rozpoznawszy rzeźby zdobiące dziób.

– Co on tu robi? – zdziwił się ktoś inny. – Kiedy wypływaliśmy do Araluenu, siedział sobie spokojnie i bezpiecznie w Skandii.

Will wybiegł zza skał, gdzie rzucał do wody kawałki drewna. Dostrzegł Evanlyn, która wyjrzała z przybudówki. Po chwili znalazł się tuż obok niej. Wobec nowych okoliczności zapomniała o swym rozdrażnieniu.

– Skąd przypłynął ten okręt? – spytała ciekawie, ale Will tylko wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Byłem tam, przy skałach, spojrzałem, a tamci już wpływali do zatoki.

Okręt znajdował się już blisko brzegu. Will stwierdził, że członkowie jego załogi sprawiali wrażenie wycieńczonych i wynędzniałych. Teraz dawało się też dostrzec, iż wiele z desek tworzących pokrywę kadłuba było

potrzaskanych; zamiast masztu sterczał tylko kikut. Stojący wokół Willa Skandianie także nie omieszkali tego zauważyć.

– Slagor! – zawołał Erak. – Skąd, u diabła, się tu wziąłeś?

Krzepki mężczyzna siedzący u steru uniósł dłoń w geście powitania. Widać było, że jest tak samo wycieńczony jak reszta jego załogi. Jeden z żeglarzy stanął na dziobie i rzucił zwój ciężkiej liny ludziom Eraka czekającym na brzegu. W mgnieniu oka kilkunastu z nich pochwyciło ją i zaczęło ciągnąć okręt przez ostatnich kilka metrów. Wioślarze z ulgą wypuścili drzewca wioseł, nie mając nawet sił, by wciągnąć je na pokład. Ciężkie, dębowe wiosła pogrążyły się w wodzie, obijając się o burty.

Kil zazgrzytał o kamienie i okręt zatrzymał się. Ponieważ był zanurzony znacznie głębiej niż „Wilczy wicher", nie sposób byłoby go wyciągnąć na brzeg. Jego dziób ugrzązł już na dobre.

Żeglarze zaczęli zeskakiwać do płytkiej wody. Brnęli ku plaży. Gdy tylko znaleźli się na suchym lądzie, padli bez sił na nagie kamienie. Jednym z ostatnich, którzy dotarli do brzegu, okazał się Slagor, kapitan statku.

Wycieńczony, usiadł ciężko na plaży. Brodę i włosy pokryte miał kryształkami soli, zmatowiałe. Przekrwione oczy spoglądały dziko. Erak stanął przed nim, lecz ku zdziwieniu Willa wodzowie nie przywitali się zbyt serdecznie, nawet nie uścisnęli sobie dłoni. Najwyraźniej nie przepadali za sobą.

– Co ty tu robisz o tej porze roku? – spytał Erak.

Slagor skrzywił się z niechęcią.

– Mamy sporo szczęścia, żeśmy w ogóle dotarli. Sztorm dopadł nas dwa dni po tym, jak wypłynęliśmy z Hallasholm. Fale wielkie jak zamczyska i wiatr prosto z bieguna. Maszt nie wytrzymał nawet godziny, a nieprędko udało nam się go odciąć. Straciliśmy przy tym dwóch ludzi. A potem jeszcze obijał się o burtę i zanim udało nam się od niego odpłynąć, zdołał wybić dziurę w deskach. Jedną z komór między grodziami ze szczętem zalało, nim się zorientowaliśmy, co się dzieje, a i inne też nabrały wody.

Wilcze okręty, choć wyglądały jak wielkie, otwarte łodzie, były w rzeczywistości jednostkami pełnomorskimi przystosowanymi do żeglugi w każdych niemal warunkach. Zawdzięczały to swej budowie, a mianowicie temu, że ich kadłuby podzielono na cztery osobne i wodoszczelne komory, znajdujące się pod głównym pokładem. To właśnie

pozwalało im utrzymywać się na powierzchni nawet wtedy, gdy zalewały je gigantyczne fale szalejące na Morzu Białych Sztormów.

Will spojrzał na Eraka. Potężnie zbudowany jarl zmarszczył brwi na słowa Slagora.

– Ale co cię skłoniło, żeby wypłynąć w morze? – spytał.

– To nie czas, żeby zapuszczać się na szerokie wody.

Slagor wziął do ręki drewniany kubek pełen wódki, który podał mu jeden z ludzi Eraka. Wokół nich członkowie załogi „Wilczego wichru" częstowali świeżą wodą i gorzałką swych wymizerowanych rodaków, opatrując też niekiedy rany, jakie tamci odnieśli podczas sztormu. Slagor nie podziękował ani słowem, nie uczynił nawet najmniejszego gestu, by okazać wdzięczność, toteż Erak znów przybrał marsowy wyraz twarzy. Bez wątpienia – uznał Will – ci dwaj dowódcy odnosili się do siebie niemal wrogo. Gdy Slagor opowiadał o swych przejściach na morzu, robił to w sposób napastliwy, jakby uprzedzając zaczepkę, której się spodziewał.

– W Hallasholm przejaśniło się – wyjaśnił zwięźle. – Myślałem, że damy radę przepłynąć przez strefę sztormów.

Wypił jednym haustem połowę zawartości kubka i otarł usta wierzchem dłoni.

Erak spoglądał na niego z niedowierzaniem.

– O tej porze roku? – powtórzył. – Czyżeś ze szczętem oszalał?

– Myślałem, że się uda – mruknął opryskliwie Slagor, a Will dostrzegł, że oczy Eraka zwęziły się. Jarl zniżył głos, aby nie dosłyszeli go inni z załogi, słowa, które wypowiedział, dotarły tylko do uszu Willa i Evanlyn.

– Do diabła z tobą – stwierdził. – Próbowałeś podjąć wyprawę wcześniej, nim nadeszła pora – by zdążyć przed innymi!

Slagor rzucił mu gniewne spojrzenie.

– A jeżeli nawet, to co? Mój okręt i moja wola! Nikt nie będzie mi mówił, co mam czynić.

– Ta twoja wola kosztowała życie dwóch ludzi – oburzył się Erak. – Dwóch ludzi, którzy nie mieli wyboru i musieli słuchać twoich rozkazów, choćby nawet najgłupszych. A przecież ktokolwiek, kto ma choć trochę doświadczenia, zdawałby sobie sprawę, że jest jeszcze za wcześnie, by próbować przebyć morze!

– Rozpogodziło się! – warknął tamten, a Erak parsknął pogardliwie:

– Rozpogodziło się, dobre sobie! To zwykła rzecz. Takie rozpogodzenie trwa dzień albo dwa. Nigdy jednak dość długo, by przepłynąć morze, a ty o tym wiesz. Do czorta z tobą i twoją chciwością, Slagorze!

Slagor wstał.

– Nie masz prawa mnie osądzać, Eraku. Kapitan jest panem swojego statku i nic nikomu do tego. Moją rzeczą jest decydować, kiedy i dokąd podoba mi się wyruszyć.

Przemawiał podniesionym głosem; widać było, że ponosi go gniew.

– Nie spodobało ci się wyruszyć z nami na wojnę – wytknął mu Erak z urazą w głosie. – Siedziałeś sobie bezpiecznie w domu, a potem pomyślałeś, że sprzątniesz innym sprzed nosa łatwy łup.

– Mój wybór – powtórzył Slagor – i to trafny, jak się okazało. – Teraz w jego głosie zabrzmiało szyderstwo: – Jak wieść niesie, niewiele zwycięstw i łupów przyniosła wam ta wyprawa. Czyż się nie mylę, drogi Eraku?

Erak podszedł do niego bliżej.

– Zważaj na słowa, podstępny złodzieju. Na tej wyprawie poległo wielu dobrych przyjaciół.

– A tak, słyszałem. Nie tylko przyjaciół – stwierdził Slagor. – Nie tylko, bo i ktoś więcej. Ragnak ci nie podziękuje za tę wyprawę, bowiem stracił na niej rodzonego syna.

Erak cofnął się mimo woli, zdumiony.

– Araluеńczycy pojmali Gronela?

Na ustach Slagora pojawił się paskudny uśmieszek, gdy zorientował się, że jego słowa wprawiły rozmówcę w takie zdziwienie.

– O nie. Gronel padł w boju. Zginął, jak słyszałem, podczas bitwy pod Lasem Cierniowym. Musisz wiedzieć, że niemało z naszych okrętów zdołało dopłynąć do Skandii, nim rozpętały się sztormy.

Rzeczywiście, gdy Will zastanowił się nad tym, uświadomił sobie, że „Wilczy wicher", okręt Eraka, był jednym z ostatnich, które opuściły wybrzeża Araluenu. Załoga wciąż jeszcze czekała na powrót dowódcy, podczas gdy ci, którzy ocaleli z zakończonej klęską wyprawy Hortha, zdążyli już przedrzeć się na swe okręty z wieścią o przegranej i odpłynąć. Później Will słyszał ludzi z załogi „Wilczego wichru", którzy rozmawiali o bitwie pod Cierniowym Lasem. Królewskie siły, które zdziesiątkowały Skandian, prowadziło dwóch zwiadowców, jeden był niski i szpakowaty,

drugi zaś młody i wysoki; to dzięki nim nie powiódł się manewr oskrzydlający, planowany przez najeźdźców. Will dobrze wiedział, kim byli owi zwiadowcy.

Erak ze smutkiem skłonił głowę.

– Gronel był wielkim wojownikiem – rzekł. – To ogromna strata.

– Jego ojciec z pewnością jest tego samego zdania. Zaprzysiągł Vallom zemstę na rodzie Duncana!

– Nie może być. – Erak uniósł brwi z niedowierzaniem. – Takie ślubowanie składa się tylko wobec zdrady lub skrytobójstwa!

Slagor parsknął wzgardliwie.

– Jest oberjarlem, więc może sobie poczynać, jak mu się spodoba. Ale teraz powiedz mi lepiej, czy na tej przeklętej wyspie jest coś do jedzenia? Słona woda zniszczyła wszystkie nasze zapasy.

Erak, wciąż pod wrażeniem zasłyszanych wieści, otrząsnął się jednak, by rzucić polecenie Willowi i Evanlyn:

– Rozpalcie ogień – rozkazał. – Tym ludziom trzeba gorącej strawy.

Gniewny był na siebie samego, że Slagor musiał przypomnieć mu o jego obowiązkach. Nie znosił Slagora, ale jego ludziom należała się pomoc po tym, co przeszli. Pchnął obcesowo Willa w stronę chat. Chłopak aż zatoczył się, ale zaraz ruszył biegiem, a Evanlyn tuż za nim.

Will nie miał pojęcia, czym jest owo ślubowanie Vallom, ale miał paskudne przeczucia oraz pewność co do tego, że odtąd utrzymanie w sekrecie tożsamości Evanlyn stało się kwestią życia albo śmierci.

Droga zbliżała się do morskiego brzegu, a do niej po obu stronach podchodził coraz bliżej z każdą przebytą milą las; wreszcie żyzne ziemie i uprawne pola skończyły się całkiem; odtąd gościniec wiódł na przemian przez puszczę i nieużytki.

Była to okolica, w której bandyci z łatwością mogli wpaść na podróżnych. Gęste drzewa w pobliżu drogi stwarzały doskonałe warunki do zasadzki. Halt jednak był w tak posępnym nastroju, że wręcz ucieszyłby się, gdyby jacyś pechowi zbójnicy zechcieli podjąć próbę pozbawienia go nielicznych dóbr, jakie miał w swym posiadaniu.

Ciężka saksa i lekki nóż do rzucania, ukryte pod płaszczem, znajdowały się w zasięgu ręki, podobnie jak długi łuk oparty o łęk siodła – z założoną cięciwą, zgodnie z przyjętym przez zwiadowców zwyczajem. Spod płaszcza wyglądały pierzaste bełty strzał; było ich dwa tuziny, a w razie jakiegoś zagrożenia trzeba było zaledwie ułamka sekundy, by śmiercionośne pociski zaczęły ze świstem przecinać powietrze. Powiadano, że każdy zwiadowca nosi w kołczanie życie dwudziestu czterech ludzi, co stanowiło wyraz swoistego uznania dla ich nieomylnej, nieludzkiej wprost celności przy strzelaniu z łuku.

Oprócz broni i własnego wyczulonego instynktu Halt dysponował też nad potencjalnym napastnikiem przewagą innego rodzaju. Oba konie –

Wyrwij i Abelard – zostały wyszkolone w ten sposób, by niepostrzeżenie dawać znak jeźdźcowi, gdy wyczują czyjąś obecność. I oto właśnie Abelard zastrzygł kilkakrotnie uszami, po czym i on, i Wyrwij potrząsały łbami, cicho przy tym parskając.

Halt wyciągnął rękę i leciutko poklepał swojego wierzchowca po grzbiecie.

– Dobre koniki – rzekł półgłosem.

Każdy niewtajemniczony obserwator uznałby, że jeździec po prostu uspokaja zwierzęta, w czym nie było zgoła nic niezwykłego. Tymczasem wyostrzone zmysły zwiadowcy rejestrowały każdy szczegół otoczenia. On sam pozostawał zaś w stanie najwyższej gotowości. Wypowiedział niemal bezgłośnie jeszcze jedno słowo:

– Gdzie?

Abelard przekrzywił nieznacznie głowę w lewą stronę, wskazując w ten sposób kępę drzew rosnących bliżej drogi niż pozostałe, około pięćdziesięciu metrów przed nimi. Halt odwrócił się niedbale za siebie i spostrzegł, że Wyrwij kłusujący lekko za nim, spogląda w tym samym kierunku. Nie ulegało wątpliwości: oba koniki wyczuły czyjąś obecność pośród drzew. Halt przemówił znowu:

– Dobrze.

Wiedząc, że ich ostrzeżenie zostało odebrane i potraktowane z należytą powagą, oba konie z powrotem skierowały łby przed siebie. Tak oto, dzięki doskonałemu porozumieniu człowieka ze zwierzęciem, zwiadowcy, prócz własnych niezwykłych umiejętności, byli w stanie wykorzystać w starciu z nieprzyjacielem czuły węch swoich wierzchowców.

Udając, że wciąż nie zdaje sobie sprawy z tego, że ktoś kryje się pośród drzew, Halt jechał dalej. Uśmiechnął się do siebie na myśl, że konie były jedynie w stanie powiadomić go o tym, że ktoś tam jest, ale nie potrafiły przewidzieć intencji tej osoby ani odróżnić wroga od przyjaciela. To by dopiero były nadnaturalne zdolności.

Od drzew dzieliło go tylko czterdzieści metrów; rosło ich tam kilka, otoczone były gęstymi krzakami. Wprost idealna kryjówka dla kogoś, kto chciałby przygotować zasadzkę. Ale z drugiej strony – rozumował Halt – ktoś mógł po prostu skryć się tam przed mżawką padającą już od z górą dziesięciu godzin. Halt spoglądał bystro spod kaptura. Teraz, gdy zbliżyli się do potencjalnego napastnika, Abelard wydał z siebie coś w rodzaju

głębokiego pomruku. Był to odgłos właściwie niesłyszalny, raczej gardłowa wibracja, którą zwiadowca bardziej wyczuł niż usłyszał. Halt lekko ucisnął kolanem bok wierzchowca.

– Wiem – szepnął; zdawał sobie sprawę, że cień kaptura skrywa poruszenie jego ust.

Wreszcie uznał, że jest już dość blisko. Łuk dawał mu przewagę tylko dopóty, dopóki pozostawał w odpowiedniej odległości. Leciutko pociągnął za wodze, Abelard zatrzymał się, Wyrwij postąpił jeszcze krok i również stanął.

Wprawnym, płynnym ruchem Halt wydobył z kołczana strzałę i założył ją na cięciwę. Łuku nie naciągnął, bo dziesięciolecia nieustannych wytrwałych ćwiczeń sprawiły, iż był w stanie tego dokonać oraz wycelować i wystrzelić w mgnieniu oka.

– Pokaż się, chcę cię zobaczyć – zawołał donośnym głosem. Po chwili z krzaków wyłonił się jeździec – mocno zbudowany, rosły. Zatrzymał konia na skraju drogi.

Wojownik – stwierdził Halt, spostrzegając matowy połysk kolczugi. Miał też na sobie płaszcz z kapturem, chroniący go przed deszczem. Zwykła stożkowata misiurka zwisała u jego siodła, na ramię miał zarzuconą okrągłą tarczę bez herbu. Halt nie dostrzegł miecza ani żadnej innej broni, ale, logicznie rzecz biorąc, takowa powinna znajdować się po lewej stronie jeźdźca, czyli po tej, której nie widział. Niewątpliwie jednak można było założyć, iż jakowymś orężem tamten dysponuje. Byłoby rzeczą dość niezwykłą, gdyby ktoś noszący zbroję i tarczę nie miał też i miecza.

Wszelako jednak sylwetka wydała mu się znajoma. Jeszcze chwila i Halt rozpoznał jeźdźca. Wsunął z powrotem strzałę do kołczanu i ruszył do przodu.

– Co tu robisz? – spytał, wiedząc już niemal na pewno, jaką usłyszy odpowiedź.

– Jadę z tobą – oznajmił Horace, potwierdzając przypuszczenia Halta. – Chcesz znaleźć Willa, a ja zamierzam wybrać się z tobą.

– Rozumiem – rzekł Halt, ściągając wodze, gdy znalazł się obok młodzieńca.

Horace był wysokim chłopakiem, a przy tym jego bojowy rumak mierzył w kłębie kilka piędzi więcej niż Abelard. Zwiadowca musiał tedy zadrzeć

głowę do góry, by popatrzeć na twarz młodego wojownika. Dostrzegł w niej spokojną determinację, wyraz powziętego postanowienia.

– A jak myślisz, co powie twój mistrz sztuk walki, gdy się o tym dowie? – spytał.

– Sir Rodney? – Horace wzruszył ramionami. – Już o tym wie. Powiedziałem mu.

Halt przekrzywił głowę, nieco zaskoczony. Przypuszczał bowiem dotąd, że Horace po prostu uciekł, by do niego dołączyć. Jednak rycerski czeladnik był młodzieńcem prostolinijnym, szczerym i nieskłonnym do działania w ukryciu czy podstępów. Potajemna ucieczka po prostu nie leżała w charakterze Horace'a.

– I cóż rzekł na tę wiekopomną wieść?

Horace zmarszczył brwi, wyraźnie nie zrozumiał.

– Słucham? – spytał niepewnie, na co Halt westchnął.

– Co powiedział, kiedy go o tym powiadomiłeś? Jak go znam, to pewnie dał ci w ucho? – Rodney nie słynął bynajmniej z wyrozumiałości wobec niezdyscyplinowanych uczniów swej szkoły. Przeciwnie, cechowała go porywczość, która nieraz dawała się kadetom we znaki.

– Nie – odparł bezbarwnym głosem Horace. – Poprosił, żebym przekazał ci wiadomość.

Halt potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– A jaka to wiadomość? – spytał; zauważył, że Horace poruszył się niespokojnie w siodle, wyraźnie czując się nieswojo wobec mrukliwego zwiadowcy.

– Kazał życzyć ci powodzenia – odparł po chwili. – I jeszcze, że przybywam za jego zgodą, ale żebym nikomu o tym nie rozpowiadał.

– Rzecz jasna – powtórzył Halt, nie dając po sobie poznać, jak zaskoczył go ten nieoczekiwany gest ze strony sir Rodneya. – Trudno się spodziewać, by wyraził oficjalną zgodę na twoją ucieczkę w towarzystwie przestępcy skazanego na banicję, nieprawdaż?

Horace zastanowił się nad tym i skinął głową.

– Pewnie nie – odezwał się. – A więc pozwolisz, żebym z tobą pojechał?

Halt żachnął się.

– Oczywiście, że nie – oświadczył. – Nie mam czasu, żeby się tobą opiekować.

Słysząc lekceważący ton Halta, chłopak poczerwieniał z gniewu.

– Sir Rodney powiedział też, że przyda się dobry miecz, by chronić cię podczas twych wędrówek.

– Tak właśnie brzmiały jego słowa? – spytał Halt, spoglądając uważnie na młodzieńca.

Horace potrząsnął głową.

– No… niezupełnie.

– W takim razie powtórz mi je dokładnie – zażądał.

Horace wziął głęboki wdech.

– No… powiedział: „Przyda ci się dobry miecz do obrony."

Halt skrył uśmiech.

– Do czyjej obrony? Masz nim bronić mnie czy raczej własnego tyłka?

Horace zaczerwienił się jak burak i nic nie odpowiedział. Jednak milczenie było w tym wypadku najlepszą repliką. Halt przyglądał mu się uważnie. Nie lekceważył bynajmniej słów Rodneya i zdawał też sobie sprawę, że chłopakowi nie brak odwagi. Dowiódł tego na równinie Uthal, gdy wyzwał na pojedynek samego Morgaratha.

Mogło się jednak zdarzyć, iż za sprawą tamtego zwycięstwa stał się zarozumiały i zbytnio zadufany w sobie – innymi słowy, że sława i pochwały zawróciły mu w głowie. Gdyby tak się stało, natychmiast odpowiedziałby na sarkastyczną uwagę Halta. Jednak tego nie uczynił i takie zachowanie mówiło niemało o charakterze chłopaka. Jak te dzieciaki się zmieniają – pomyślał Halt. Pamiętał, że przed wstąpieniem do szkoły Horace zachowywał się niekiedy jak tępy osiłek i dokuczał słabszym. Jednak od tego czasu najwyraźniej dojrzał, a i dyscyplina Szkoły Rycerskiej uczyniła swoje. Ciekawa przemiana.

Zastanowił się raz jeszcze. Prawdę powiedziawszy, miło by było mieć towarzystwo podczas tej wyprawy. Odmówił Gilanowi, bo wiedział, że jego dawny uczeń potrzebny jest w Araluenie. Tymczasem sprawa z Horace'em przedstawiała się zgoła inaczej. Otrzymał pozwolenie na tę wyprawę od swego dowódcy – nieoficjalne, ale pozwolenie. Ten dzieciuch potrafił posługiwać się mieczem jak mało kto. Był przy tym lojalny i można było na niego liczyć.

No i – Halt musiał się do tego przyznać przed samym sobą – odkąd Will znalazł się w niewoli, brakowało mu obecności kogoś młodego. Brakowało mu młodzieńczego entuzjazmu i zapału. I wstyd powiedzieć, ale

brakowało mu nawet tych nigdy niekończących się pytań, które stanowiły, tak czasem irytujący, przywilej młodości.

Uświadomił sobie, że Horace spogląda na niego z niepokojem. Czekał na decyzję, bo jak dotąd otrzymał w odpowiedzi tylko zjadliwą uwagę Halta na temat tego, czyj mianowicie tyłek ma być chroniony. Westchnął ciężko i nieco przesadnie zmarszczył brwi.

– Pewnie będziesz dniem i nocą zasypywał mnie pytaniami, co?

Na dźwięk napastliwego tonu jego głosu Horace skulił się nieco, ale w następnej chwili pojął znaczenie wypowiedzianych słów. Twarz chłopaka rozjaśniła się.

– To znaczy, że mogę jechać? – spytał; w podnieceniu jego głos zabrzmiał piskliwiej niżby wypadało tak dzielnemu wojownikowi. Halt pochylił się, by poprawić rzemień u przytroczonej do siodła sakwy, który wcale nie wymagał poprawienia. Nie chciał, by akurat teraz chłopak dojrzał uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy.

– Chyba muszę się zgodzić – rzekł z udawaną niechęcią. – Przecież nie możesz wrócić do sir Rodneya, skoro już i tak uciekłeś, no nie?

– On przecież… to znaczy. Dziękuję ci, Halt! Nie pożałujesz, obiecuję! Dawno sobie obiecałem, że pomogę ci znaleźć Willa i go uratować.

Chłopak perorował dalej, zachwycony tym, że Halt pozwolił mu wziąć udział w wyprawie. Zwiadowca tymczasem ścisnął lekko Abelarda kolanami i ruszył do przodu, a Wyrwij podążył za nim. Horace spiął swojego wierzchowca, by zrównać się z Haltem, wciąż dając upust swej radości i wdzięczności.

– Wiedziałem, że wyruszysz na jego poszukiwanie. Od razu zgadłem, że specjalnie obraziłeś króla Duncana. Nikt w całym Redmont nie mógł uwierzyć, kiedy rozeszła się wieść o tym, co zrobiłeś, ale ja od razu pojąłem, że to po to, żeby móc wyruszyć i odbić Willa, i żeby…

– Dosyć tego! – Halt uniósł dłoń, by przerwać ten potok słów, a Horace umilkł wpół zdania, chyląc głowę.

– Tak. Jasne. Przepraszam. Już ani słowa – obiecał.

– Byłbym wdzięczny… – skinął głową Halt.

Uciszony Horace jechał w milczeniu obok swego nowego mistrza. Zmierzali w kierunku wschodniego wybrzeża. Przebyli co najmniej sto metrów, nim ciekawość znów wzięła górę:

– Gdzie znajdziemy jakiś statek? – spytał. – Czy popłyniemy prosto do Skandii? Czy o tej porze roku można tam dopłynąć?

Halt odwrócił się, by zgromić młodzieńca spojrzeniem.

– No pięknie, już się zaczyna – mruknął zrzędliwie.

Jednak w głębi duszy poczuł się znacznie raźniej. Mało tego: tak lekko na sercu nie było mu już od długich tygodni.

Niespodziewane przybycie okrętu Slagora, noszącego nazwę „Wilczy Kieł", sprawiło, że życie na Skorghijl stało się jeszcze cięższe.

Przede wszystkim w kwaterach zrobiło się ciasno, bo zamieszkiwały je dwie załogi, podczas gdy miejsca było tylko dla jednej. Ciasnota sprawiała, że coraz częściej dochodziło do bójek. Źle znoszący bezczynność Skandianie zabijali czas, oddając się pijaństwu i grze – co nader często kończyło się gwałtownymi sprzeczkami. Dopóki dotyczyło to członków jednej załogi, kłótnie wybuchały i szybko gasły, po czym zapominano o nich. Jednak gdy w grę zaczęła wchodzić lojalność wobec kolegów, z którymi żeglowało się i walczyło ramię w ramię, spory stawały się zażarte i nieraz sięgano po broń, nim Erak zdążył na powrót zaprowadzić spokój.

Will zauważył, że Slagor nigdy nie podnosił głosu, by uciszyć spory. Im dłużej obserwował kapitana „Wilczego Kła", tym bardziej zdawał sobie sprawę, że człowiek ten ma niewielki mir u swych ludzi i nie cieszy się szczególnym poważaniem innych Skandian. Zrozumiał, że ludzie z jego załogi służyli mu dla pieniędzy, nie zaś z poczucia lojalności.

Gdy przybyła druga załoga, Willowi i Evanlyn przybyło też pracy – w dwójnasób. Musieli teraz gotować dla dwukrotnie większej liczby wygłodniałych wojów, którym trzeba było podawać misy z jedzeniem, a potem je po nich zmywać. Dwakroć więcej Skandian wydawało im teraz

polecenia, żądając takich czy innych posług. Na szczęście przynajmniej ich skromna kwatera w przybudówce wciąż pozostała do ich wyłącznej dyspozycji. Jako że było tam zbyt ciasno dla któregokolwiek z rosłych wojowników, żaden z nich nawet nie pomyślał, by się w niej urządzić. Cóż – jak stwierdził Will – była to jedyna dobra strona niewoli u wielkoludów.

Jednak Willowi i Evanlyn dały się we znaki nie tylko ciągłe bójki i dodatkowe obowiązki. Dla księżniczki wieść o zemście zaprzysiężonej przez Ragnaka tajemniczym Vallom była wprost druzgocąca. Bez wątpienia szło teraz o jej życie, a najdrobniejszy błąd, jakiekolwiek rzucone przez któreś z nich nieopatrzne słowo, mogły stanowić dla niej wyrok śmierci. Wciąż przypominała Willowi, by strzegł się, by dalej odnosił się do niej jak do równej sobie, tak jak czynił to, nim wyjawiła mu swą prawdziwą tożsamość. Najdrobniejszy choćby znak respektu z jego strony mógłby wywołać podejrzenia i przyczynić się do jej zguby.

Oczywiście Will zapewniał ją, że zrobi wszystko, by dochować sekretu. Pilnował się, by nawet w myślach nie nazywać jej Cassandrą, lecz zawsze używać imienia Evanlyn. Jednak im bardziej wystrzegał się tego imienia, tym usilniej mu się ono narzucało, wciąż miał je na końcu języka… toteż żył w bezustannym lęku, że niechcący ją wyda.

Wszelkie animozje, jakie powstały między nimi z frustracji czy nudy, poszły w niepamięć wobec tego nowego, przerażająco rzeczywistego zagrożenia. Znów byli przyjaciółmi i sprzymierzeńcami, a ich determinacja, by pomagać sobie wzajemnie, na nowo stała się równie silna, jak podczas wspólnego krótkiego pobytu w krainie Celtów.

Teraz oczywiście nie mogło być już mowy o realizacji planu Evanlyn, bowiem nie było co liczyć na odzyskanie wolności dzięki okupowi. Świadomość ta i fakt, że zmuszona była bezustannie wykonywać upadlającą, niewolniczą pracę, czyniły jej życie na Skorghijl czymś naprawdę trudnym do zniesienia. Jedyną jej pociechą był Will – pełen optymizmu, radosny, zawsze dobrej myśli. Nie uszło jej uwadze, że gdy tylko było to możliwe, podejmował się za nią najczarniejszej roboty i była mu za to wdzięczna. Wstydziła się teraz swojego zachowania sprzed kilku dni. Jednak kiedy próbowała go przeprosić – zaśmiał się tylko.

– Oboje wariujemy od tej ciasnoty – twierdził. – Im prędzej stąd uciekniemy, tym lepiej.

A więc wciąż planował ucieczkę! Zdała sobie sprawę, że będzie musiała uciekać razem z nim. Projekt jednak nie został jeszcze chyba dopracowany w szczegółach.

Przynajmniej tak jej się zdawało, bo chłopak nic jej o nim nie mówił.

Tymczasem Skandianie ukończyli właśnie wieczorny posiłek, a więc trzeba było uporać się ze stosem drewnianych talerzy i łyżkami oraz kubkami, które należało wyczyścić w morskiej wodzie, a potem wypolerować piaskiem. Westchnęła i schyliła się po naczynia. Była zmęczona, a myśl o tym, że musi wejść po kostki do lodowatej wody i szorować gary, niezbyt ją pociągała.

– Ja to zrobię – rzekł cicho Will. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy żaden z wojowników ich nie obserwuje i odebrał od niej ciężki wór.

– Nie – zaprotestowała. – To niesprawiedliwe.

Powstrzymał ją ruchem ręki.

– I tak chciałem coś sprawdzić na brzegu. Dzięki temu będę miał dobry pretekst. A zresztą masz za sobą kilka ciężkich dni. Idź i odpocznij – uśmiechnął się. – Jeśli to ci poprawi humor, zapewniam, że i jutro, i pojutrze też będzie mnóstwo zmywania, więc będziesz miała okazję nadrobić zaległości, a ja sobie wtedy poleniuchuję.

Obdarzyła go słabiutkim uśmiechem i dotknęła jego ręki na znak podziękowania. Myśl o tym, że za chwilę będzie mogła wyciągnąć się na swym twardym legowisku i nie będzie miała nic do roboty, zdawała się aż zbyt piękna, by być prawdziwą.

– Dzięki – powiedziała.

Will uśmiechnął się szerzej, zadowolony, że wszelkie niesnaski między nimi zostały zapomniane.

– Przynajmniej to dobre, że naszym gospodarzom nie brak apetytu – zauważył. – Nie zostawiają zbyt wiele na talerzach.

Zarzucił na ramię wór z grzechoczącą zawartością i skierował się w stronę plaży. Evanlyn schyliła się i weszła do przybudówki.

Jarl Erak wyszedł z hałaśliwego, zadymionego pomieszczenia jadalnego i odetchnął głęboko chłodnym morskim powietrzem. Życie na wyspie także

i jemu dawało się coraz bardziej we znaki, zwłaszcza że Slagor nie czynił nic, by utrzymać dyscyplinę wśród swoich ludzi. Zwykły pijaczyna, z którego nie ma żadnego pożytku – pomyślał gniewnie Erak. W dodatku nawet nie wojownik – wszyscy wiedzieli, że podczas swych wypadów obierał najsłabiej bronione cele, a sam nigdy nie brał udziału w walce. Przed chwilą zaś nawet nie kiwnął palcem, gdy wywiązała się bójka między jednym z jego ludzi i żeglarzem z „Wilczego wichru". Tamten posługiwał się fałszowanymi kośćmi do gry, a gdy jeden z ludzi Eraka mu to wytknął, sięgnął po nóż.

Erak wtrącił się i jednym ciosem swej potężnej pięści powalił oszusta, który padł bez przytomności. Jednak potem, by nie zdało się nikomu, że faworyzuje swoich, musiał też powalić wojownika z własnej załogi, choć tamten miał przecież słuszność.

Do diabła z taką sprawiedliwością – pomyślał, rozcierając knykcie. Nie miał jednak innego wyjścia, jeśli chciał uniknąć posądzenia o to, że sprzyja wyłącznie swoim.

Usłyszał czyjeś kroki na żwirze i ujrzał ciemną sylwetkę zbliżającą się do brzegu wody. Zmarszczył brwi w zamyśleniu. To był ten araluеński chłopak.

Ukradkiem ruszył jego śladem. Usłyszał brzęk kubków i stukot talerzy wysypywanych na ziemię, a potem odgłos szorowania. Może po prostu zmywał naczynia. A może nie. Stąpając ostrożnie, zbliżył się nieco.

Choć jarlowi zdawało się, że stąpa bezgłośnie, wyćwiczone ucho Willa dawno już wychwyciło odgłos jego kroków. Równie dobrze mógłby próbować mnie podejść ociężały mors – pomyślał chłopak.

Odwrócił się i rozpoznał rosłą postać Eraka, która w ciemnościach wydawała się jeszcze potężniejsza, bowiem wojownik narzucił na ramiona niedźwiedzią skórę, by osłonić się przed porywami lodowatego wiatru. Chciał podnieść się z kucek, by powitać Eraka, ale jarl machnął ręką.

– Rób swoje – rzucił szorstko.

Tak więc Will szorował dalej, zerkając czasem kątem oka na skandyjskiego wodza. Erak powiódł wzrokiem po zatoce, wciągając nozdrzami zapach nadchodzącej burzy.

– Ależ smród tam, w środku – mruknął wreszcie.

– Za dużo ludzi, za mało miejsca – zauważył Will, nie podnosząc wzroku i szorując talerz. Erak intrygował go. Młody zwiadowca wiedział, że

Skandianin to twarda sztuka, nieugięty i bezlitosny wojownik. Ale Erak nie miał w sobie nic z bezmyślnej, okrutnej bestii. Przeciwnie, choć zachowywał się szorstko, wydawał mu się nawet sympatyczny.

Erak także obserwował Willa. Co ten chłopak knuje? Pewnie zachodzi w głowę, jak stąd uciec – pomyślał. On w każdym razie na jego miejscu z pewnością nad tym właśnie by się zastanawiał. Ten zwiadowczy czeladnik jest bystrym i pomysłowym chłopakiem, a przy tym nie brak mu odwagi. A także determinacji – uwadze Eraka nie umknęło, jak zawzięcie Will ćwiczył, biegając po plaży niezależnie od pogody.

Po raz kolejny zdał sobie sprawę, że myśli z niejakim szacunkiem o młodym zwiadowcy – zresztą o dziewczynie także. Przecież i ona wykazała się nie lada charakterem.

No tak, dziewczyna. Zmarszczył brwi. Prędzej lub później będą z nią kłopoty. Zwłaszcza że miał do czynienia ze Slagorem i jego ludźmi. Załoga „Wilczego kła" stanowiła istną zbieraninę nieciekawych obwiesiów oraz drobnych złoczyńców. Żaden porządny żeglarz czy wojownik nie zaciągnąłby się na okręt Slagora.

No cóż – uświadomił sobie mimochodem – jeśli spróbują tknąć dziewczynę, trzeba będzie rozbić parę łbów i tyle. Nie zamierzał pozwolić, by jego pozycję kwestionował taki motłoch jak ludzie Slagora. Dwójka niewolników była własnością Eraka. Mało tego, w niej upatrywał jedynego widoku na zysk po nieszczęsnej wyprawie do Araluenu. Jeśli ktokolwiek spróbuje w jakikolwiek sposób umniejszyć wartość towaru, który do niego należy – to oberwie za swoje. Gdy tak rozmyślał, próbował sobie wmówić, że idzie mu tylko o ochronę własnych zysków. W gruncie rzeczy wiedział jednak, że nie jest to cała prawda.

– Jarlu Eraku – odezwał się chłopiec, głosem niepewnym, bo chciał zadać pytanie, a wcale nie był pewien, czy postępuje właściwie.

– Hę? – mruknął Erak.

Nie brzmiało to zbyt zachęcająco, ale Will uznał, że lepsze takie nawiązanie rozmowy niż żadne. Pozwolił więc sobie spytać:

– Czym jest to ślubowanie Vallom, o którym mówił jarl Slagor?

Starał się, by zabrzmiało to niedbale, jakby pytał z czystej ciekawości. Erak skrzywił się jednak, ale na szczęście tylko dlatego, że Will posłużył się niewłaściwym tytułem.

– Slagor nie jest żadnym jarlem – poprawił go. – Jest jedynie skirlem, czyli kapitanem okrętu.

– O, przepraszam – pokajał się Will. W żadnym razie nie było jego zamiarem rozgniewanie Eraka, a tymczasem, dając do zrozumienia, że uważa Slagora za kogoś mu równego, na to właśnie się naraził.

Zawahał się, ale odniósł wrażenie, że poirytowanie Eraka szybko minęło, toteż znów zdobył się na śmiałość:

– A ślubowanie Vallom? – przypomniał.

Erak beknął cicho i podrapał się po plecach. Ani chybi, ludzie Slagora przywlekli ze sobą pchły. Chłód, wilgoć i smród, a teraz jeszcze to. Nie pierwszy raz pomyślał, że lepiej by się stało, gdyby okręt Slagora pochłonęły fale Morza Białych Sztormów.

– No, ślubowanie to ślubowanie, o czym tu gadać? Ragnak właśnie takie złożył. A przecież nie miał żadnego powodu. Z Vallami lepiej nie zadzierać, jeśli ktoś ma choć odrobinę oleju w głowie – dodał zrzędliwym tonem.

– Z Vallami? – spytał Will. – Ale kim są Valle?

Erak popatrzył z niedowierzaniem na przykucniętą postać chłopca. Coś podobnego, ci Araluеńczycy o niczym nie mają pojęcia.

– Nigdy nie słyszałeś o Vallach? Czego oni was tam uczą na tej waszej wysepce?

Will uznał, że najlepiej będzie nic nie odpowiadać. Po chwili milczenia Erak przemówił:

– Chłopcze, Valle to trzy boginie zemsty. Przybierają postacie rekina, niedźwiedzicy i sępa.

Umilkł, by przekonać się, jakie wrażenie zrobiły jego słowa na chłopcu. Will miał wrażenie, że tym razem wypada coś powiedzieć.

– Aha, rozumiem – rzekł niepewnym głosem. Erak parsknął pogardliwie.

– Akurat, rozumiesz. Valli nikt nigdy nie zrozumie, bo też i nikt rozsądny nawet nie będzie próbował tego uczynić. Ba, nikt o zdrowych zmysłach nie poważyłby się na nie przysięgać.

Will zastanowił się:

– Czyli ślubowanie Vallom oznacza zaprzysiężenie zemsty? – upewnił się.

Erak skinął ponuro głową.

– Zemsty totalnej – odparł. – Gdy kogoś ogarnia nienawiść tak wielka, że poprzysięga zemstę nie tylko temu, kto go skrzywdził, lecz także całej jego

rodzinie.

– Nawet kobietom? – wyrwało się Willowi. Przez ułamek chwili Erak zastanawiał się, czy w tych pytaniach aby coś się nie kryje. Uznał jednak, że ta wiedza żadnym sposobem nie pomoże chłopakowi w ewentualnej ucieczce, toteż nie widział przeszkód, by wyjaśnić mu wszystko do końca.

– Klątwa dotyczy całej rodziny, mężczyzn, kobiet i dzieci. Kto składa takie ślubowanie, poprzysięga śmierć im wszystkim, a ślubowania tego nie można złamać. Gdyby ktoś to uczynił, Valle wywarłyby pomstę na nim samym i wszystkich jego krewnych. Mówiłem ci już, że nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby mieć nic wspólnego z Vallami.

Milczeli przez chwilę. Will zastanawiał się, czy nie posuwa się aby zbyt daleko, ale uznał, że może zaryzykować jeszcze pytanie lub dwa.

– Skoro są takie okropne, to czemu Ragnak…? – zaczął, ale Erak nie pozwolił mu dokończyć.

– Bo to szaleniec! – rzucił. – Mówiłem ci, tylko szaleniec kląłby się na Valle! Ragnak nigdy nie grzeszył nadmiarem rozsądku, a teraz, po śmierci syna, całkiem już musiał postradać zmysły.

Skrzywił się z niechęcią. Najwyraźniej miał dosyć rozmowy na temat Ragnaka i groźnych Valli.

– Ciesz się, chłopcze, że nie należysz do rodziny Duncana. I że nie jesteś krewnym Ragnaka!

Odwrócił się w stronę chat; przez szpary między belkami widać było błysk ognia, rzucającego dziwne, wydłużone smugi światła na mokre kamienie.

– A teraz wracaj do roboty – rzucił gniewnie i ruszył z powrotem, by nie zważając na smród, schronić się w cieple.

Will spoglądał za nim, machinalnie spłukując ostatni talerz zimną, morską wodą.

– Naprawdę musimy się stąd wydostać – rzekł do siebie szeptem.

Było tu tyle do oglądania i słuchania, że Horace po prostu nie wiedział, w którą stronę się odwrócić.

Portowe miasto La Rivage tętniło życiem. U nabrzeża kotwiczyło mnóstwo statków, od zwykłych rybackich łodzi, po kupieckie dwumasztowce. Las masztów i lin ciągnął się w dal jak okiem sięgnąć. W uszach dzwoniło mu od wrzasków mew, które walczyły zawzięcie o odpadki ryb, rzucane przez rybaków do zatoki. Wielkie oraz małe statki unosiły się i opadały na falach, ani przez chwilę nie przestając się poruszać. Prócz przenikliwych okrzyków ptactwa port wypełniało skrzypienie i trzeszczenie setek wiklinowych odbojników, chroniących kadłuby statków.

Czuł zapach dymu i smażonych oraz gotowanych potraw, całkiem różnych od prostych dań, jakie przyrządzano na Zamku Redmont. W tych aromatach kryło się coś więcej; coś egzotycznego, kuszącego i obcego.

Cóż – pomyślał – tego należało się spodziewać, przecież po raz pierwszy w swym młodym życiu postawił nogę na obcej ziemi. Owszem, już wcześniej poznał krainę Celtów, ale ta przecież stanowiła tylko część tej samej wyspy, na której położony był Araluen. Tutaj zaś wszystko było inne. Wokół rozlegały się głosy, gniewne lub rozbawione, nawołujące się,

kłótliwe albo radosne. Nie pojmował ani słowa, choć mógł domyślać się, że wyrażały złość, zadowolenie, przekomarzanie się czy obelgi.

Stał na nabrzeżu; właśnie opuścili pokład statku kupieckiego, który przewiózł ich przez Wąskie Morze. Dzierżył w dłoni wodze trzech wierzchowców, podczas gdy Halt rozliczał się z szyprem. Statek jako główny ładunek wiózł do Galii całe stosy cuchnących skór wołowych, przeznaczonych do tutejszych garbarni, toteż po czterech dniach spędzonych pośród tego obmierzłego fetoru Horace zastanawiał się, czy będzie jeszcze kiedykolwiek w stanie włożyć na siebie coś wykonanego ze zwierzęcej skóry.

Jakaś dłoń chwyciła go za pas – odwrócił się, zaskoczony.

Zgarbiona i pomarszczona starucha szczerzyła się do niego w uśmiechu, ukazując bezzębne dziąsła i wyciągając w jego kierunku rękę w żebrzącym geście.

Odziana była w łachmany, a na głowie miała chustkę, która być może kiedyś była pstrokata, teraz jednak tak przesiąkła brudem, że trudno by określić jej kolor. Rzekła coś w tutejszym języku, na co on mógł tylko wzruszyć ramionami. Domyślił się, że to żebraczka, ale przecież nie miał ani grosza.

Jej natarczywy uśmiech zniknął i przerodził się we wściekły grymas. Powiedziała coś, a chłopak, nie znając ani słowa w jej języku, zdał sobie sprawę, że nie było to nic miłego. Odwróciła się i pokuśtykała dalej, czyniąc na odchodnym dziwny znak ręką w powietrzu. Horace bezradnie pokręcił głową.

Jego uwagę przykuł głośny śmiech; ujrzał trzy młode dziewczyny, najwyżej o kilka lat od niego starsze, które przyglądały się tej scence. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Wszystkie były wyjątkowo ładne, a tak przynajmniej mu się zdawało, przy tym zaś odziane nader skąpo. Jedna z nich nosiła spódnicę, która kończyła się wysoko nad kolanami.

Najwyraźniej rozbawione jego zachwytem, zaczęły dawać mu znaki. Szybko zamknął rozdziawione ze zdumienia usta, na co one roześmiały się jeszcze głośniej. Jedna z nich zawołała coś, czyniąc przyzywający gest. Oczywiście nic nie zrozumiał, zmieszał się okropnie i poczerwieniał na twarzy.

To zaś wprawiło dziewczęta w jeszcze większą wesołość. Przycisnęły dłonie do policzków, dając mu do zrozumienia, że spostrzegły jego

zmieszanie, i trajkocząc coś w tym dziwnym języku.

– O, widzę, że już zawierasz nowe znajomości – zauważył Halt, który niepostrzeżenie stanął obok niego. Zwiadowca spoglądał na niego i dziewczyny z lekkim rozbawieniem.

– Znasz tutejszy język? – spytał chłopak. Właściwie nie był tym zaskoczony. Od zawsze przypuszczał, że zwiadowcy dysponują najrozmaitszymi umiejętnościami, a dotychczasowe doświadczenia przekonały go, że tak w istocie było. Jego towarzysz skinął głową.

– Owszem, przynajmniej na tyle, żeby jakoś sobie poradzić – odparł spokojnie, a Horace, tak dyskretnie, jak tylko potrafił, wskazał tamte trzy dziewczyny.

– Co one mówią? – spytał.

Twarz zwiadowcy przybrała kamienny wyraz, który Horace zdążył już dobrze poznać.

– Może lepiej, żebyś nie wiedział – odpowiedział.

Horace nie miał pojęcia, o co chodzi, ale nie chciał wyjść na takiego głupca, jakim czuł się w tej chwili.

– Aha. Może i lepiej – zgodził się.

Halt dosiadł Abelarda, toteż i Horace wskoczył lekko na siodło Kickera, swojego wierzchowca. Dziewczęta wyraziły swój entuzjazm hałaśliwymi okrzykami. Poczuł, że znów czerwieni się jak burak. Halt rzucił mu spojrzenie, które po trosze wyrażało politowanie, a po trosze rozbawienie. Ruszył przodem wąską, zatłoczoną uliczką prowadzącą z nabrzeża.

Gdy Horace znalazł się w siodle, odzyskał zwykłą pewność siebie. Tłum spieszących we wszystkie strony cudzoziemców przestał wprawiać go w zakłopotanie. Teraz – wydało mu się – nikt nie zamierzał się z niego naśmiewać, domagać jałmużny lub obrzucać obelgami. Piesi zawsze odnosili się z naturalnym respektem do ludzi zbrojnych i dosiadających wierzchowców – zdążył do tego przywyknąć w Araluenie, jednak tutaj, w Galii, stało się to jakby jeszcze bardziej widoczne. Przechodnie szybciej usuwali się na boki, schodząc z drogi jeźdźcom i podążającemu za nimi jucznemu konikowi.

Przyszło mu do głowy, że być może w Galii panują nieco inne zwyczaje niż w jego ojczyźnie. W Araluenie piesi ustępowali drogi jeźdźcom, powodowani zwykłym rozsądkiem. Tutaj odnosiło się wrażenie, iż powoduje nimi lęk. Już miał spytać o to Halta, gdy ugryzł się w język. Halt

wciąż zbywał jego pytania byle czym, pragnąc zapewne utemperować ciekawość chłopaka. Postanowił, że wstrzyma się do czasu, gdy staną gdzieś na południowy posiłek.

Zadowolony z siebie i z tego postanowienia, nawet nie zdał sobie sprawy, że całkiem inna kwestia nie dająca mu spokoju zmusiła go, by niemal machinalnie przywołać uwagę zwiadowcy:

– Halt? – odezwał się nieśmiało. Usłyszał westchnienie jadącego obok niego niskiego, krępego mężczyzny.

– Już myślałem, że złapałeś tu jakąś cudzoziemską chorobę – zauważył Halt. – Od trzech minut nie zadałeś mi żadnego pytania.

Horace od razu pożałował, że otworzył usta, ale brnął dalej:

– No… bo jedna z tych dziewczyn – zwiadowca natychmiast spojrzał na niego bystro – no, tego… miała bardzo krótką spódnicę.

Chwila milczenia.

– I co? – ponaglił go Halt, nie bardzo wiedząc, do czego poprowadzi ta rozmowa. Horace niespokojnie poruszył się w siodle. Wspomnienie tej dziewczyny i jej zgrabnych nóg sprawiło, że jego policzki znów przybrały żywy kolor.

– No… – rzekł niepewnie – chciałem tylko wiedzieć, czy to tutaj normalne.

Halt przyglądał się uważnie poważnemu obliczu młodzieńca. Odkaszlnął kilka razy, nim przemówił:

– Może jest kurierką? – zaproponował odpowiedź.

Horace zmarszczył brwi.

– Jak to kurierką?

– Zwyczajnie. Wiesz chyba, co to kurier, nie? Posłaniec, który przenosi wiadomości – zerknął na Horace'a, by sprawdzić, czy chłopak dał się nabrać. Najwyraźniej Horace nie podejrzewał, że Halt kpi sobie z niego, więc dodał tonem wyjaśnienia: – Pilne wiadomości.

– Aha. Pilne wiadomości – powtórzył Horace, nie bardzo rozumiejąc, w czym rzecz. Wyraźnie jednak brał jego wyjaśnienia za dobrą monetę. Tak więc Halt ciągnął dalej:

– No właśnie. Jeśli wiadomość jest naprawdę pilna, trzeba biec, żeby ją przekazać, prawda?

Dostrzegł w oczach chłopca błysk zrozumienia. Horace pokiwał głową, jakby zaczynał pojmować.

– Rozumiem. W krótkiej spódnicy łatwiej biegać, czy tak?

– No właśnie, właśnie. Długa spódnica byłaby przeszkodą, przyznasz? Zwłaszcza, kiedy biega się często – znów rzucił Horace'owi krótkie spojrzenie, by sprawdzić, czy chłopak nie zorientował się aby, że Halt kpi sobie z niego w żywe oczy. Jednak twarz młodego rycerza wyrażała tylko szczere zainteresowanie oraz chęć poznania prawdy.

– No tak. Tak – odparł w końcu chłopak, a potem dodał nieco ciszej: – A przy tym to nieźle wygląda.

Halt znów spojrzał na niego bystro, ale Horace chyba był zadowolony z odpowiedzi. Przez chwilę zwiadowca odczuwał drobne – drobniutkie – poczucie winy. Naiwność tego dzieciaka była wprost rozczulająca i doprawdy, zbyt łatwo udało się go wprowadzić w błąd. Jednak następne spojrzenie na poczciwe oblicze rycerskiego czeladnika utwierdziło go w przekonaniu, że Horace ma przed sobą mnóstwo czasu, by poznać nieco mroczniejszą stronę życia. Nic się nie stanie, jeśli ta rozbrajająca niewinność przetrwa nieco dłużej.

Opuścili La Rivage północną bramą. Droga wiodła pośród uprawnych pól. Horace wciąż rozglądał się ciekawie, bo tutejszy krajobraz był całkowicie inny niż w Araluenie. Rosło więcej różnych gatunków drzew, toteż widać było także więcej odcieni zielonego listowia. Uprawiano jakąś roślinę, która była mu nieznana – widział wielkie, szerokie liście na łodygach, których wysokość sięgałaby jego głowy; więdły już i najwyraźniej pozwalano im wyschnąć, nim zostaną zebrane. W kilku miejscach Horace dostrzegł takie same liście, które suszyły się dalej, na drewnianych kratownicach pod wiatami. Ciekaw był, co to może być, ale postanowił nie nadużywać cierpliwości Halta i powstrzymać się z pytaniami.

Dostrzegł też inną różnicę, subtelniejszą. Zresztą nie od razu uświadomił sobie, na czym ona polegała. Otóż odnosiło się wrażenie pewnej nieschludności, zaniedbania – spoglądając na te pola i zgromadzone zbiory. Owszem, niektóre z pól były zaorane, lecz brakowało tak wyraźnej i widocznej troski, jaka rzucała się w oczy, gdy spoglądało się na użytki w jego kraju. Tutejsi rolnicy mniej dbali o swoje pola, a pośród uprawnych roślin widać było więcej chwastów.

– Plagą tej ziemi jest wojna – rzekł cicho Halt.

Horace spojrzał na niego, zdumiony. Rzadko się zdarzało, by mrukliwy zwiadowca z własnej inicjatywy przerywał ciszę.

– Wojna? Kto z kim walczy? – zaciekawił się.

Halt podrapał się po brodzie.

– Gallowie. Brak tu silnej królewskiej władzy. Tym krajem rządzą dziesiątki pomniejszych możnowładców, rycerzy, baronów – w gruncie rzeczy lokalnych rozbójników. Napadają na siebie bezustannie i walczą każdy z każdym. Właśnie dlatego pola są tu tak zaniedbane. Pewnie połowa rolników została zmuszona, by zaciągnąć się do armii któregoś z nich.

Horace rozejrzał się po polach ciągnących się wzdłuż drogi. Nie widać było śladów bitwy, tylko brak dbałości.

– Czy to dlatego, ludzie spoglądają tu na nas. z lękiem? – spytał, a Halt kiwnął głową z uznaniem.

– A, zauważyłeś? To dobrze. Będą z ciebie ludzie – kiedyś. Owszem – ciągnął dalej, odpowiadając na pytanie Horace'a – jezdni czy zbrojni w tym kraju raczej budzą lęk niż zaufanie. Zamiast strzec pokoju, najczęściej niosą ze sobą grozę i śmierć.

W Araluenie wieśniacy darzyli żołnierzy szacunkiem, jako obrońców swych pól, swego życia i swoich rodzin przed potencjalnymi napastnikami. Tutaj – uświadomił sobie Horace – ktoś noszący broń kojarzył się raczej z rozbojem.

– W tym kraju panuje zamęt – mówił dalej Halt. – Król Henryk jest słaby i nie dysponuje prawdziwą władzą. Toteż baronowie wiodą ze sobą nieustanne wojny i mordują się wzajemnie. Niewielu z nich dożywa późnej starości… co akurat nie jest wielką stratą, zapewniam.

Gorzej jednak, że cierpi na tym niewinny lud, tylko dlatego, że wchodzi im w drogę. Ten stan rzeczy może oznaczać kłopoty także dla nas, ale będziemy musieli po prostu… A, niech to.

Te ostatnie słowa wypowiedział cicho, ale coś w jego głosie sprawiło, że Horace drgnął nerwowo. Popatrzył w tę samą stronę co zwiadowca.

Zjeżdżali właśnie drogą wiodącą w dół z niewielkiego wzgórza, porośniętą po obu stronach gęstymi zaroślami. U stóp pagórka biegł strumyk przecinający pola, nad którym wybudowano kamienny most. Był to widok malowniczy, poza tym dość zwykły, nawet sielski.

Jednak to nie zarośla, nie mostek i nie strumień skłoniły Halta do wydania cichego okrzyku. Kłopot polegał na tym, że ich drogę przegradzał dosiadający konia rycerz w zbroi.

Evanlyn poczuła lekkie dotknięcie dłoni Willa na ramieniu. Zaskoczył ją, co prawda nie spała, ale nie usłyszała go.

– W porządku – szepnęła. – Nie śpię.

– Księżyc się schował – odparł także szeptem Will. – Czas na nas.

Odrzuciła koce i usiadła. Była całkowicie ubrana, zdjęła tylko buty. Sięgnęła teraz po nie i zaczęła je naciągać. Will podał jej kilka szmat, które wyciął z własnego koca.

– Obwiąż tym stopy – polecił. – Stłumią odgłos kroków na kamieniach.

Zauważyła, że on sam już zdążył owinąć swoje buty, uczyniła więc pospiesznie to samo.

Przez cienką ścianę dzielącą przybudówkę od dormitorium słyszeli odgłosy chrapania i pomruków wydawanych przez sen. Jeden ze Skandian dostał ataku kaszlu, a Will i Evanlyn zamarli w bezruchu, by przekonać się, czy kaszel kogoś nie obudził. Odczekali kilka minut, aż znów zapanował spokój. Will wstał i podszedł do drzwi; Evanlyn za nim.

Wstrzymując oddech, chłopak pchnął drzwi przybudówki, które poruszyły się bezgłośnie – nasmarował uprzednio ich zawiasy łojem. Odetchnął z ulgą. Skoro księżyc zaszedł, brzeg był teraz tylko pasmem czerni, a woda ledwie połyskiwała w ciemnościach, odbijając słabe światło gwiazd. Od kilku dni pogoda uspokoiła się. Noc była bezchmurna, wiatr

też jakby nieco ucichł. Wciąż jednak rozbrzmiewało głuche dudnienie fal rozbijających się o zewnętrzny brzeg wysepki.

Evanlyn z trudem dostrzegała w ciemnościach mroczne kształty dwóch wyciągniętych na plażę okrętów. Obok widniał jeszcze jeden, dużo mniejszy. Była to szalupa, którą pozostawił tam Svengal po swojej ostatniej rybackiej wyprawie. Do niej właśnie mieli wsiąść.

Will spokojnie przypomniał jeszcze raz marszrutę, jaką postanowił obrać. Omawiali ją co prawda już tej nocy, ale chciał mieć pewność, że dziewczyna wszystko dobrze zapamiętała. On sam całkiem nieźle opanował sztukę poruszania się w taki sposób, by nikt go nie widział i stało się to niemal jego drugą naturą, ale wiedział, że Evanlyn nie będzie czuła się tak pewnie na otwartej przestrzeni. A więc będzie starała się przebyć ją jak najprędzej, aby w możliwie najkrótszym czasie dotrzeć do okrętów.

Pośpiech oznaczał zaś więcej hałasu i zwiększone ryzyko, że zostaną spostrzeżeni. Zbliżył usta do jej ucha i rzekł najcichszym z szeptów:

– Tylko spokojnie. Najpierw do ław. Potem do skał. Dopiero wówczas kieruj się w stronę okrętów i tam na mnie zaczekaj.

Skinęła głową. Widział, że jest zdenerwowana, jej oddech przyspieszył. Ścisnął ją delikatnie za ramię.

– Spokój. I pamiętaj, gdyby ktokolwiek się pojawił, po prostu natychmiast przestań się poruszać. Gdziekolwiek będziesz się znajdować, w jakiejkolwiek pozycji.

W tak słabym świetle to właśnie było podstawową zasadą krycia się. Obserwator mógł nie zauważyć kogoś pozostającego w idealnym bezruchu. Natomiast najdrobniejsze poruszenie mogło zwrócić jego uwagę, bowiem w ciemnościach oko lepiej dostrzega ruch niż kształty.

Pchnął ją leciutko.

– Ruszaj. – Wzięła głęboki wdech i wyszła na zewnątrz.

Gdy zmierzała w stronę pierwszego schronienia, jakim miały być ławy i stół odległe od chaty o dziesięć metrów, czuła się całkiem odsłonięta. Nikły blask gwiazd wydawał jej się tak intensywny jak światło dzienne i musiała walczyć z przemożną chęcią, by przyspieszyć kroku, ruszyć biegiem. Zamiast tego ostrożnie stawiała kroki, jeden za drugim.

Owinięte wokół stóp szmaty całkiem skutecznie tłumiły zgrzyt kamieni. Jednak pomimo tego miała wrażenie, iż czyni wprost ogłuszający hałas. Jeszcze cztery kroki… trzy… dwa… jeden.

Z bijącym sercem przycupnęła wreszcie w cieniu stołu. Następnym celem miało być skupisko skał znajdujących się opodal plaży. Zawahała się, kusiło ją, by pozostać w bezpiecznym cieniu. Wiedziała jednak, że jeśli nie ruszy od razu, potem może zabraknąć jej odwagi. Postąpiła więc znów przed siebie, ostrożnie stawiając stopy i krzywiąc się przy każdym cichutkim stuknięciu kamyków. Przechodziła teraz na wprost drzwi chaty sypialnej, toteż gdyby pojawił się w nich któryś ze Skandian, natychmiast by ją zobaczył.

Znalazła się u podnóża skał, znów pod osłoną cienia. Najcięższy odcinek drogi miała już za sobą. Odczekała chwilę, by uspokoić łomotanie serca, a potem rozpoczęła ostatni etap wędrówki. Teraz, gdy była już blisko celu, ogarnęła ją przemożna chęć, by ruszyć biegiem. Zwalczyła jednak tę pokusę i skradając się powoli, doszła do okrętów, po czym skryła się w czerni pod burtą „Wilczego kła".

Wyczerpana napięciem, opadła na mokre kamienie, opierając się o deski poszycia. Teraz Will ruszył jej śladem.

Gdy spojrzała w niebo, zorientowała się, że jest na nim jednak kilka rozproszonych chmur i rzucają one głębszy cień na plażę. Will dostosowywał rytm swoich ruchów do wiatru i wędrujących cieni, pokonując trasę dopiero co przebytą przez Evanlyn. Wstrzymała oddech w zdumieniu, gdy nagle po kilku pierwszych metrach straciła go z oczu, tak jakby w ogóle nie było go tam, gdzie przecież musiał się znajdować. Potem widziała chłopca przez krótką chwilę, ale znów wtopił się w tło i ujrzała go dopiero przy skałach. A po dłuższej chwili wyrósł spod ziemi kilka metrów od niej. Niesamowite – pomyślała.

– Trudno się dziwić, że ludzie posądzają zwiadowców o czary. Nieświadom tych przemyśleń Will rzucił jej uśmiech i zbliżył się, żeby mogli zamienić parę słów.

– Wszystko w porządku? – spytał półgłosem, a gdy skinęła głową, spytał: – Jesteś pewna, że nie chcesz się wycofać?

Tym razem nie wahała się ani chwili.

– Tak – oświadczyła stanowczo. Znów lekko ścisnął jej ramię, by wyrazić swe uznanie dla jej determinacji.

– Świetnie – stwierdził.

Rozejrzał się. Znajdowali się już w sporej odległości od chat, z pewnością nikt by ich nie usłyszał, zresztą dodatkowo ich głosy zagłuszał szum

wiatru, który wiał bezustannie, choć nie był już tak porywisty jak wcześniej. Przyszło mu natomiast do głowy, że dobrze będzie dodać dziewczynie nieco odwagi. Wskazał palcem na łódź.

– Pamiętaj, to w gruncie rzeczy mała łódka. O wiele mniejsza od ich okrętów, więc będzie unosić się na falach, a nie je przecinać. Będziemy na niej bezpieczni, jakbyśmy byli w domu.

Nie był tak całkiem pewien, czy te dwa ostatnie stwierdzenia są zgodne z prawdą, wydawało mu się jednak, że nie może być inaczej. Spędził sporo czasu, przyglądając się mewom i pingwinom u brzegów wyspy. Ptaszyska pływały sobie po powierzchni, nie dbając o wielkie fale, toteż doszedł do wniosku, że im jest się mniejszym, tym bezpieczniej.

Przydźwigał ze sobą wielki skórzany bukłak na wino, który ukradł ze spiżarni. Wino wylał i zamiast alkoholu napełnił go wodą. Nie smakowała najlepiej, lecz dzięki niej będą mogli przeżyć. A zresztą – doszedł do wniosku – czym paskudniejsza, tym mniej będzie chciało im się pić. Ułożył ostrożnie bukłak na dnie łodzi, po czym przez kilka minut dokonywał jej inspekcji, sprawdzając, czy wiosła, ster i maszt wraz z żaglem są bezpiecznie umocowane. Wiedział, że za chwilę ruszy odpływ i woda zacznie się cofać. Miał niejasne wrażenie, że wybrzeże Teutonii znajduje się gdzieś na południe od nich. Może zresztą trafi im się jakiś statek, bowiem letnie wichury miały się w oczywisty sposób ku końcowi. Nie zastanawiał się zbytnio nad tym, co może przynieść przyszłość. Pewien był tylko jednego, a mianowicie, że nie zamierza dłużej pozostawać więźniem. Jeśli trzeba będzie, woli umrzeć, próbując odzyskać wolność.

– Cóż, nie będziemy tu sterczeli całą noc – stwierdził. – Łap za drugą burtę, zepchniemy łódź do wody. Najpierw do góry, potem pchaj.

Podpierając ramionami nadspodziewanie ciężki kadłub, z początku ledwie zdołali sprawić, by drgnął. Jednak wspólnymi siłami udało się im pchnąć łódź o kilka centymetrów w stronę wody, a potem, gdy stępka nie tkwiła już tak głęboko pośród kamieni, poszło łatwiej. Jeszcze chwila i łódź unosiła się na spokojnej powierzchni wody. Wspięli się oboje do środka, Will odepchnął się nogą. Zaczęli pomału oddalać się ku środkowi zatoki. Will poczuł przez chwilę ogarniające go uczucie tryumfu, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że jeszcze nie czas, by sobie gratulować. Spięta i blada Evanlyn trzymała się kurczowo obu burt, gdy łódka zaczęła się chybotać.

– Jak na razie wszystko idzie dobrze – stwierdziła, ale drżenie jej głosu zdradzało zdenerwowanie. Will niezdarnie umieścił wiosła w dulkach. Nieraz przyglądał się czyniącemu to Svengalowi, ale teraz okazało się, że to wcale nie takie łatwe, jak się zdawało. Po raz pierwszy ogarnęły go wątpliwości. Kto wie, czy nie podjął się aby zadania ponad siły? Spróbował wiosłować, ale pióro lewego wiosła nawet nie zanurzyło się w wodzie, łódź skręciła gwałtownie, a on sam omal nie spadł z ławki.

– Powoli, spokojnie – poradziła mu Evanlyn. Spróbował znów, tym razem ostrożniej. Poskutkowało, zdołał wprawić łódkę w ruch. Przypomniał sobie, że Svengal pod koniec każdego ruchu obracał wiosła, by łatwiej było wyciągnąć je z wody. Rzeczywiście, przy zastosowaniu tej metody szło lżej. Poczuł się nieco pewniej, wykonał jeszcze kilka zamachów, łódź nabrała prędkości. Odpływ wspomagał ich, a gdy Evanlyn rzuciła okiem w stronę brzegu, aż przestraszyła się, widząc, jak bardzo już się od niego oddalili.

Will zauważył to.

– Gdy wypłyniemy na środek, będzie jeszcze szybciej – stwierdził pomiędzy dwoma pociągnięciami wioseł. – Poniesie nas główny prąd odpływu.

– Willu! – zawołała nagle z przerażeniem w głosie. – Łódź nabiera wody!

Dotąd nie poczuła tego, bo stopy miała wciąż owinięte szmatami. Teraz jednak przesiąkły, a gdy spojrzała w dół, zorientowała się, że woda chlupie na dnie łodzi, przelewając się po jej deskach tam i z powrotem.

– E tam, trochę się nalało i tyle – stwierdził lekceważąco. – Wybierzemy ją, gdy opuścimy zatokę.

– Nie, zobacz! – zawołała głośno. – Naprawdę nabieramy wody! Spójrz!

Teraz przyjrzał się uważnie i lęk chwycił go za gardło. Miała słuszność. Na dnie było już kilka centymetrów wody i zdawało się, że jej poziom szybko się wznosi.

– Zacznij wylewać – zawołał. – Prędko!

Na rufie znajdowało się małe wiaderko, które pochwyciła teraz i zaczęła pospiesznie wybierać nim wodę i wylewać ją za burtę. Nie nadążała jednak, a Will poczuł tymczasem, że łódź coraz oporniej reaguje na jego ruchy.

– Zawracaj! Zawracaj! – wrzasnęła Evanlyn. Teraz nie było już sensu zachowywać ciszy. Will bez słowa skinął głową i naparł desperacko na jedno z wioseł, obracając łódź dziobem ku brzegowi. Teraz musiał walczyć

z prądem odpływu i w przestrachu zaczął wiosłować gorączkowo. Znów przeciągnął wiosło nad wodą i stracił równowagę; mało brakowało, a zgubiłby je. Zaschło mu w ustach ze strachu, gdy pochwycił w ostatniej chwili drzewce. Evanlyn, która w gorączkowym pośpiechu wybierała wodę, zdała sobie sprawę, że wlewa jej z powrotem do środka niemal tyle samo, co wylewa na zewnątrz. Zmusiła się więc, by zapanować nad ogarniającą ją paniką i zadbać o większą staranność. Teraz poszło trochę lepiej, ale wciąż nie nadążała – łódź napełniała się prędzej, niż Evanlyn była w stanie ją opróżniać.

Na szczęście Will miał dość rozsądku, by skierować łódź nieco na bok, wydostając się w ten sposób z głównego nurtu odpływu. Zaczęli wreszcie przybliżać się do brzegu. Wciąż jednak nabierali coraz więcej wody, a im głębiej zanurzała się łódka, tym działo się to szybciej i tym ciężej było wiosłować.

– Wiosłuj, wiosłuj! Z całych sił! – zachęcała go Evanlyn. Stękając ciężko, napierał mocno na drzewca wioseł, wlokąc oporną łódź w stronę plaży. Prawie im się udało. Byli zaledwie trzy metry od brzegu, gdy łódka zanurzyła się całkowicie. Morze przelało się przez jej burty i poszła na dno. Gdy stali w wodzie po pas, dysząc ciężko z wyczerpania, Will uświadomił sobie, że pozbawiona ich ciężaru szalupa wypłynęła teraz i unosi się tuż pod powierzchnią. Pochwycił ją i pociągnął ku plaży, Evanlyn podążyła za nim.

– Chcieliście się potopić? – spytał ponury głos. Ujrzeli stojącego na brzegu Eraka; kilku ludzi z jego załogi towarzyszyło mu, przyglądając się przemokniętym do suchej nitki Willowi i Evanlyn z widocznym rozbawieniem.

– Jarlu Eraku… – zaczął Will i umilkł. Co miał powiedzieć?

Erak obracał w dłoniach jakiś niewielki, podłużny przedmiot, który rzucił teraz Willowi.

– Nie zapomniałeś o czymś? – odezwał się znaczącym tonem.

Will przyjrzał się: przedmiot miał kształt cylindryczny, długi na sześć, o przekroju około dwóch centymetrów. Uniósł brwi, nie rozumiejąc.

– My, prości żeglarze, nazywamy takie coś szpuntem – wyjaśnił kpiąco Erak. – Przydaje się o tyle, że dzięki niemu łódź nie nabiera wody. Zawsze warto sprawdzić, czy jest na swoim miejscu.

Will myślał, że się rozpłacze. Był przemoczony, wyczerpany i wciąż jeszcze trząsł się ze zdenerwowania. Najbardziej jednak przytłaczało go poczucie poniesionej klęski. I to z powodu zwykłego, głupiego korka! Cały plan na nic, bo nie pomyślał o kawałku drewna!

W następnej chwili potężna dłoń pochwyciła go za koszulę i uniosła w górę tak, że nagle jego twarz znalazła się na wysokości gniewnego oblicza Eraka.

– Nie próbuj robić ze mnie głupca, chłopcze! – warknął Skandianin. – Jeszcze raz spróbujesz czegoś takiego, a wybatożę cię do krwi! – odwrócił się do Evanlyn: – I ciebie też!

Przytrzymał go jeszcze przez moment w górze, a potem cisnął na ziemię. Uczeń zwiadowcy upadł, uderzając boleśnie o twarde kamienie plaży, złamany i pokonany.

– A teraz precz mi stąd! – rozkazał Erak.

No proszę, ładne rzeczy – rzekł cicho Halt z wyraźnym niesmakiem w głosie.

Przed sobą mieli kamienny mostek, wznoszący się nad niewielką rzeczką. Na mostku czekał konny rycerz w pełnej zbroi.

Halt sięgnął za ramię i wydobył strzałę z kołczanu, zakładając ją na cięciwę.

– Co się stało? – spytał Horace.

– Kiedy ja się spieszę, tym Gallom zachciewa się psich figli – mruknął zwiadowca. – Patrz na tego głupca: będzie domagał się myta za przekroczenie byle głupiego mostku.

W tej samej chwili odziany w stal mężczyzna uniósł wierzchem prawej dłoni przyłbicę. Wyszło to dość nie – zręcznie, tym bardziej, że prawicę zaciskał na długiej, trzymetrowej kopii. O mało jej przy tym nie upuścił i walnął się jednocześnie drzewcem w hełm. Obaj podróżni usłyszeli głuchy brzęk.

– Halte-là, mes seigneurs! Il ya ici un droit de passage qui m'est dû! – zawołał raczej dość piskliwym głosem. Horace oczywiście nie zrozumiał, jednak nie mógł nie dosłyszeć groźby w tych słowach.

– Co on powiedział? – spytał, ale Halt machnął tylko ręką.

– Niech gada po naszemu, jeśli chce z nami rozmawiać – rzucił gniewnie, a potem głośno zawołał: – Jesteśmy Araluеńczykami!

Nawet z tej odległości można było dostrzec pogardliwe wzruszenie ramion, które uniosło naramienniki i napierśnik zbroi; wyraźnie ich rodacy nie cieszyli się tu wielką estymą. Potem zaś rycerz znów się odezwał, a uczynił to z tak wyraźnym gallijskim akcentem, że trudno było cokolwiek zrozumieć.

– Jest tu do zapłacić, żeby przejechać ten most – zawołał. – Nie ma zapłata, nie ma przejechać!

Horace zmarszczył czoło.

– Co takiego? – spytał Halta, a znużony zwiadowca wyjaśnił:

– Co za dzicz, prawda? Chodzi mu o to, że musimy zapłacić, żeby przekroczyć należący do niego mostek.

– Zapłacić? Za co? – zdziwił się Horace.

– Zwykły rozbój i tyle – odparł Halt. – Gdyby w tym głupim kraju istniał prawdziwy władca, takim jak on nie uszłoby to na sucho. Tymczasem każdy rządzi się tu własnym prawem. Rycerze zasadzają się na podróżnych u mostów czy na skrzyżowaniach dróg i domagają się opłacenia haraczu. Podróżni mają do wyboru – płacić albo walczyć z nimi. Mało kto może mierzyć się ze zbrojnym rycerzem, toteż większość po prostu płaci.

Horace uniósł się w strzemionach, by lepiej obejrzeć sobie gallijskiego rycerza. Obcy, spinając wierzchowca ostrogami i jednocześnie ściągając wodze, skłonił konia do postukiwania w miejscu kopytami, co zapewne miało wywołać wrażenie, iż w każdej chwili gotowy jest do morderczej szarży, tym sposobem zniechęcając podróżnych, na wypadek gdyby mieli chęć stawić opór. Na romboidalnej tarczy rycerza widniał topornie odmalowany herb, przedstawiający głowę jelenia. Miał na sobie pełną zbroję i kolczugę oraz narzuconą na wierzch tunikę przyozdobioną tym samym godłem. Zbroi dopełniały metalowe rękawice, takież nagolennice i hełm w kształcie garnka z nasuwaną przyłbicą – obecnie otwartą. Spod niej wyzierała pociągła twarz o długim, spiczastym nosie. Końce sumiastych wąsów wystawały na zewnątrz, toteż Horace wywnioskował, iż zamykając przyłbicę, rycerz za każdym razem musi wtykać je do środka.

– I co robimy? – spytał.

– No, nie wiem. Chyba będę musiał zastrzelić tego głupka – rzekł zrezygnowanym tonem Halt. – Nie ma mowy, żebym miał płacić myto

każdemu bandycie, któremu się zdaje, że reszta świata ma zapewniać mu środki na utrzymanie. A jednak to spory kłopot.

– Czemu? – zdziwił się Horace. – Jeśli zastępuje nam drogę i sam się naprasza, żeby oberwać, to przecież musi liczyć się z tym, że ktoś go zabije. Dostanie tylko to, na co zasłużył.

Halt opuścił łuk, ale wciąż był gotowy do strzału.

– Chodzi o coś, co ci głupcy nazywają kodeksem rycerskim – wytłumaczył. – Gdyby został zabity lub ranny w honorowym pojedynku, to inna rzecz. Oczywiście, przykre zdarzenie, ale nikt by się tym nie przejął. Natomiast jeśli ja wbiję mu strzałę w jego pustą łepetynę, inni uznają to za pogwałcenie reguł. Bez wątpienia ma tu przyjaciół albo krewnych. Tacy głupcy zawsze znajdą sobie podobnych, którzy będą ich wspierać. Otóż, jeśli go zabiję, mogą zechcieć nas ścigać. Tak więc, jak mówiłem, oznacza to kłopoty.

Westchnął i podniósł łuk.

Horace raz jeszcze rzucił okiem na wojowniczą postać przed nimi. Rycerz najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że dzieli go tylko kilka sekund od marnego końca. Zapewne niewiele miał w życiu do czynienia ze zwiadowcami, a zbroja dodawała mu złudnej pewności siebie. Nie miał pojęcia, że jeśli Halt zechce, strzała trafi dokładnie w otwór zamkniętej przyłbicy – zaś przyłbica podniesiona była celem wręcz banalnym dla kogoś dysponującego takimi umiejętnościami jak Halt.

– A. może ja się tym zajmę? – zaproponował niepewnie Horace. Halt, który już gotów był do strzału, zdziwił się.

– Ty? A w jaki sposób?

– Co prawda nie jestem jeszcze rycerzem, wiem o tym, ale chyba sobie z nim poradzę – stwierdził Horace. – Sam mówiłeś, że jeśli jego przyjaciele uznają, iż pokonał go inny rycerz, nie będą nas nękać, prawda?

– Panowie! – zawołał tymczasem tamten, zniecierpliwiony. – Trzeba odpowiedzieć moja żądanie!

Tym razem Horace zrozumiał i popatrzył pytająco na Halta.

– Sam słyszysz, domaga się odpowiedzi. Jesteś pewien, że nie bierzesz na siebie zbyt wiele? – upewnił się zwiadowca. – Bądź co bądź, jesteś jeszcze uczniem, a masz przed sobą pełnoprawnego rycerza.

– No… owszem – Horace zająknął się, nie chciał bowiem, by Halt uznał, że się przechwala. – Tylko że on raczej niewiele umie, prawda?

– Czyżby? – w głosie Halta zabrzmiała ironia, ale ku jego zaskoczeniu chłopak spokojnie pokręcił głową.

– No, tak. Nie za wiele. Popatrz, jak trzyma się w siodle. Ledwie utrzymuje równowagę. I już teraz zbyt mocno ściska kopię w ręku. Widzisz? No i ta jego tarcza, zauważyłeś? Jest o wiele za nisko, żeby poradzić sobie z „nagłą Julką".

Halt uniósł w zdumieniu brwi.

– Jaką znowu Julką?

Horace nie zwrócił uwagi na sarkastyczny ton w głosie zwiadowcy. Wyjaśnił po prostu:

– Chodzi o szybką zmianę kierunku uderzenia kopią. Udajesz, że chcesz uderzyć w tarczę na wysokości piersi, a potem w ostatniej chwili podnosisz grot, mierząc w hełm – urwał, a potem dodał przepraszająco: – Nie wiem, dlaczego to się tak nazywa.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Halt zdał sobie sprawę, że to nie są próżne przechwałki ze strony jego towarzysza. Najwyraźniej wiedział, o czym mówi. Zwiadowca w zamyśleniu podrapał się po policzku. Właściwie warto by się przekonać, na ile dobrze Horace sprawuje się w walce – pomyślał. – Gdyby coś poszło nie tak, Halt zawsze będzie mógł po prostu przeszyć strzałą samozwańczego strażnika mostu. Pozostawał jeszcze jeden drobny problem.

– Tylko że jeśli chodzi o tę „Julkę", wydaje mi się, że dostrzegam pewne braki w twoim planie. Otóż jakoś nie zauważyłem, żebyś miał przy sobie kopię.

Horace skinął poważnie głową.

– E, to powinno pójść łatwo. Przy pierwszym starciu postaram się, żeby i on jej nie miał.

– Panowie! – zawołał rozjuszony już na dobre rycerz. – Trzeba, żeby odpowiedzieć!

– Och, zamknij się, durniu – mruknął Halt. – Powiadasz więc, że jesteś w stanie pozbawić go tej kopii?

Horace nie miał co do tego wątpliwości:

– Wystarczy na niego popatrzeć. Odkąd mu się przyglądamy, już trzykrotnie o mało jej nie upuścił. Nawet dziecko mogłoby mu ją odebrać.

Halt nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Oto Horace, który sam ledwie wyrósł z wieku dziecięcego, powiadał, że dziecko mogłoby odebrać kopię

zastępującemu im drogę dorosłemu rycerzowi. Jednak w następnej chwili Halt przypomniał sobie, czego zdarzało mu się dokonywać, gdy był w wieku Horace'a i czego dokonał sam Horace podczas pojedynku z Morgarathem, bez wątpienia o wiele groźniejszym przeciwnikiem niż ten śmieszny błazen u mostu. Zdał sobie sprawę, że chłopak najzwyczajniej w świecie zna się na rzeczy, a jego pewność siebie nie wynika z zadufania, lecz z rzetelnych umiejętności.

– Brzmi to tak, jakbyś rzeczywiście wiedział, o czym mówisz – rzekł. Mimo woli zabrzmiało to raczej jako stwierdzenie niż pytanie. A Horace po prostu raz jeszcze skinął głową.

– Nawet nie wiem, skąd to się bierze. Posiadam wyczucie w takich sprawach. Sir Rodney powiada, że mam to we krwi.

Niemal zupełnie to samo Halt usłyszał od Gilana po bitwie na Równinie Uthal. W jednej chwili podjął decyzję:

– No, dobrze – powiedział. – Spróbujmy.

Zwrócił się z pełną rewerencją do poirytowanego rycerza, wołając do niego głośno:

– Panie, mój towarzysz postanowił zmierzyć się z tobą po rycersku!

Jeździec zesztywniał i wyprostował się w siodle. Teraz także Halt zauważył, że omal nie spadł z niego rażony nieoczekiwaną wieścią.

– Po rycersku, tak? – zawołał. – Ale on nie być rycerz!

Halt pokłonił się ostentacyjnie, tak by tamten to dostrzegł.

– Ależ jest rycerzem, zaprawdę! – odkrzyknął. – Oto sir Horace z Zakonu Feuille de Chêne – umilkł, a w następnej chwili mruknął do siebie: – Zaraz, a może Crêpe de Chêne? Ba, nieważne.

– Co to znaczy? – spytał Horace, zsuwając jednocześnie tarczę z pleców i mocując ją na lewym przedramieniu.

– Powiedziałem, że jesteś sir Horace'em z Zakonu Dębowego Liścia – wytłumaczył Halt, po czym dodał mniej pewnym głosem: – O ile się nie pomyliłem. Być może nazwałem ten zakon imieniem Dębowego Naleśnika.

Horace niewiele dbał o zakony rycerskie, natomiast rzecz taką jak rycerskie reguły traktował nader poważnie, więc zmieszał się – z całą pewnością nie miał prawa posługiwać się tytułem „sir".

– Czy to było naprawdę konieczne? – upewnił się.

– O, tak – zapewnił go zwiadowca. – Nie będzie walczył z byle kim. Wiesz, tylko rycerz jest godnym przeciwnikiem dla rycerza. Pewnie nawet

nie zauważył, że masz na sobie zbroję – dodał, gdy Horace stanowczym ruchem założył na głowę stożkowatą misiurkę.

Zdążył już przedtem nasunąć na głowę nagłownik kolczugi, który dotąd skrywał się pod jego płaszczem. Swoją drogą, samego płaszcza należało się pozbyć, więc chłopak rozpiął zapinkę i rozejrzał się, nie wiedząc, co zrobić z okryciem. Halt wyciągnął rękę.

– Daj – rzekł, odbierając je od niego i przerzucając przez siodło. Horace zauważył, że Halt zrobił to w taki sposób, żeby jego długi łuk nie zaplątał się w tkaninę.

– Nie będzie ci potrzebny – stwierdził.

– Różni już tak mówili – zauważył Halt, po czym zerknął w stronę strażnika mostku, który znów się odezwał:

– Wasz przyjaciel nie ma kopia – zauważył tamten, potrząsając własnym jesionowym drzewcem zakończonym stalowym grotem.

– Sir Horace wyzywa cię, panie, na miecze – odparł Halt, ale rycerz potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie! Nie! Ja wybierać walczyć na kopie!

Halt uniósł jedną brew, zwracając się do Horace'a:

– Tak to już jest z regułami rycerskiej walki – rzekł półgłosem. – Idą w niepamięć, kiedy chodzi o trzy metry przewagi.

Na Horace'em uwaga ta nie zrobiła większego wrażenia.

– Żaden kłopot – stwierdził spokojnie, ale potem coś nagle przyszło mu do głowy, więc spytał: – Ale. Halt, czy ja muszę go zabić? Poradzę sobie z nim bez uśmiercania.

Halt zastanowił się przez moment.

– Cóż, nie masz takiego obowiązku – przyznał. – Ale nie ryzykuj. Dobrze by mu zrobiło, gdyby ktoś go uśmiercił. Po czymś takim nie rwałby się już do wymuszania opłat od przejezdnych!

Horace sprawiał wrażenie zdezorientowanego, więc zwiadowca machnął ręką.

– No, krótko mówiąc – rób co chcesz, byle ten pajac jakoś cię nie nabrał – powiedział.

– Panie! – zakrzyknął rycerz, zmierzając się kopią i spinając konia ostrogami. – En garde! Ja cię jechać zabić!

Horace ze świstem dobył miecza i ruszył na spotkanie swego przeciwnika.

– Zaraz będzie po wszystkim – rzucił; już po chwili Kicker pędził pełnym galopem.

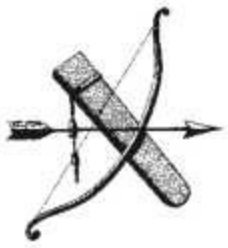

Po nieudanej próbie ucieczki Willowi i Evanlyn zakazano oddalać się na więcej niż pięćdziesiąt metrów od chat. Żadnych biegów czy ćwiczeń.

Erak wynalazł dla obojga nowe prace, od cerowania i zaplatania sznurowych materaców w dormitorium, po uszczelnianie kadłuba „Wilczego wichru" nasączonymi smołą kawałkami liny, co czynili pod ścisłym nadzorem wojowników. Była to robota ciężka i niewdzięczna, ale Evanlyn i Will nie mieli innego wyjścia, musieli pogodzić się z losem.

Księżniczka i przyszły zwiadowca pozostawali pod ciągłą obserwacją i mimo woli jeszcze częściej uczestniczyli w niesnaskach, podczas których ścierały się dwie grupy Skandian. Slagor oraz jego ludzie, znudzeni i spragnieni rozrywek, domagali się głośno, by oboje Araluеńczyków przykładnie wychłostano. Kapitan „Wilczego kła", oblizując lubieżnie wargi zaoferował się nawet, że sam chętnie tego dokona.

Erak odpowiedział mu wprost, by pilnował własnego nosa i trzymał się z dala od jego niewolników. Coraz bardziej nie podobało mu się wyzywające, zaczepne zachowanie Slagora, a także to, że jego ludzie przy każdej nadarzającej się okazji oszukują i prowokują żeglarzy z „Wilczego wichru". Tak się jakoś złożyło, że Erakowi samo nasunęło się porównanie Slagora, który był zwykłym tchórzliwym awanturnikiem, z dwójką swoich jeńców, też „obcych" na tej nienależącej do nikogo wyspie. I choć jego

współrodak miał tu być może większe prawa, większą sympatią darzył Willa i Evanlyn. Tym dwojgu młodych nie miał za złe, że próbowali uciec. Sam zrobiłby to samo na ich miejscu. Tymczasem Slagor upierał się, by dobrać się nieszczęśnikom do skóry, tylko po to, by móc się nad kimś poznęcać. W tej sytuacji Erak brał raczej stronę swych pojmanych wrogów niż Slagora.

A co do jego ludzi, z całym przekonaniem mógł stwierdzić, że tylko marnowali miejsce i psuli powietrze na Skorghijl.

Kryzys nastąpił pewnego wieczoru podczas posiłku. Will rozstawiał drewniane talerze i układał przy nich noże. Evanlyn nalewała zupę z wielkiej misy wojownikom z otoczenia Eraka i Slagora. Gdy nachyliła się między Slagorem i jego zastępcą, skirl nagle poruszył się gwałtownie, rozkładając ramiona i śmiejąc się głośno w odpowiedzi na żart któregoś ze swych ludzi. Trącił łokciem pełną chochlę, rozlewając gorącą zupę na własne przedramię.

Wrzasnął z bólu i chwycił Evanlyn za nadgarstek, przyciągając ją ku sobie i wykręcając jej ramię tak, że zmusił ją, by pochyliła się nad stołem. Waza z zupą i łyżka padły na podłogę.

– Przeklęta dziewucha! Poparzyłaś mnie! Patrz, ty leniwa, araluеńska świnio!

Podsunął ociekające zupą ramię pod jej nos, wciąż trzymając ją za rękę. Evanlyn czuła w nozdrzach jego oddech i smród nieumytego ciała.

– Przykro mi – rzekła czym prędzej, krzywiąc się zarazem z bólu w wykręconym ramieniu. – Ale potrąciłeś mnie, panie.

– Aha, to znaczy, że to moja wina! Już ja cię nauczę pyskować szyprowi!

Twarz jego pociemniała z gniewu, gdy sięgał po krótki, zakończony trzema rzemieniami bicz, który nosił u pasa. Zwał go „swoim sierżantem” i zapewniał wszystkich, że smaga nim nie dość wytrwałych wioślarzy – w co nie wierzył nikt, kto go znał. Wiedziano powszechnie, iż nie ośmieliłby się podnieść ręki na rosłego żeglarza.

Co innego gdy chodziło o młodą dziewczynę. Zwłaszcza gdy był pijany i rozzłoszczony.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Z zewnątrz dobiegał jak zawsze szum wiatru świszczącego pośród szczelin między belkami chaty. Wewnątrz czas jakby zatrzymał się na chwilę pośród dymu, migającego blasku ognia i olej owych lampek rozświetlających wnętrze chaty.

Siedzący naprzeciw Slagora Erak zaklął cicho. W przeciwnym krańcu pomieszczenia Will odstawił właśnie stos talerzy. Jego spojrzenie, tak jak i wzrok wszystkich innych, skupiło się na Slagorze, na jego zapitej twarzy i oczach; Skandyjski kapitan przesunął językiem po ustach, ukazując jednocześnie krzywe, poplamione zęby. Uczeń zwiadowcy, na którego nikt nie zwracał w tej chwili uwagi, sięgnął po ciężki, obosieczny nóż, używany do cięcia solonej wieprzowiny. Jego klinga miała około dwudziestu centymetrów długości, całkiem przypominała przy tym jeden z noży, którymi posługiwał się podczas niekończących się kiedyś godzin treningu z Haltem.

W końcu Erak odezwał się niskim głosem i przemówił spokojnie. Już to sprawiło, że jego ludzie otrzeźwieli nieco i zaczęli słuchać. Kiedy Erak wykrzykiwał albo i darł się na cały głos – wówczas zazwyczaj żartował. Gdy mówił cicho, z naciskiem, wiedzieli, że skończył się czas kpin i biada temu, kto wejdzie w drogę ich wodzowi.

– Zostaw ją, Slagorze – powiedział.

Slagor wykrzywił się paskudnie, gniewny, że ktoś ośmiela się mu rozkazywać, a jeszcze bardziej drażnił go stanowczy ton polecenia.

– Poparzyła mnie! – wrzasnął. – Zrobiła to specjalnie, więc zostanie ukarana!

Erak sięgnął po kubek z piwem i upił głęboki łyk. Gdy się odezwał, w jego głosie słychać było coś na kształt znudzenia, znużenia i nieskończonej pewności siebie.

– Już mówiłem. Puść ją. To moja niewolnica.

– Niewolnikom trzeba dyscypliny – wrzasnął Slagor, rozglądając się po sali. – Wszyscyśmy się przekonali, że ty sobie z nimi nie radzisz. Już czas, żeby ktoś ci pokazał, jak to się robi!

Skoro przestał na nią zwracać uwagę, Evanlyn spróbowała wyrwać rękę z jego uścisku, ale przytrzymał ją mocno. Kilku ludzi z załogi „Wilczego kła" przyklasnęło mu.

Erak nagle zawahał się. Wystarczyło trzasnąć pięścią Slagora, by ten padł bez przytomności. Mógłby tego dokonać, nie wstając nawet z krzesła. Tyle że to byłoby zbyt mało. Wszyscy zgromadzeni wiedzieli, że w walce wręcz Slagor nie ma z nim żadnych szans, toteż postępując w ten sposób, nie dowiódłby niczego. Dość już miał tego głupca, który na każdym kroku

usiłował go upokorzyć i poniżyć. Slagor zasługiwał na porządną nauczkę, a Erak wiedział, jak powinien mu ją wymierzyć.

Znów westchnął ostentacyjnie i oparł się łokciami o stół. Mówił powoli, jakby do kogoś, kto umysłem swym nie jest w stanie mu dorównać. I rzeczywiście, w przypadku Slagora ten sposób wypowiadania się był całkiem na miejscu.

– Slagorze, mam za sobą ciężką kampanię, a ci dwoje to jedyny mój zysk z tej wyprawy. Nie życzę sobie, żebyś przyczynił się do śmierci któregokolwiek z nich.

Slagor wyszczerzył zęby w okrutnym uśmiechu.

– Za bardzo się z nimi cackasz, Eraku. Chcę tylko wyświadczyć ci przysługę. A przy tym porządna chłosta jej nie zabije, tylko sprawi, że na przyszłość będzie bardziej uważać.

– Nie o dziewczynie mówię – sprostował Erak – tylko o tym chłopaku – to mówiąc, skinął głową w stronę Willa, na pół ukrytego pośród migoczących cieni. Slagor zwrócił wzrok tam we wskazanym kierunku, inni również.

– O nim mówisz? – zdziwił się. – Przecież do niego nic nie mam.

Erak pokiwał spokojnie głową.

– Wiem o tym – stwierdził. – Jednak jeśli choćby tkniesz tę dziewczynę, istnieje spora szansa, że on cię zabije. A wtedy ja będę musiał się z nim rozprawić, czyli zabić go za karę. Rzecz w tym, że nie mogę sobie pozwolić na taką stratę. Toteż powiadam: zostaw ją w spokoju.

Niektórzy z pozostałych Skandian już śmiali się w głos z tego rzeczowo wygłoszonego wywodu Eraka. Byli wśród nich także ludzie Slagora.

Szyper pociemniał na twarzy od gniewu i zmarszczył brwi. Erak najwyraźniej kpił sobie z niego, a nade wszystko obrażał go, dopuszczając choćby myśl, że taki araluеński młokos byłby w stanie pokonać go w walce.

– Chyba zmysły postradałeś, Eraku – rzucił wzgardliwie. – Ten chłopak tyle może mi zrobić co mysz polna! Rozprawiłbym się z nim jedną ręką.

Potrząsnął pięścią wolnej ręki, bowiem drugą wciąż trzymał Evanlyn za ramię.

Erak uśmiechnął się do niego ponuro.

– Zabije cię, zanim zdążysz postąpić choć krok w jego stronę – zapewnił.

Coś w jego głosie kazało zrozumieć rozmówcy, że Erak nie żartuje. Przemawiał ze spokojną pewnością, która sprawiła, że wyczuli to również pozostali i ucichli. Zapanowało przytłaczające milczenie. Slagor

zmarszczył brwi, próbując pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. Alkohol mącił jego myśli. Czegoś tu nie rozumiał. Chciał się odezwać, ale Erak uciszył go ruchem ręki.

– Niestety, nie możemy pozwolić, żeby go naprawdę zabił na dowód prawdziwości moich słów, mianowicie z powodów, które już wymieniłem – stwierdził, zwracając się do grona wojowników. Zabrzmiało to tak, jakby szczerze nad tym ubolewał.

Rozejrzał się po pomieszczeniu; oczy mu zabłysły na widok do połowy opróżnionego antałka z wódką stojącego na przeciwległym krańcu stołu. Wskazał go palcem.

– Svengalu, pchnij no tu tę beczułkę – zażądał. Jego zastępca wykonał polecenie, antałek przejechał po blacie, a kapitan pochwycił go, podniósł i przyjrzał mu się krytycznie. – Jest rozmiarów zbliżonych do wielkości twojego łba, Slagorze – zauważył z kwaśnym uśmiechem. Następnie sięgnął po swój nóż, który leżał na stole i dwoma szybkimi ruchami wyciął w ciemnym drewnie dwa jasne zagłębienia. – I powiedzmy, że to są twoje oczy.

Pchnął teraz beczułkę w stronę Slagora, tak że zatrzymała się tuż koło jego ramienia. Po wnętrzu chaty przeszedł pomruk oczekiwania, wszyscy byli ciekawi, do czego to wszystko prowadzi. Tylko Svengal i Horak, którzy byli z Erakiem przy moście, mieli niejakie przeczucie, co planuje ich jarl. Wiedzieli, że Will jest przeciwnikiem, z którym warto się liczyć. Nie miał jednak przy sobie łuku i nie widzieli tego, co nie umknęło uwadze Eraka – czyli noża, który Will ukrył pod prawym ramieniem.

– Otóż to, chłopcze – ciągnął Erak. – Te oczy są trochę za blisko siebie, ale akurat u Slagora też tak jest – kilku Skandian zaśmiało się, a Erak zwrócił się teraz bezpośrednio do nich: – Przypatrzmy się uważnie i przekonajmy się, czy aby coś się między nimi nie pojawi.

Mówiąc to, ostentacyjnie pochylił się i zaczął wpatrywać w beczułkę. Rzecz jasna wszyscy obecni podążyli za jego przykładem. Will zawahał się przez chwilę, ale czuł, że może zaufać Erakowi. Sugestia skandyjskiego kapitana była aż nazbyt przejrzysta. Błyskawicznym ruchem zamachnął się i cisnął nożem przez pokój.

Klinga błysnęła w czerwonym świetle lampek oliwnych i ognia na kominku, by w tej samej chwili z głośnym stuknięciem wbić się głęboko

w drewno między wyciętymi „oczami”, choć nie całkiem pośrodku. Od siły uderzenia antałek przesunął się o dobre dziesięć centymetrów.

Wystraszony Slagor wrzasnął i cofnął się gwałtownie. Mimo woli wypuścił ramię Evanlyn. Dziewczyna szybko oddaliła się od niego, a potem, widząc, że Erak naglącym ruchem głowy wskazuje jej drzwi, wybiegła z pomieszczenia, niezauważona pośród zamętu, jaki zapanował.

Najpierw rozległ się zdumiony okrzyk dobywający się z wielu gardzieli naraz, a potem ludzie Eraka zaczęli śmiać się do rozpuku oraz klaskać w uznaniu dla celności rzutu. Po kilku chwilach przyłączyli się też do nich ludzie Slagora, podczas gdy skirl siedział przygarbiony i rzucał wokoło gniewne spojrzenia. Nie był lubiany przez swoich ludzi. Służyli mu tylko dlatego, że był bogaty i stać go było na wyposażenie okrętu służącego do łupieżczych wypraw. Kilku z nich posunęło się nawet do tego, że zaczęli przedrzeźniać jego przerażony okrzyk, jaki wydał, kiedy nóż wbił się w beczułkę.

Erak wstał i ruszył wokół stołu, przemawiając jednocześnie:

– Tak więc, jak widzisz, Slagorze, gdyby chłopak celował w inny drewniany łeb, teraz z pewnością już byś nie żył, a ja byłbym zmuszony go zabić.

Zatrzymał się obok Willa, uśmiechając się do Slagora, podczas gdy ten spoglądał na niego spode łba, czekając, co zdarzy się dalej.

– A tak – mówił dalej Erak – muszę go tylko delikatnie skarcić za to, że przestraszył kogoś tak ważnego jak ty.

Nim Will zdążył choćby mrugnąć, Erak trzasnął go wierzchem pięści w bok głowy; chłopak upadł bez przytomności na podłogę. Jarl skinął na Svengala, wskazując mu nieruchomą postać skuloną na deskach podłogi.

– Wrzuć tego bezczelnego chłystka do jego psiej budy – rozkazał, a potem odwrócił się plecami do zgromadzonych i wyszedł na zewnątrz, w noc.

Odetchnął zimnym, czystym powietrzem i spojrzał na niebo. Było czyste. Wiatr wciąż wiał, ale nie był już tak gwałtowny i zmienił kierunek na wschodni. Nadszedł kres letnich sztormów.

– Czas się stąd wynosić – szepnął do gwiazd.

Pojedynek, jeśli można go tak nazwać, nie trwał długo.

Obaj jeźdźcy ruszyli na siebie, kopyta ich rumaków zadudniły po powierzchni drogi, wzbijając za sobą chmury kurzu i pyłu.

Galijski rycerz wyciągnął przed siebie kopię. Teraz i Halt zauważył błąd, na który Horace zwrócił uwagę już wcześniej. Niewłaściwa technika posługiwania się długą bronią przez wąsacza polegała na tym, że dzierżył kopię zbyt mocno we wczesnym stadium, przez co jej ostrze kołysało się na boki i unosiło do góry oraz do dołu wraz z ruchami wierzchowca. Gdyby trzymał ją luźniej, sprężyściej, pozwoliłoby mu to mierzyć znacznie celniej.

Horace tymczasem oszczędzał siły, z mieczem opartym o ramię, poruszał się równomiernie wraz z ruchami konia.

Zmierzali ku sobie tarcza w tarczę. Halt po trosze spodziewał się, że Horace powtórzy manewr, jaki zastosował w starciu z Morgarathem i w ostatniej chwili zmieni kierunek. Jednak tym razem rycerski czeladnik postąpił inaczej. Gdy znaleźli się w odległości dziesięciu metrów od siebie, głownia jego miecza zatoczyła łuk w powietrzu, po czym jego czubek wykonał półobrót, a gdy grot kopii zbliżył się do tarczy Horace'a, przedłużeniem tego samego płynnego ruchu bez trudu odbił drzewce, tak że poszybowało ku górze i znalazło się nad głową chłopca. Wyglądało to niby na łatwiznę, ale przyglądający się chłopakowi Halt uświadomił sobie,

że jest on w rzeczy samej urodzonym mistrzem w posługiwaniu się bronią. Gall, który spiął się w sobie, oczekując wstrząsu, jaki poczuje uderzając w tarczę Horace'a, nagle stracił równowagę, ponieważ nie natrafił praktycznie na żaden opór. Zachwiał się i o mało nie wypadł z siodła. Musiał przytrzymać się czym prędzej jego łęku, a pech chciał, że uczynił to prawą ręką, którą jednocześnie usiłował utrzymać panowanie nad kopią – ta jednak całkowicie wymknęła się spod jego kontroli pod wpływem uderzenia miecza chłopaka i własnego gwałtownego ruchu. Aby nie spaść, musiał wypuścić kopię; spod przyłbicy rozległo się stłumione przekleństwo.

Sięgnął na oślep po rękojeść miecza, zamierzając dobyć go z pochwy, by posłużyć się nim w drugim starciu.

Na jego nieszczęście drugiego starcia nie było.

Halt potrząsnął głową w niemym podziwie, gdy Horace, wyeliminowawszy kopię z gry, w jednej chwili spiął Kickera kolanami i wodzami, trzymanymi w tej samej ręce, co tarcza. Wierzchowiec zarył kopytami i wspiął się na zadnie nogi, nim jeszcze gallijski rycerz zdążył go minąć.

Miecz wykonał kolejny obrót, na pozór lekki i swobodny, lecz zakończony potężnym uderzeniem w tył hełmu, czemu towarzyszył donośny, dźwięczny brzęk.

Halt aż skrzywił się, wyobrażając sobie, jak ten odgłos musiał zadudnić wewnątrz stalowego garnka. Nie można było oczekiwać, że jeden cios zdoła przebić się przez gruby metal. Do tego trzeba by całej serii potężnych uderzeń, jednak klinga Horace'a poczyniła w nim potężne wgłębienie, a siła ciosu przeniosła się pośrednio na czaszkę nieszczęśnika.

Choć Araluańczycy tego nie widzieli, oczy rycerza zamgliły się, a zaraz potem zamknęły.

Najpierw bardzo powoli, a potem coraz szybciej przechylał się na bok, by runąć ciężko na ziemię i zastygnąć w bezruchu. Jego koń galopował jeszcze przez kilka metrów, ale wkrótce zdał sobie sprawę, że nikt go już do tego nie zmusza, toteż zwolnił kroku, opuścił łeb i zaczął skubać długą trawę rosnącą na poboczu.

Horace podjechał do leżącego przeciwnika wolnym truchtem i zatrzymał się obok niego.

– Mówiłem ci, że nie jest bardzo groźny – stwierdził poważnie, zwracając się do Halta.

Zwiadowca, który zazwyczaj chlubił się swą powściągliwością, nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu, który odmalował się na jego twarzy.

– Może i nie jest – rzekł do tego poważnego młodego człowieka – ale ty z pewnością nieźle się spisałeś.

Horace tylko wzruszył ramionami.

– Takich rzeczy uczą nas w szkole – odparł.

Halt uświadomił sobie, że chłopak nie ma w sobie nic z pyszałka. Bez wątpienia Szkoła Rycerska miała na niego dobroczynny wpływ.

– Jego też ktoś kiedyś uczył, ale nie na wiele się to zdało – zauważył, po czym dodał: – Dobra robota, Horace.

Chłopak zaczerwienił się, zadowolony z uznania zwiadowcy. Wiedział doskonale, że Halt nie należy do osób rzucających próżne pochwały.

– A co z nim teraz zrobimy? – spytał, ostrzem miecza wskazując powalonego wroga. Halt zsunął się szybko z siodła i podszedł do leżącego.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – oświadczył. – Uczynię to z prawdziwą przyjemnością.

Rycerz tymczasem zaczął odzyskiwać przytomność. Jego ręce i nogi wykonywały słabe, nieskoordynowane ruchy, przez co wyglądał jak na wpół zdechły krab. Halt pochwycił go jedną ręką i uniósł do pozycji siedzącej. Oszołomiony rycerz wybełkotał coś wewnątrz hełmu i teraz, gdy mógł mu się przyjrzeć dokładniej, Horace zauważył, że końce jego wąsów wystawały po obu stronach zamkniętej przyłbicy.

– Dziękuję, panie – wystękał niewyraźnie rycerz, gdy Halt wyprostował go jeszcze nieco bardziej. Poruszył stopami, próbując wstać, ale Halt dość brutalnie zmusił go, by usiadł z powrotem.

– Co to, to nie, jeśli można prosić – rzekł zwiadowca. Wsunął dłoń pod podbródek Galla, a Horace dopiero teraz zauważył, że trzyma w niej mniejszy ze swych dwóch noży. Przez chwilę przerażonemu chłopakowi wydawało się, że Halt zamierza poderżnąć biedakowi gardło. Jednak zwiadowca tylko jednym szybkim ruchem przeciął skórzany pasek podtrzymujący hełm, po czym ściągnął żelazne nakrycie z jego głowy i cisnął je w krzaki. Rycerz jęknął głucho z bólu, gdy poczuł gwałtowne szarpnięcie za przytrzaśnięte przyłbicą wąsy.

Horace schował miecz do pochwy, pewien już, że rycerz nie stanowi zagrożenia. Tymczasem pokonany wojownik spoglądał tępo na Halta i wyniosłą postać przypatrującą mu się z końskiego grzbietu. Wciąż miał zamglone oczy.

– My dalej walczyć pieszo – oświadczył drżącym głosem. Halt trzepnął go mocno w plecy, tak że tamtemu znów zakręciło się w głowie.

– Akurat. Przegrałeś, mój przyjacielu. Przegrałeś z kretesem. Sir Horace, rycerz zakonu Feuille de Chêne, pokonał cię w uczciwej walce, lecz w swej łaskawości daruje ci życie.

– O... dziękuję – zabrzmiała wygłoszona drżącym głosem odpowiedź, po czym rycerz pokłonił się, mniej więcej w stronę Horace'a.

– Wszelako – ciągnął Halt, którego słowa pobrzmiewały tonem lekkiego rozbawienia – zgodnie z obyczajem, twoja zbroja, broń, wierzchowiec i inne rzeczy stanowią rycerską zdobycz sir Horace'a.

– Stanowią? – spytał Horace z niedowierzaniem.

Halt skinął poważnie głową.

– Owszem.

Rycerz jeszcze raz spróbował wstać, ale Halt znów go osadził.

– Ależ panie – zaprotestował słabo. – Moja broń i zbroja? Przecież nie?

– Przecież tak – zapewnił go Halt. Twarz nieszczęśnika, która i tak nie przedstawiała sobą szczególnego widoku, pobladła jeszcze bardziej, gdy rycerz zdał sobie sprawę ze znaczenia słów okrytego płaszczem cudzoziemca.

– Halt – wtrącił Horace – czy on sobie poradzi bez broni i bez konia?

– Poradzi sobie – stwierdził zwiadowca z satysfakcją – ale trudniej mu będzie napadać na niewinnych podróżnych, którzy chcą przejechać tym mostem.

Teraz Horace zrozumiał.

– Aha. Więc o to chodzi.

– Istotnie, o to – rzekł Halt. – Właśnie spełniłeś dobry uczynek, Horace. Co prawda zajęło ci to ledwie dwie minuty, ale dzięki niemu przez dłuższy czas ta droga stanie się bezpieczniejsza, bo temu sępowi wyrwiemy pazury. No i, rzecz jasna, wejdziemy teraz w posiadanie całkiem kosztownej zbroi, miecza, tarczy i bardzo ładnego konia, a wszystko to sprzedamy przy najbliższej okazji.

– Jesteś pewien, że takie są reguły? – upewnił się Horace, a Halt obdarzył go radosnym uśmiechem.

– O, tak. Jak najbardziej. On doskonale o tym wie. Nie przyszło mu tylko do głowy, by przyjrzeć nam się uważniej, zanim rzucił wyzwanie. A teraz, pięknisiu – zwrócił się do zgnębionego rycerza siedzącego u jego stóp – zechciej wyzbyć się tej kolczugi.

Choć niechętnie, pokonany rycerz usłuchał. Halt zwrócił rozpromienione oblicze do swego towarzysza.

– U Gallów zaczyna mi się podobać bardziej, niż tego oczekiwałem.

Dwa dni później „Wilczy wicher” opuścił Skorghijl i skierował się na północny wschód w stronę Skandii. Slagor i jego ludzie pozostali jeszcze na wyspie, bowiem czekało ich niełatwe zadanie dokonania tymczasowych napraw okrętu, nim zdołają dowlec się nim do macierzystego portu. Zbyt został pokiereszowany, by płynąć dalej na zachód i dokonywać grabieżczych napaści. Podjęta przez Slagora decyzja o tym, by wypłynąć wcześniej od innych, okazała się niezwykle kosztowna.

Wiatr, który dotąd przez całe tygodnie dął z północy, zmienił kierunek na zachodni, co pozwoliło Skandianom na postawienie wielkiego żagla. „Wilczy wicher” przemierzał swobodnie szare wody, płynąc z niemałą prędkością, ku wielkiemu zadowoleniu całej załogi, wszyscy bowiem czuli, że z każdym dniem zbliżają się do ojczyzny.

Ogólny dobry nastrój nie udzielił się tylko Willowi i Evanlyn. Skorghijl było miejscem ponurym, jałowym oraz nieprzyjaznym. Jednak pobyt na wyspie odwlekał przynajmniej chwilę, w której zostaną rozdzieleni i sprzedani jako niewolnicy – szansa, że trafią do tego samego właściciela, była niewielka.

Will próbował pocieszyć Evanlyn.

– Podobno Hallasholm wcale nie jest wielkim miastem, więc nawet jeśli nas rozdzielą, będziemy mogli czasem się widywać. Przecież chyba nie

zmuszą nas do pracy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu.

Evanlyn nie odpowiedziała. Sądząc po dotychczasowych doświadczeniach ze Skandianami, niestety właśnie tego należało się spodziewać.

Erak zauważył ich milczenie i ponury nastrój, jaki obydwoje ogarnął. Nawet współczuł im nieco i zastanawiał się, czy mógłby w jakiś sposób postarać się, by zostali razem.

Rzecz jasna, mógłby zachować ich dla siebie jako własnych niewolników. Tyle że nie byli mu do niczego potrzebni. Jako jeden ze skandyjskich dowódców, mieszkał w kwaterach oficerskich, gdzie było dość służby. Gdyby zachował dla siebie tych dwoje Araluеńczyków – rozumował – musiałby płacić za ich wyżywienie i ubranie. Mało tego, byłby za nich odpowiedzialny. Na to zaś nie miał najmniejszej ochoty, więc parsknął z irytacją:

– A, do diabła z nimi – i wyrzucił ich ze swych myśli, skupiając się na utrzymaniu idealnego kursu. Zmarsz czywszy brwi, zaczął wpatrywać się w magnetyczną igłę pływającą po powierzchni wody w słoju zawieszonym na rufie.

Dwunastego dnia przeprawy ujrzeli skandyjskie wybrzeże i to dokładnie w tym miejscu, gdzie przewidział Erak. Z pełnych podziwu spojrzeń rzucanych na jarla przez jego ludzi Will wywnioskował, iż stanowiło to nie lada osiągnięcie.

Przez kilka następnych dni płynęli wzdłuż brzegu, toteż Will i Evanlyn mogli przyjrzeć się tutejszemu krajobrazowi – wysokim nadbrzeżnym klifom i górom pokrytym śniegiem.

– Trafił idealnie w prąd Lokiego – wyjaśnił Svengal, który zamierzał właśnie wspiąć się na maszt, by zająć tam pozycję obserwacyjną na rei.

Jowialny zastępca Eraka polubił Willa i Evanlyn. Wiedział, że niewolnicze życie będzie ciężkie, toteż próbował jakoś podnieść ich na duchu, pocieszał, gdy tylko nadarzyła się okazja. Niestety, jego następny

komentarz, choć wypowiedziany w jak najlepszych zamiarach, stanowił nędzną pociechę dla Willa i Evanlyn.

– Ha – stwierdził, chwytając oburącz linę, która miała mu służyć za pomoc przy wchodzeniu na górę – za dwie czy trzy godziny powinniśmy być w domu.

Jednak przepowiednia okazała się mylna. Wilczy okręt, znów napędzany wiosłami, ugrzązł w gęstej mgle otaczającej zatokę Hallasholm i dopłynął do portu ponad godzinę później, niż przewidywał Svengal. Will oraz Evanlyn stali w milczeniu na śródokręciu i spoglądali na wyłaniające się z oparów Hallasholm.

Rzeczywiście, nie była to duża miejscowość. Przycupnięty u stóp porośniętych sosnami gór, Hallasholm składał się z około pięćdziesięciu budynków, z których wszystkie były parterowe, zbudowane z bali, przypuszczalnie sosnowych, pokryte strzechami lub darnią.

Większość budynków wznosiła się wzdłuż brzegu zatoki, gdzie u pomostów zacumowano tuzin lub więcej wilczych okrętów; inne spoczywały na brzegu, a uwijający się robotnicy czyścili ich kadłuby z morskich pasożytów, których kolonie tworzyły się nieustannie na deskach poszycia. Z większości kominów unosił się dym, toteż w zimnym powietrzu czuć było intensywny zapach palonego sosnowego drewna.

Główny budynek, czyli Wielki Dwór należący do Ragnaka, zbudowano z takich samych bali, co resztę domów w mieście. Był jednak większy, dłuższy i szerszy oraz zwieńczony wysokim spadzistym dachem, dzięki czemu górował nad sąsiednimi domostwami. Wznosił się w samym środku miasta, otoczony suchą fosą i palisadą – oczywiście także z sosnowych bali. Najwyraźniej sośnina stanowiła najłatwiej dostępny w Skandii materiał budowlany. Od głównego nabrzeża długa, szeroka droga prowadziła prosto do bramy w palisadzie otaczającej dwór.

Spoglądając na miasto przez spokojne wody zatoki, Will pomyślał, że w innych okolicznościach i o innym czasie prawdopodobnie uznałby widok tych równo ustawionych domostw na tle potężnych ośnieżonych gór za wyjątkowo piękny. Jednak w tej chwili nie miał najmniejszego powodu, by sądzić cokolwiek dobrego na temat swego miejsca pobytu. Gdy tak oboje spoglądali na Hallasholm, zaczął prószyć lekki śnieżek.

– Obawiam się, że będzie tu zimno – stwierdził półgłosem Will.

Poczuł, jak chłodna dłoń Evanlyn wsuwa się w jego dłoń. Uścisnął ją lekko, mając nadzieję, że to doda jej odwagi. Odwagi, czyli czegoś, czego w tej chwili jemu zdecydowanie brakowało.

Mówiłem ci, że ten znak uczyni naszą podróż łatwiejszą – rzekł Halt do Horace'a. Siedzieli odprężeni w siodłach, Halt z nogą założoną na łęk, i przyglądali się gallijskiemu rycerzowi, który jeszcze niedawno stał w pełnej zbroi na skrzyżowaniu dróg, a teraz oddalał się, zmaltretowany, człapiąc noga za nogą. Horace rzucił okiem na zielony liść dębu namalowany przez Halta na jego tarczy.

– Wiesz dobrze – odparł z nutą dezaprobaty w głosie – że nie przysługuje mi żaden herb, dopóki nie zostanę oficjalnie pasowany na rycerza.

W dowodzonej przez sir Rodneya Szkole Rycerskiej wpajano Horace'owi nader surowe zasady, wobec czego chłopak miał czasem wrażenie, że Halt odnosi się do owego rycerskiego kodeksu nieco zbyt lekceważąco. Zwiadowca spojrzał na niego z ukosa i uśmiechnął się pod wąsem.

– Jeśli chodzi o ścisłość – zauważył – nie wolno ci także rzucić wyzwania żadnemu z tych rycerzy, ale jakoś nie zauważyłem, żeby to cię powstrzymywało.

Od pierwszego starcia przy moście już kilkakrotnie zatrzymywali ich rycerze-rabusie strzegący rozstajów dróg, mostów czy wąwozów. Młody i muskularny czeladnik rycerski rozprawiał się z nimi wszystkimi bez trudu, niemal od niechcenia. Halt był naprawdę pod wrażeniem zręczności młodzieńca, jego umiejętności i wrodzonego talentu. Herbowi bandyci

jeden po drugim wylatywali z siodeł, z początku po kilku celnych ciosach jego miecza, a ostatnio, ponieważ zdobył dobrą, solidną kopię, której wyważenie przypadło mu do gustu, nie musiał go nawet dobywać i pokonywał swoich przeciwników w miażdżącej szarży. Jedno starcie i wylatywali w powietrze, po czym twardo lądowali kilka metrów za swymi galopującymi wierzchowcami. Obaj podróżni zgromadzili w ten sposób spory zapas broni i pancerzy, które transportowali przytroczone do siodeł zdobycznych koni. Halt zamierzał spieniężyć wszystkie te trofea w najbliższym większym mieście.

Pomimo całego podziwu dla umiejętności Horace'a i niemałej satysfakcji, jaką sprawiała mu świadomość, że oto dzięki nim wypadają z gry kolejni rabusie, Halt miał świadomość, że każdy z tych pojedynków oznacza irytującą przeszkodę na drodze i opóźnienie w podróży. Nawet bez tego dotarcie do odległej granicy ze Skandią przed nadejściem zimy stanowiło nie lada wyzwanie. Tymczasem po pierwszych śnieżycach przełęcze stawały się nie do przebycia. Powodowany tą właśnie myślą, gdy zatrzymali się którejś nocy w na poły zrujnowanym, opuszczonym gospodarstwie, przekopał się przez stosy starych, zardzewiałych narzędzi i przegniłych worków, aż znalazł to, czego szukał: pojemnik z zieloną farbą oraz stary zaschnięty pędzel. Posługując się tymi dwoma znaleziskami, namalował na gładkiej tarczy Horace'a znak zielonego liścia dębu. Rezultat był taki, jakiego oczekiwał. Reputacja sir Horace'a z Zakonu Dębowego Liścia wyprzedziła ich, toteż odtąd najczęściej na ich widok rycerze-rabusie po prostu dawali nogę.

– Nie mogę powiedzieć, żeby jego ucieczka mnie zmartwiła – zauważył Horace, popędzając lekko Kickera, skoro droga przed nimi stała się znów wolna. – Ramię wciąż mi trochę doskwiera.

Jego ostatni przeciwnik odznaczał się zdecydowanie większymi umiejętnościami niż dotychczasowi. Niezrażony widokiem dębowego liścia na tarczy i wyraźnie niewiele sobie robiący ze sławy, jaką chłopak zdążył już zdobyć, ruszył raźno do walki. Pojedynek trwał dobrych kilka minut, a podczas niego uderzenie maczugi, która zsunęła się po krawędzi tarczy, raniło boleśnie górną część ramienia Horace'a.

Szczęściem główna siła ciosu poszła na tarczę, bo w przeciwnym razie Horace miałby najprawdopodobniej złamaną rękę. Skończyło się tylko na

bolesnym stłuczeniu, które sprawiało, że chłopak nie mógł poruszać lewym ramieniem z taką swobodą, jakiej by sobie życzył.

W następnej sekundzie klinga miecza Horace'a trafiła w przód hełmu przeciwnika, który runął nieprzytomny na ziemię.

Ku swej uldze od tamtej pory nie musiał już walczyć.

– Tę noc spędzimy w mieście – stwierdził Halt. – Może uda się zdobyć tam nieco ziół, z których będę mógł sporządzić okład na twoje potłuczenia.

Zauważył, że chłopak oszczędza lewe ramię. Choć się nie skarżył, wyraźnie odczuwał w nim ból.

– Z miłą chęcią – oświadczył Horace. – Noc przespana w prawdziwym łóżku będzie przyjemną odmianą po tych wszystkich, które spędziliśmy na gołej ziemi.

Halt parsknął z żartobliwą pogardą.

– Widzę, że Szkoła Rycerska nie jest już tym, czym była kiedyś – odpowiedział. – Ładne rzeczy: stary człowiek, taki jak ja, nie uskarża się, a młody chłopak tęskni do wygodnego łóżeczka i boi się reumatyzmu.

Horace wzruszył ramionami.

– Mów, co chcesz – odparł – a ja i tak nie pogardzę odrobiną wygody.

Prawdę mówiąc, Halt również nie miał nic przeciwko takim luksusom, ale nie zamierzał pozwolić, by Horace się tego domyślił.

– Wobec tego może warto się pospieszyć – zaproponował. – Im prędzej wylądujesz pod ciepłą pierzyną, tym mniejsza obawa, że zacznie cię łupać w stawach.

Spiął Abelarda do żywszego truchtu, a Wyrwij natychmiast się dostosował. Zaskoczony Horace, który prowadził za sobą jeszcze kilka dodatkowych koni, dogonił go dopiero po dłuższej chwili.

Sznur bojowych rumaków obciążonych bronią i zbrojami wzbudził niemałe zainteresowanie w miasteczku, gdy przemierzali jego ulice. Horace znów zwrócił uwagę na ludzi, którzy pospiesznie ustępowali mu z drogi. Nie mógł też nie zauważyć ukradkowych spojrzeń rzucanych na niego, a przy tym więcej niż raz usłyszał słowa „chevalier du chêne" wypowiadane szeptem przez mijanych ludzi. Popatrzył ciekawie na Halta.

– Co oni gadają o jakichś szynach? – spytał.

Halt wskazał znak dębowego liścia na jego tarczy zwisającej u siodła.

– *Chêne* – wyjaśnił. – To znaczy „dąb". Mówią o tobie, że to właśnie ty jesteś tym dębowym rycerzem. Jak widzisz, stałeś się sławny.

Horace skrzywił się. Nie był wcale pewien, czy jest tym zachwycony.

– Miejmy nadzieję, że nie wynikną z tego jakieś kłopoty – stwierdził. Halt machnął ręką.

– W takiej małej mieścinie? Mało prawdopodobne. Spodziewam się, że raczej twoja nowo nabyta chwała przyniesie nam same korzyści.

Miasto rzeczywiście nie należało do wielkich, było raczej sporą wioską. Składało się głównie z jednej ulicy, która była na tyle wąska, że z trudem mieścili się na niej dwaj jeźdźcy jadący obok siebie. By zejść jezdnym z drogi, piesi musieli przyciskać się do ścian domostw lub chronić się w bocznych uliczkach i czekać, aż mała karawana objuczonych wierzchowców przejdzie dalej.

Owa główna ulica nie była wybrukowana – ot, zwykła gruntowa droga, która podczas deszczu przekształcała się natychmiast w błotne grzęzawisko. Domostwa były niewielkie, najczęściej parterowe i sprawiały wrażenie, jakby zbudowano je w pomniejszonej skali.

– Rozglądajmy się za jakąś oberżą – rzekł cicho Halt.

Podróż w towarzystwie kogoś sławnego była dla Halta nowym przeżyciem. W Araluenie przyzwyczaił się do podejrzliwych spojrzeń i niekiedy lęku, z jakim odnoszono się do członków Korpusu Zwiadowców. Ich szarozielone płaszcze z kapturami znane były wszystkim mieszkańcom królestwa. Tutaj, w Galii, ku swemu zadowoleniu zauważył, że strój zwiadowcy i charakterystyczne uzbrojenie, czyli długi łuk i dwa noże, nie budziły większego zainteresowania.

Sprawa z Horace'em przedstawiała się całkiem odwrotnie. Było rzeczą oczywistą, iż jego sława wyprzedzała wędrowców, toteż ludzie spoglądali nań z takim właśnie zabobonnym niepokojem, do jakiego Halt przyzwyczaił się przed laty. Sytuacja ta jednak jak najbardziej zwiadowcy odpowiadała. W razie jakichś poważnych kłopotów zyskiwali w ten sposób wraz z Horace'em zdecydowaną przewagę – jeśli ewentualny nieprzyjaciel zakładał, że niebezpieczeństwo grozi mu wyłącznie ze strony rosłego młodzieńca odzianego w zbroję.

Mężczyzna o szpakowatej brodzie był tymczasem przeciwnikiem znacznie groźniejszym – tym niebezpieczniejszym, że niepozornym.

– O, tam – odezwał się Horace, wyrywając Halta z zamyślenia. Spojrzał w ślad za wskazującym palcem chłopaka i ujrzał budynek nieco większy od pozostałych, a przy tym piętrowy; górna jego część zwisała niebezpiecznie

nad ulicą, podparta dość niepewnie wyglądającymi krzywymi dębowymi belkami. Odrapany szyld kołysał się lekko na wietrze, a przedstawiał raczej nieudolnie odmalowany kielich z winem oraz talerz pełen jadła.

– Tylko nie przywiązuj się zbytnio do myśli o wygodnym łożu na tę noc – Halt ostrzegł Horace'a. – Kto wie, czy wygodniej nie byłoby nam w lesie.

Powstrzymał się litościwie od stwierdzenia, iż z pewnością byłoby tam czyściej.

Jednak nieoczekiwanie gospoda okazała się całkiem schludna. Była co prawda ciasna, a ściany miała niezbyt proste, sufit niski i nierówny, schody pochylały się na bok... ale gdy znaleźli się w pokoju na górze, stwierdzili, że jest tam czysto i przytulnie, a spore oszklone okno otwarto, by wpuścić do środka rześkie popołudniowe powietrze. Z oddali dochodziła woń świeżo zaoranych pól; przez okno widać było gąszcz stromych dachów.

Oberżysta i jego żona, oboje w średnim wieku, odnieśli się do gości życzliwie, a nawet przyjaźnie – zwłaszcza gdy ujrzeli piętrzące się na końskich grzbietach bogactwa. Stwierdzili więc, że młody rycerz z pewnością jest człowiekiem zamożnym. Zamożnym, a ponadto posiadającym niebagatelną pozycję. Właściciele oberży wywnioskowali to po tym, jak Horace zdawał się w przyziemnych sprawach na swego służącego, tego mruka w szarym płaszczu z kapturem. Oberżysta hołdował przekonaniu, wedle którego prawdziwemu wielmoży nie wypada zajmować się rzeczami tak błahymi, jak cena, którą zapłaci za wynajmowany pokój.

Kiedy Halt stwierdził, że w miasteczku nie ma targowiska, gdzie mogliby zamienić na gotówkę swe rycerskie łupy, pozwolił stajennemu zająć się zdobycznymi końmi. Rzecz jasna, nie dotyczyło to Abelarda i Wyrwija, którymi zajął się osobiście, a ku swemu uznaniu stwierdził, że również Horace sam zadbał o potrzeby Kickera.

Oporządziwszy wierzchowce, obaj towarzysze powrócili do swego pokoju. Kolacja miała być gotowa za godzinę lub dwie, a przynajmniej tak zapewniała ich żona gospodarza.

– Wykorzystamy ten czas, żeby przyjrzeć się twojemu ramieniu – rzekł Halt do Horace'a.

Młodzieniec z ulgą opadł na łoże i odetchnął głęboko. Wbrew pesymistycznym oczekiwaniom Halta posłanie okazało się miękkie, wygodne, wyścielone grubymi, czystymi kocami i białym,

wykrochmalonym prześcieradłem. Na znak dany przez Halta chłopak wstał i ściągnął przez głowę kolczugę wraz z tuniką, stękając cicho, kiedy musiał przy tym unieść lewą rękę do góry.

Stłuczenie widoczne było na całej górnej części ramienia w postaci mozaiki sinych i granatowych plam otoczonych obwódką w paskudnie żółtawym kolorze. Halt próbował zorientować się, czy jakaś kość nie jest złamana.

– Au! – syknął Horace, gdy palce zwiadowcy obmacywały potłuczone miejsce.

– Boli? – spytał Halt, a Horace rzucił mu oburzone spojrzenie.

– Jasne, że boli – warknął. – Dlatego właśnie powiedziałem „au!"

– Hm – mruknął w zamyśleniu Halt i wziąwszy go za rękę, zaczął podnosić ją i opuszczać oraz obracać w różne strony, podczas gdy Horace zaciskał z zęby. Wreszcie nie wytrzymał, cofnął się o krok i wyrwał rękę z uchwytu Halta.

– Naprawdę myślisz, że to cokolwiek da? – spytał poirytowanym tonem. – Czy też po prostu bawi cię sprawianie mi bólu?

– Próbuję ci pomóc – zapewnił Halt i wyciągnął rękę w jego stronę, ale Horace znów się cofnął.

– Nie dotykaj mnie – powiedział. – Tylko macasz i ugniatasz. Wątpię, żeby od tego zrobiło mi się lepiej.

– Próbuję tylko upewnić się, że nie ma żadnego złamania – wyjaśnił Halt.

Horace jednak potrząsnął głową.

– Nic nie jest złamane. To potłuczenie, nic więcej.

Halt już miał się odezwać, by dalej przekonywać Horace'a, że jednak wie, co robi, kiedy nagle i niespodziewanie sprawy wymknęły mu się z rąk.

Rozległo się szybkie stukanie do drzwi, które w tej samej chwili rozwarły się na oścież i do pokoju wtoczyła się pulchna małżonka oberżysty z naręczem świeżych poduszek. Uśmiechnęła się do obu gości promiennie, lecz potem spojrzenie jej spoczęło na ramieniu Horace'a i uśmiech zniknął, zastąpiony wyrazem matczynej troski.

Popłynął potok gallijskich słów, których żaden z nich nie zrozumiał, przy czym niewiasta podeszła czym prędzej do Horace'a, rzucając poduszki na łóżko. Spoglądał na nią podejrzliwie, gdy sięgnęła ręką do jego stłuczonego

ramienia. Znieruchomiała i popatrzyła mu poważnie w oczy, sznurując usta. Coś sprawiło, że zaufał jej i pozwolił dokonać oględzin.

Uczyniła to delikatnie, ledwo muskając go opuszkami palców. Horace, poddając się jej badaniu, popatrzył znacząco na Halta. Zwiadowca odpowiedział mu gniewną miną, siadł i z boku obserwował, co też kobieta będzie robić z ramieniem młodego rycerza. Po chwili Gallijka odstąpiła, wzięła Horace'a za rękę i dała mu znać, by usiadł na krawędzi łóżka. Potem odezwała się, wskazując na posiniaczone ramię:

– Nic złamane – orzekła, nie całkiem pewna, czy użyła właściwego słowa. Halt skinął głową.

– Też mi się tak zdawało – stwierdził, a Horace parsknął pogardliwie. Niewiasta kontynuowała przemowę, z trudem dobierając słowa. Mówiąc oględnie, jej znajomość języka araluеńskiego była dość skromna.

– Stłuczone – powiedziała. – Trzeba... – zawahała się, szukając właściwego słowa, nim je znalazła: – Zioła... -wykonała gest naśladujący rozcieranie ziół dłońmi. – Zioła pomieszać, pokruszyć... tu przyłożyć – dotknęła palcem ramienia chorego. Halt przytaknął ruchem głowy.

– Doskonale. Proszę się nim zająć – zerknął na Horace'a.

– Mamy szczęście, ona chyba dobrze się na tym zna.

– Chcesz powiedzieć, że to ja mam szczęście – odparł urażonym tonem Horace. – Gdybym był zdany na twoją troskę, pewnie nie miałbym już ręki.

Gospodyni, wyczuwając ton głosu, lecz nie rozumiejąc słów, zaczęła go pospiesznie uspokajać, wydając śpiewne odgłosy i z niesłychaną delikatnością gładząc po stłuczonym ramieniu.

– Dwa dni... trzy... nie ma boleć. Będzie dobrze – zapewniła go. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Dziękuje pani, madame – rzekł tonem, jaki wyobrażał sobie za odpowiedni dla wytwornego młodego rycerza. – Na zawsze pozostanę pani dłużnikiem.

Pokazała mu na migi, że pójdzie teraz po swe zapasy ziół i medykamentów. Horace wstał i wykonał nieudolny dworski ukłon, gdy wychodziła z pokoju.

– Horace – jęknął Halt, wznosząc oczy ku niebu.

W sali jadalnej dworu Ragnaka było nieznośnie gorąco.

Stłoczyło się tam sporo ludzi, a na ogromnym palenisku buzował potężny ogień, toteż choć na zewnątrz zalegała gruba warstwa śniegu, tutaj trudno było wytrzymać.

Była to ogromna, podłużna sala o niskim suficie, wzdłuż której ustawiono dwa stoły oraz prostopadle do nich trzeci, przy którym zasiadał Ragnak. Ściany zbudowano z naprędce ociosanych sosnowych belek, które uszczelniono tam, gdzie należało, twardą po zastygnięciu niczym kamień mieszaniną błota oraz gliny.

Sosnowe belki podtrzymywały również dach zrobiony z gęsto splecionego sitowia i słomy, którego warstwa miejscami leżała grubo nawet na metr. Nikt nie pomyślał o położeniu sufitu, który by oddzielał strzechę od pomieszczenia.

Oprócz skwaru wewnątrz panował też ogłuszający zgiełk, bo przebywało tam prawie stu pięćdziesięciu pijanych Skandian, którzy jedli, śmiali się i przekrzykiwali nawzajem. Erak popatrzył na nich i jego twarz rozpromieniła się.

Jak dobrze być znowu w domu...!

Skinął głową, gdy Borsa, hilfmann Ragnaka, zaproponował mu kolejny kufel jasnego piwa. Ragnak dzierżył godność oberjarla, czyli naczelnego

jarla wszystkich Skandian, zaś hilfmann był jakby zarządcą zajmującym się codziennymi sprawami – pilnował, by o właściwym czasie posiano i zżęto zboże, płacono podatki oraz wyruszano na łupieżcze wyprawy; jego też obowiązkiem było ściąganie należnego Ragnakowi udziału we wszystkich zdobyczach, wynoszącego jedną czwartą całości łupów; doglądał, by odbywało się to rzetelnie, sprawnie i szybko, co w przypadku niektórych szyprów wilczych okrętów wcale nie należało do oczywistości.

– Zrobiliśmy kiepski interes, Eraku – stwierdził. Omawiali właśnie losy nieszczęsnej wyprawy do Araluenu. – Nie powinniśmy w żadnym razie wdawać się w długotrwałą wojnę. Nie do tego jesteśmy stworzeni. Co innego krótkie wypady. Spaść jak burza, zrabować, co się da i znikać czym prędzej. Tak powinniśmy działać. I zawsze tak czyniliśmy.

Erak był tego samego zdania, więc nie omieszkał tego głośno stwierdzić, gdy Ragnak wyznaczył go do udziału w wyprawie. Jednak oberjarl nie był wówczas w nastroju, by słuchać czyichkolwiek rad.

– Dobrze chociaż, że Morgarath zapłacił nam z góry – ciągnął hilfmann. Erak uniósł brwi.

– Doprawdy? – zdziwił się. Zaskoczyła go ta wiadomość, bowiem dotąd sądził, że jedynym wynagrodzeniem dla niego i jego załogi miały być łupy, jakie zdoła zgarnąć; pod tym zaś względem napaść na Araluen zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. Rozmówca rozwiał jego wątpliwości:

– O tak, i to sowicie. Ragnak, gdy idzie o pieniądze, jest twardy jak stal. Wymógł na nim zapłatę z góry, także za usługi twoje i twoich ludzi.

Ta pomyślna wiadomość wprawiła Eraka w dobry humor, przynajmniej nie za darmo zmagali się przez te długie miesiące z wszelkimi przeciwnościami losu. Tymczasem Borsa nadal roztrząsał przebieg kampanii araluеńskiej.

– Wiesz, w czym leży nasza największa słabość? -spytał i, nim Erak zdążył cokolwiek rzec, sam odpowiedział na swoje pytanie: – Brak nam generałów, strategów. Każdy Skandianin walczy na własny rachunek. Pod tym względem jesteśmy najlepsi w świecie. Ale też walcząc w służbie tych, którzy nam za to płacą, nie mamy własnych dowódców, by nas poprowadzili. Musimy więc polegać na głupcach, takich jak Morgarath.

Erak nie mógł nie przyznać mu racji.

– Jeszcze w Araluenie stwierdziłem, że jego plany są zbyt zagmatwane. Chciał być taki chytry, że aż sam siebie przechytrzył.

Borsa gwałtownym ruchem wyciągnął rękę z palcem wskazującym mierzącym w Eraka. Opanowany zwykle hilfmann okazał tym razem niezwykłą jak na siebie zapalczywość:

– Dobrze mówisz! Przydaliby się nam tacy zwiadowcy, jakich mają Araluеńczycy – zawołał.

– Powiadasz? – zdumiał się Erak. – A na co nam oni?

– Nie oni, tylko tacy jak oni. Ludzie wyszkoleni w planowaniu i taktyce, którzy potrafią sięgnąć wzrokiem dalej niż do czubka własnego nosa i wykorzystać nasze wojsko w najlepszy możliwy sposób.

Erak musiał przyznać, że Borsa ma słuszność. Jednak wzmianka o zwiadowcach przypomniała mu o Willu i Evanlyn. Dostrzegł sposobność rozwiązania tego problemu.

– Nie przyda ci się dwójka nowych niewolników? -spytał niedbałym tonem.

– Zawsze brakuje rąk do pracy – odpowiedział od razu Borsa. – Masz kogoś na zbyciu?

– Chłopaka i dziewczynę – odparł Erak. Uznał, że lepiej nie wspominać o zwiadowczej przeszłości Willa. – Oboje silni, zdrowi i niegłupi. Pojmaliśmy ich na granicy Celtii. Zamierzałem ich sprzedać, żeby przynajmniej częściowo opłacić moich ludzi za poniesione trudy. Ale teraz, skoro powiadasz, że dostaniemy pieniądze, chętnie ci ich odstąpię.

Borsa skinął głową.

– Będę ci wdzięczny. Na pewno się przydadzą – odpowiedział. – Przyślij mi ich jutro.

– Sprawa załatwiona! – oznajmił zadowolony z siebie Erak. Miał więc z głowy kłopot, który nie dawał mu spokoju. – Mówiłeś coś o piwie?

W chwili gdy Erak decydował o ich losie, Will i Evanlyn siedzieli zamknięci w jednej z chat u nabrzeża, niedaleko miejsca, gdzie zacumowany był „Wilczy wicher". Rankiem następnego dnia obudził ich jeden z podwładnych Borsy i poprowadził do Wielkiego Dworu. Tam hilfmann przyjrzał im się od stóp do głów. Stwierdził, że dziewczyna nieźle się prezentuje, ale nie sprawia wrażenia, by nadawała się do ciężkiej pracy.

Natomiast chłopak był krzepki oraz umięśniony, chociaż trochę drobnej postury.

– Dziewczyna może iść do kuchni i do obsługi sali jadalnej – orzekł, zwracając się do swojego zastępcy. – A chłopaka dajcie na dziedziniec.

Godzinę po zachodzie słońca Halt i Horace zeszli na dół, by zjeść kolację.

Żona oberżysty upichciła wielki kocioł smakowitej potrawki. Naczynie wisiało nad ogniem w ogromnym palenisku, dobiegało z niego apetyczne bulgotanie, a służąca przyniosła im dwie duże drewniane miski gorącej strawy oraz dziwne kromki chleba – długie i wąskie. Horace nigdy jeszcze takich nie widział, ale skórka była chrupiąca, a miąższ puszysty i smakowity; wkrótce odkrył, że nadają się idealnie do maczania w pysznej potrawce.

Halt popił posiłek winem ze sporej karafki. Horace zadowolił się wodą. Następnie, zjadłszy deser w postaci pokaźnej porcji wybornego ciasta z jagodami, raczyli się aromatycznym naparem ziołowym.

Horace wlał do swojego kubka pełną łyżkę miodu. Na ten widok zwiadowca zmarszczył brwi.

– Psujesz smak dobrego naparu – mruknął. Horace uśmiechnął się tylko; przyzwyczaił się już do tych wygłaszanych surowym tonem żartobliwych docinków swojego towarzysza podróży.

– Nauczyłem się tego od twojego ucznia – odparował. Przez chwilę obaj milczeli, myśląc o Willu i zastanawiając się, jaki też los przypadł w udziale

jemu oraz Evanlyn. Mogli tylko mieć nadzieję, że oboje miewają się dobrze i są zdrowi.

Halt ocknął się z zamyślenia i ruchem głowy wskazał Horace'owi grupkę tubylców zgromadzonych przy ogniu. Zwiadowca, jak to było w jego zwyczaju, zajął wraz ze swym towarzyszem stolik w głębi pomieszczenia, mając dzięki temu za plecami solidną ścianę i mogąc obserwować wszystko, nie zwracając na siebie niepotrzebnie niczyjej uwagi.

W czasie, gdy posilali się, pomieszczenie gospody stopniowo zapełniało się gośćmi przybyłymi tu, by najeść się do syta lub wychylić kilka kubków wina czy piwa przed udaniem się do domu. Zwiadowca zauważył, że jeden z nich ze swego tobołka wydobył dudy, a drugi zabrał się do strojenia pękatego instrumentu o ośmiu strunach.

– Czeka nas chyba nieco rozrywki – stwierdził Halt.

Tymczasem reszta gości w oczekiwaniu na popisy grajków przesuwała swoje krzesła bliżej ognia, domagając się od oberżysty i jego pomocników, by na nowo napełnili im kielichy.

Dudziarz rozpoczął melancholijną nutą, a instrument strunowy natychmiast mu zawtórował, wydając szybkie, wibrujące dźwięki tworzące ciągły, wysoki podkład dla wznoszącej się i opadającej melodii. Dźwięk fletni wypełnił gospodę nastrojową skargą sięgającą głębin duszy i budzącą u słuchaczy myśli o przyjaciołach, którzy odeszli oraz o dawnych, dobrych czasach.

Gdy rozległy się dźwięki, Halt złapał się na tym, że wspomina długie letnie dni spędzone w lasach otaczających Zamek Redmont i drobną postać rezolutnego chłopaka, który wciąż zadawał pytania, lecz za to wniósł do jego życia powiew młodości i świeżej energii. Widział oczyma wyobraźni twarz Willa – włosy potargane od kaptura, wiecznie ciekawe świata, błyszczące, brązowe oczy. Pamiętał, jak dumny był Will, gdy okazało się, że stanie się posiadaczem własnego wierzchowca, jak potem dbał troskliwie o Wyrwija i jak prędko nawiązała się między chłopakiem a zwierzęciem szczególna więź wzajemnej bliskości i zrozumienia.

Może to dlatego, że Halt czuł na swych barkach ciężar przeżytych lat, a siwe włosy na brodzie stały się raczej normą niż wyjątkiem, pojawienie się Willa sprawiło, że i on sam poczuł się młodszy, śledząc na co dzień postępy czynione przez chłopaka, zaś radość życia udzielała się po trosze i jemu – co stanowiło mile widzianą odmianę wobec codziennej rutyny,

jeśli takim słowem można było określić niebezpieczne i owiane mrokiem tajemnicy zadania spełniane przez zwiadowcę.

Pamiętał też, jaki był dumny z Willa, gdy dowiedział się, że chłopak postanowił na własną rękę śledzić poczynania wargalów w Celtii, a potem sam jeden trzymał w szachu wargalów i Skandian, podczas gdy Evanlyn rozpalała na nowo przygasły ogień, aby zniszczyć most, niwecząc plany wroga. W tym młodym człowieku tkwiło coś więcej niż tylko nieposkromiona siła ducha. Był odważny, przemyślny i lojalny. Miał wszystkie cechy, dzięki którym mógłby z czasem stać się jednym z najlepszych zwiadowców – pomyślał Halt, a potem nagle zdał sobie sprawę, że oto myśli o Willu tak, jakby plany z nim związane już nigdy nie miały się urzeczywistnić. Poczuł, że do oczu napływają mu łzy; poruszył się niespokojnie. Minęło doprawdy niemało czasu, odkąd Haltowi zdarzyło się poddać wzruszeniu. A, co tam – pomyślał. W końcu Will wart był kilku łez przelanych przez takiego zgorzkniałego, siwiejącego starca jak on. Spojrzał z ukosa na Horace'a, by sprawdzić, czy chłopak je widzi, ale młody czeladnik rycerski dał się porwać muzyce; oparty o stół, z lekko rozchylonymi ustami, nieświadomie wystukiwał palcem rytm. To i dobrze – uznał Halt, uśmiechając się gorzko do siebie. Lepiej, żeby chłopak nie widział, jak się zalewa łzami, gdy tylko muzykanci zagrają kilka markotnych nut. Zwiadowcy, a szczególnie wygnani byli zwiadowcy, na których ciąży zbrodnia obrazy królewskiego majestatu, powinni być ulepieni z twardszej gliny.

Muzyka ucichła. Rozległ się głośny aplauz zgromadzonych gości. Halt i Horace przyłączyli się do niego, a zwiadowca skorzystał z okazji, by unieść dłoń i otrzeć z oczu ślady wilgoci.

Zauważył, że słuchacze nagradzają muzykantów, wrzucając monety do położonej w tym celu na podłodze czapki. Przesunął w stronę Horace'a kilka sztuk srebra i wskazał ruchem głowy grajków.

– Daj im to – rzekł. – Zasłużyli.

Horace przytaknął z zachwytem i wstał, po czym podszedł ku nim, schylając głowę, aby nie uderzyć w którąś z belek podtrzymujących niski sufit. Wrzucił monety do czapki jako ostatni z obecnych. Dudziarz uniósł wzrok, ujrzał nieznaną twarz i skłonił się w podziękowaniu. Następnie ścisnął łokciem miech instrumentu i znów zaczął narastać zniewalający dźwięk piszczałek.

Horace zawahał się, bo nie chciał przeciskać się przez zgromadzony wokół grajków tłumek – teraz, gdy zaczął się nowy utwór. Rzucił okiem w stronę siedzącego w cieniu Halta, machnął ręką i przysiadł na skraju jednego ze stołów.

Tym razem grajkowie uderzyli w odmienny ton. Melodia zabrzmiała subtelną nutą tryumfu, wzmocnioną śmiałymi akordami wygrywanymi na strunach, które zdawały się przejmować prowadzenie, wybijając się dźwięcznymi uderzeniami przed dudy i wprawiając stopy oraz dłonie słuchaczy w rytmiczne postukiwanie do taktu. Na twarzy Horace'a pojawił się błogi uśmiech. Gdy otworzyły się drzwi wiodące na ulicę i do środka wtargnął powiew wiatru, prawie nie zwrócił uwagi na nowo przybyłego.

Nie można jednak tego było rzec o pozostałych i Halt, którego zmysły wyostrzyły się przez lata ciągłego obcowania z niebezpieczeństwem, natychmiast wyczuł zmianę atmosfery w pomieszczeniu. Słuchaczy zgromadzonych wokół grajków nagle opanował niepokój, może nawet lęk.

Nawet muzykant grający na dudach zawahał się przez ułamek chwili, gdy uniósł głowę i zobaczył, kto przyszedł; było to niemal niezauważalne zakłócenie rytmu, lecz nie umknęło uwadze Halta.

W drzwiach stał rosły, mocno zbudowany mężczyzna, może o jakieś dziesięć lat młodszy od niego. Czarna broda i włosy, a zwłaszcza krzaczaste czarne brwi nadawały mu groźny wygląd. Z pewnością nie był to prosty wieśniak ani zwykły mieszczuch. Gdy odrzucił płaszcz, ukazała się kolczuga z narzuconą na nią tuniką i herbem przedstawiającym białego kruka.

Ukazała się też rękojeść miecza okręcona złotym drutem, ze złotą, matowo połyskującą głowicą. Po wysokich butach z miękkiej skóry można było poznać, że jest jeźdźcem – i rycerzem, sądząc po herbie. Halt był pewien, że przed oberżą czekał na niego uwiązany bojowy rumak – najprawdopodobniej kruczoczarny, bo wyraźnie czerń była ulubionym kolorem obcego.

Nowo przybyły rozglądał się, szukając kogoś. Omiótł wnętrze spojrzeniem, nawet nie dostrzegając w głębi sali mrocznej postaci Halta, aż wzrok jego spoczął na Horace'u. Jego brwi zmarszczyły się lekko, niemal niedostrzegalnie skinął głową, jakby do samego siebie. Tymczasem chłopak, który dał się oczarować muzyce, ledwie spojrzał w stronę rycerza

i całkiem nieświadom był faktu, iż stał się przedmiotem bacznej obserwacji z jego strony.

Nie umknęło to jednak uwadze pozostałych gości. Halt zauważył, jak zmienili się na twarzach oberżysta i jego żona. Znieruchomieli, w napięciu przyglądali się, oczekując dalszego rozwoju wypadków. Wielu z gości także sprawiało wrażenie, jakby nagle poczuli się bardzo nieswojo i nade wszystko pragnęli znaleźć się w jakimkolwiek innym miejscu, byle nie tu.

Ręka Halta sięgnęła pod stół do kołczanu. Jak zawsze miał broń w pogotowiu, nawet podczas posiłku; długi łuk stał oparty o ścianę tuż za nim, z nałożoną cięciwą. Wydobytą z kołczana strzałę położył na stole przed sobą. Tymczasem utwór dobiegał końca.

Tym razem grajkowie nie zostali nagrodzeni należnym aplauzem. Tylko Horace klasnął parę razy dłońmi, a potem, zdawszy sobie sprawę, że jest jedynym, który to czyni, zmieszał się i zaczerwienił. Teraz i on zdał sobie sprawę z obecności zbrojnego mężczyzny, który stał w odległości kilku kroków od niego i wpatrywał się weń tak uporczywie, że już samo to zakrawało na obelgę.

W jednej chwili odzyskał panowanie nad sobą i powitał nowo przybyłego grzecznym ukłonem. Halt z zadowoleniem stwierdził, że Horace, wykazując się przytomnością umysłu, nawet nie spojrzał w stronę zwiadowcy. Od razu pojął, że wydarzyć się może coś niemiłego, wobec czego fakt, iż Halt pozostawał niezauważony, mógł oznaczać dla nich istotną przewagę.

Wreszcie rycerz odezwał się, głosem głębokim i chrapliwym. Wzrostem dorównywał Horace'owi, zbudowany był nawet mocniej od niego.

To nie jakiś zwykły przydrożny bandyta – uznał Halt. – Ten człowiek jest niebezpieczny.

– Tyś jest rycerzem dębowego liścia? – spytał nowo przybyły z nutą kpiny w głosie. Mówił dobrze po araluesku, choć z silnym gallijskim akcentem.

– Tak mnie zwą, jak się zdaje – odparł Horace po chwili milczenia. Rycerz udał, że zastanawia się nad tą odpowiedzią, pokiwał głową, po czym jego usta wykrzywiły się w szyderczym półuśmiechu.

– Tak ci się zdaje? – rzucił. – A mnie się zdaje, żeś jest tylko araluesk im psem, który szczeka w rynsztoku.

Zdumiony Horace zmarszczył brwi. Ten człowiek najwyraźniej usiłował go obrazić. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu chciał go sprowokować, co

dla Horace'a było wystarczającym powodem, by mu na to nie pozwolić.

– Skoro tak sądzisz, panie – odparł spokojnie, z obojętnym wyrazem twarzy. Halt zauważył jednak, że jego lewa ręka wykonała lekki, niemal instynktowny ruch w stronę lewego biodra, gdzie zazwyczaj znajdowała się rękojeść miecza. Jednak teraz miecz wisiał za drzwiami ich pokoju na górze. Horace uzbrojony był tylko w sztylet.

Rycerz także zauważył ten nieznaczny gest. Uśmiechnął się, przez co jego oblicze przybrało wyraz drapieżnej satysfakcji. Postąpił krok w stronę młodzieńca. Przyjrzał mu się teraz i ocenił: szerokie ramiona, wąski w pasie, niewątpliwie dobrze umięśniony. I poruszał się z naturalną gracją znamionującą wytrawnego wojownika.

Wojownika… o twarzy dzieciucha. Poczciwej, wręcz naiwnej. Nie był to przeciwnik, który mógł mieć za sobą wiele doświadczenia w walkach toczonych na śmierć i życie, nie przeszedł tej bezlitosnej szkoły, w której nabywa się umiejętności, o jakich prawi rycerze rzadko wspominają, lecz przecież często je stosują. Bądź co bądź ten młokos dopiero zaczął się golić. Choć bez wątpienia był to wyszkolony wojownik, którego należało szanować.

Ale nie na tyle, by się go lękać.

Dokonawszy oceny, mężczyzna postąpił kolejny krok do przodu.

– Jestem Deparnieux – oznajmił. Najwyraźniej spodziewał się, że przedstawiając się, wywoła odpowiednie wrażenie. Ale Horace tylko wzruszył nieznacznie ramionami.

– Miło mi – odpowiedział.

Czarne brwi znów się zmarszczyły.

– Nie jestem przydrożnym błaznem, którego można omamić sztuczkami lub niegodziwym wybiegiem. Nie zaskoczysz mnie żadnym z tchórzliwych forteli, którymi zdołałeś już zwieść kilku moich rodaków.

Przerwał, by przekonać się, jakie wrażenie wywołały te obraźliwe słowa. Horace jednak miał dość rozumu, by zachować panowanie nad sobą.

– Będę to miał na uwadze – odpowiedział grzecznie.

Jeszcze krok i potężnie zbudowany rycerz był już o wyciągnięcie ręki. Jego twarz stężała od gniewu na tę beznamiętną odpowiedź Horace'a, jak też i ze złości, bo chłopak wciąż nie dawał się wyprowadzić z równowagi.

– Jam jest panem tutejszych włości! – zagrzmiał. – Rycerzem, który nasiekł więcej cudzoziemskich przybłędów, więcej araluеńskich tchórzy

niż jakikolwiek inny w tym kraju. Spytaj ich, czy to nieprawda! – wskazał kolistym ruchem ręki nieszczęśników skulonych ze strachu przy stołach wokół ognia. Przez chwilę panowała cisza, więc skierował ku nim wściekłe spojrzenie, jakby pytając, czy któryś ośmieli się zaprzeczyć.

Wszyscy, jak jeden mąż, spuścili głowy i rozległo się mrukliwe, niechętne potwierdzenie jego słów. Rycerz znów wbił wzrok w Horace'a. Chłopak odwzajemnił spojrzenie z niezmąconym spokojem, choć na jego policzkach pojawił się lekki rumieniec.

– Tak jak mówiłem – odparł cierpliwie – będę to miał na uwadze.

Oczy Deparnieux zabłysły.

– A ja powiadam, żeś tchórz i złodziej, podstępny morderca, który zabija gallijskich wojów, by skraść nikczemnie ich broń, konie i inną własność! – W miarę tej wypowiedzi podnosił głos coraz bardziej.

W sali na chwilę zapanowało milczenie.

– Sądzę, że mylisz się, panie – odpowiedział w końcu Horace tym samym uprzejmym tonem. Wszyscy przysłuchujący się wstrzymali oddech.

– Śmiesz zwać mnie kłamcą? – ryknął wściekle Deparnieux.

Horace pokręcił głową.

– Ależ skąd, panie. Nic podobnego. Rzekłem tylko, że się mylisz. Zapewne ktoś wprowadził cię w błąd.

Deparnieux rozłożył ręce, zwracając się do wszystkich obecnych.

– Słyszeliście! Miał czelność nazwać mnie kłamcą! Na to pozwolić nie mogę!

Rozkładając ręce, tym samym ruchem wyciągnął zza pasa jedną ze skórzanych rękawic, a teraz zamachnął się, by trzasnąć nią Horace'a w twarz i rzucić tym samym wyzwanie, którego hańbę zmyć mogła tylko krew.

Jednak w tejże chwili jakaś potężna a niewidzialna siła wyszarpnęła mu tę rękawicę z dłoni i porwała ją dalej, aż na drugi koniec pomieszczenia. Gdy się odwrócił, ujrzał ją, oniemiały, przybitą do dębowej belki przez drgającą jeszcze strzałę.

A więc jednak nas rozdzielili – pomyślał Will ze smutkiem. Odprowadzana do kuchni Evanlyn potknęła się, spoglądając na niego przez ramię; na jej twarzy malował się wyraz zdumienia i żalu. Zmusił się do uśmiechu, by podnieść ją na duchu i pomachał ręką, co miało sprawiać wrażenie pogodnego i beztroskiego pożegnania, jakby wkrótce znów mieli się zobaczyć.

Mocne uderzenie w głowę przywołało go jednak szybko do rzeczywistości. Zachwiał się, dzwoniło mu w uszach.

– Ruszaj się, niewolniku! – warknął Tirak, Skandianin trudniący się nadzorem nad niewolnikami zatrudnionymi na dziedzińcu. – Przekonamy się, czy będzie ci do śmiechu, jak już weźmiesz się za robotę.

Wkrótce miało się okazać, że w rzeczy samej Will nie miał wielu powodów do radości.

Ze wszystkich brańców pojmanych przez Skandian, los niewolników pracujących na dziedzińcu był najcięższy. Ci, których przydzielono do obsługi domostwa oberjarla – w kuchniach, sali jadalnej i na pokojach – mieli przynajmniej to szczęście, że pracowali i spali w cieple. Pod koniec dnia padali na swe legowiska wycieńczeni, lecz ich barłogi były przytulne, a przy kuchni nie groził im też głód.

Tymczasem niewolnicy przypisani do dziedzińca musieli wykonywać najcięższe prace, takie jak rąbanie drew, odgarnianie śniegu, opróżnianie latryn i wywózka nieczystości, karmienie i pojenie bydła czy sprzątanie stajni, a wszystko to trzeba było robić na dworze, gdzie panował dojmujący ziąb. Praca ponad siły powodowała, że zalewali się potem, lecz przesiąkłe nim łachmany zamarzały wkrótce po ukończeniu pracy, wysysając z nich resztki ciepła.

Spali w starej szopie, po której hulały przeciągi; jej cienkie ściany nie stanowiły dostatecznej osłony przed chłodem. Każdy z niewolników otrzymywał cienki koc, ale okrycie to nie wystarczało, gdy nocą robiło się tak zimno, że woda zamarzała w kadziach i dzbanach. Starali się więc za wszelką cenę zdobyć jakiekolwiek stare łachmany, którymi mogli dodatkowo się okryć. Żebrali o nie lub je kradli. Często też się o nie bili. W ciągu trzech dni na oczach Willa dwóch niewolników padło na śmierć w bójkach o szmaty z worka.

Zdał sobie sprawę, że być niewolnikiem przypisanym do dziedzińca to nie tylko ciężki los i mordercza praca. Stanowiło to bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia i życia.

Było tym niebezpieczniej, że dziedziniec rządził się swoimi własnymi, okrutnymi prawami. Co prawda nominalnie odpowiadał zań Tirak, ale faktycznie władzę sprawowała niewielka grupka wybranych niewolników, zwana „hordą". Do grupy tej zaliczało się pięciu czy sześciu niewolników pełniących tu służbę od dawna, wspierających się i osłaniających wzajemnie, a dysponowali oni władzą absolutną, decydując o życiu lub śmierci swoich towarzyszy. W zamian za to, że wyręczali swych panów, trzymając resztę niewolników w ryzach, utrzymując na dziedzińcu brutalną dyscyplinę i organizując pracę poprzez wyznaczanie zadań, otrzymywali dodatkowe koce i żywność. Tym, którzy okazywali bezwzględne posłuszeństwo i starali się ze wszech sił, by im się przypodobać, wyznaczali względnie lżejsze zadania. Kto próbował się sprzeciwiać ich władzy, tego czekała nieznośna mordęga na mrozie i w wilgoci, wycieńczająca, niebezpieczna. Tirak nie zwracał uwagi na nadużycia z ich strony. Los podległych mu niewolników nie obchodził go wcale. Z jego punktu widzenia byli tylko narzędziami, które wyrzucało się na śmietnik, gdy się zużyły, a zrzucając odpowiedzialność za tych, którzy odpadli, na członków „hordy", pozbywał się kłopotu z utrzymaniem

porządku na dziedzińcu. Jeśli zdarzyło im się zabić lub okaleczyć któregoś z niewolników – cóż, nie byli oni jego własnością, toteż chętnie godził się z płaconą nie ze swojej kieszeni ceną za swój święty spokój.

Biorąc pod uwagę charakter Willa, starcie chłopaka z członkami „hordy" musiało prędzej czy później nastąpić. Doszło do niego już trzeciego dnia. Wracał z lasu, wlokąc po cienkim śniegu ciężkie sanie załadowane drwami. Jego ubranie mokre było od potu i topniejącego śniegu, wiedział też, że gdy tylko wysiłek ustanie, będzie trząsł się z zimna. Głodowe racje żywności, które im dawano, nie starczały, by rozgrzać się oraz odzyskać utraconą energię. Czuł, że z każdym dniem traci siły i odporność.

Zgięty niemal w pół, zaciągnął sanie na dziedziniec, pod same drzwi kuchni, gdzie niewolnicy domowi mieli je rozładować i zanieść porąbane szczapy do kuchni, a następnie ułożyć je w stosy obok buchających żarem palenisk. Gdy rozprostował plecy, kręciło mu się nieco w głowie. W tej samej chwili doszedł go czyjś głos rozlegający się w jednej z kuchennych przybudówek; najpierw głośne przekleństwa, potem skowyt bólu.

Zostawił sanie przed kuchnią i wszedł do środka, by sprawdzić przyczynę zamieszania. Chudy, wymizerowany chłopak kulił się na ziemi, podczas gdy starszy i roślejszy młodzieniec z „hordy" chłostał go bezlitośnie kawałkiem liny.

– Wybacz mi, Egonie! – łkał nieszczęśnik. – Nie wiedziałem, że to twoje!

Will zdał sobie sprawę, że obaj są niewolnikami. Tyle że ten starszy sprawiał wrażenie odżywionego i miał na sobie ciepłe ubranie, choć zszargane i poplamione. Mógł mieć może ze dwadzieścia lat. Will już wcześniej zwrócił uwagę, że starszych niewolników na dziedzińcu nie było. Odniósł nader niemiłe wrażenie, iż to dlatego, że żywot niewolników z dziedzińca był nader krótki.

– Ulrich, ty złodzieju! – wrzeszczał oprawca. – Już ja cię nauczę trzymać łapy z dala od moich rzeczy!

Walił go teraz liną po głowie. Twarz chłopaka naznaczona była purpurowymi pręgami, kolejny cios rozciął skórę tuż pod okiem; trysnęła krew. Ulrich wił się na ziemi i usiłował zasłonić twarz nagimi ramionami. Tamten nie przestawał się nad nim pastwić, przeciwnie, bił tym zawzięciej. Will nie mógł już tego dłużej znieść. Podbiegł do Egona od tyłu i wyrwał mu sznur, gdy ten zamierzał się do kolejnego uderzenia.

Egon stracił równowagę. Zachwiał się i odwrócił, zaskoczony, by sprawdzić, kto ośmielił się mu przeszkodzić w wymierzeniu kary. Spodziewał się ujrzeć Tiraka albo innego ze Skandian, bo przecież nikt inny nie zadarłby z członkiem „hordy". Jednak ku swemu zaskoczeniu ujrzał tylko drobnego, niewysokiego chłopaka, który na oko mógł mieć około szesnastu lat.

– Ma już dość – odezwał się Will, ciskając linę w topniejącą breję za drzwiami.

Rozwścieczony Egon chciał się na niego rzucić. Był wyższy oraz cięższy od Willa i zamierzał dać porządną nauczkę bezczelnemu śmiałkowi. Jednak powstrzymało go coś, co ujrzał w oczach nieznajomego, a nie uszła też jego uwagi postawa Willa, gotowego do odparcia ataku. Ten chłopak nie bał się go. Był zdrowy i krzepki, pojawił się na dziedzińcu dopiero przed kilkoma dniami, więc wciąż był jeszcze w pełni sił. Mógł okazać się niebezpiecznym przeciwnikiem, nie zaś bezsilną ofiarą jak Ulrich.

– Wybacz mi, Egonie – szlochał tymczasem pobity nieszczęśnik. Przyczołgał się do swego oprawcy i zaczął całować jego zniszczone buciory. – To się nigdy nie powtórzy…

Egon przestał się nim interesować, odsunął go na bok stopą. Ulrich zerknął nań, zorientował się, że Egon zajął się już kim innym i czym prędzej umknął.

Egon nie zwrócił na to uwagi. Wpatrywał się intensywnie w Willa, dokonując oceny i ważąc swe siły. Nie, ryzyko było zbyt wielkie. W pobliżu nie było nikogo innego z „hordy", a gdyby na oczach niewolników Egon poniósł w tym starciu porażkę, straciłby cały swój autorytet. Mało tego, ów przybłęda mógłby wówczas zająć jego uprzywilejowaną pozycję – pomyślał Egon, nie zdając sobie sprawy, że Will z pewnością nie miał takiego zamiaru.

Istniały jednak inne sposoby, by poradzić sobie z niepokornymi.

– Jak się nazywasz? – spytał, mrużąc oczy, głosem zduszonym od wściekłości.

– Mam na imię Will – rzekł chłopak, a Egon z wolna skinął kilkakrotnie głową.

– Będę pamiętał – zapewnił.

Następnego dnia Willa wyznaczono do pracy przy studni.

Tej pracy niewolnicy dziedzińca obawiali się najbardziej ze wszystkich.

Mieszkańcy Hallasholm czerpali wodę pitną z wielkiej studni mieszczącej się pośrodku placu przed dworem Ragnaka. Wraz z nadejściem mrozu woda zamarzała w niej, a raczej zamarzałaby, gdyby nie bezustanna praca niewolników. Skandianie na obrzeżach studni umieścili wielkie drewniane wiosła, którymi poruszano wodę i rozbijano tworzący się lód. Była to praca mordercza, niepozwalająca ani na chwilę wytchnienia, bowiem wodę trzeba było mieszać bez przerwy, napierając z całych sił na drzewca topornych wioseł. Praca w zimnie i wilgoci, wyniszczająca, mordercza. Nikt, kogo wyznaczono do studni, nie wytrwał długo.

Will pracował tam dopiero od godziny, ale już był wykończony. Wszystkie mięśnie ramion, pleców i nóg bolały go od wysiłku.

Pchnął długie drzewce wytarte do gładka przez długie lata używania przez wiele, wiele rąk nieżyjących już niewolników. Zaledwie kilka minut minęło od chwili, gdy ostatnio wzburzył powierzchnię wody, a oto już zaczęła się na niej tworzyć cienka skorupka lodu. Słyszał jego trzask, gdy skruszył powłokę i na nowo zaczął przesuwać wiosłem w tę i z powrotem. Po drugiej stronie studni to samo robił drugi niewolnik, utrzymując wodę w ciągłym ruchu, by nie pozwolić jej zamarznąć. Zaraz po przyjściu Will skinął mu głową, ale jego powitanie pozostało bez odpowiedzi. Od tamtej chwili pracowali w milczeniu, stękając tylko z wysiłku.

Ciężki skórzany pas opadł na jego ramiona. Usłyszał odgłos uderzenia, poczuł je nawet, ale nie towarzyszył temu palący ból, bo jego plecy zdrętwiałe były od zimna.

– Głębiej! – burknął gniewnie nadzorca. – Jak będziesz tak muskał po powierzchni, woda zamarznie pod spodem.

Stęknąwszy cicho, Will posłusznie zanurzył drewnianą łopatę w zamarzającą wodę, rozbryzgując ją przy tym; poczuł na skórze lodowate krople. I tak był już całkiem przemoczony. Przy tej pracy właściwie nie dało się tego uniknąć. Wiedział zarazem, że gdy nastąpi jedna z krótkich przerw, na jakie im pozwalano, mokre i sztywniejące na mrozie ubranie natychmiast wyciągnie z jego ciała ciepło, znów zacznie się trząść.

Największym lękiem napawało właśnie owo niepohamowane drżenie. Gdy chłód zaczynał przenikać jego ciało, tracił nad sobą kontrolę; zęby szczękały o zęby, ręce drżały, a on nie był w stanie tego powstrzymać. Istniał tylko jeden sposób, żeby znów się rozgrzać – powrócić do pracy.

Wreszcie nadzorca pozwolił mu wypuścić drzewce, które przejął inny niewolnik. Nawet Skandianie zdawali sobie sprawę, że tej pracy nikt nie jest w stanie wykonywać dłużej niż przez cztery godziny. Drżąc na całym ciele, wycieńczony do granic, Will powlókł się do swojego baraku. Potknął się, upadł – i nie miał siły podnieść się z powrotem na nogi. Do swego miejsca na podłodze podpełzł na czworakach, marząc jedynie o nędznym okryciu, jakie da mu cienki koc.

A potem wydał z siebie chrapliwy jęk rozpaczy. Koc zniknął.

Legł skulony na zimnych deskach, wstrząsnął nim spazmatyczny szloch. Podkulił kolana i oplótł je ramionami, usiłując przybrać pozycję, w której traciłby najmniej ciepła. Przypomniał sobie swój ciepły płaszcz zwiadowcy, który stracił, gdy został wzięty do niewoli przez Eraka i jego ludzi. Znów zaczęło się drżenie; chłód wziął w swe posiadanie całe jego ciało, wnikał aż do szpiku kości, sięgał głębi jego duszy.

Nie było już nic, tylko dojmujący mróz. Cały świat stał się jedynie zimnem. Zimnem nie do wytrzymania, zimnem, od którego nie było ucieczki.

Poczuł, że jego policzka dotyka coś szorstkiego i otworzył oczy. Ktoś pochylał się nad nim i ten ktoś okrywał go właśnie szmatą z rozprutego worka. A potem tuż koło jego ucha rozległ się głos:

– Już dobrze, przyjacielu. Weź się w garść.

Te słowa wyrzekł wysoki, brodaty mężczyzna o niechlujnym wyglądzie. Jednak w jego oczach Will dostrzegł błysk sympatii i zrozumienia. Will otulił się zgrzebną szmatą aż po szyję.

– Widziałem, jak stanąłeś w obronie Urlicha – powiedział jego wybawca. – Musimy trzymać się razem, żeby jakoś tu przetrwać. Tak przy okazji, mam na imię Hendel.

Will próbował coś odpowiedzieć, ale jego zęby tak szczękały i głos drżał do tego stopnia, że nie był w stanie wyartykułować ani słowa.

– Masz, spróbuj tego – rzekł Hendel, rozglądając się dookoła, by sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje. – Otwórz usta.

Will zmusił się, by rozewrzeć drżące szczęki, a Hendel wsunął mu do ust liść jakiegoś ziela.

– Potrzymaj to pod językiem – szepnął Hendel – aż rozmięknie. Zaraz poczujesz się lepiej.

I rzeczywiście, po kilku chwilach Will poczuł cierpkawy smak rozpuszczonej w ślinie substancji, a zaraz potem ogarnęło go cudowne, wyzwalające od wszelkich trosk poczucie wszechogarniającego ciepła rozchodzącego się po ciele. Rozkosznego ciepła odganiającego precz nienawistny ziąb, sięgającego aż po czubki palców rąk i nóg w pulsujących falach. Nigdy dotąd nie zaznał takiej błogości, takiego wytchnienia.

Drżenie ustało, dobroczynne ciepło sprawiło, że napięte mięśnie rozluźniły się w przemożnym poczuciu ulgi i błogostanu. Spojrzał na Hendla i ujrzał jego uśmiech.

W tych dobrych, współczujących oczach jaśniała pociecha, zrozumienie… i wiedział już, że wszystko będzie dobrze.

– Co to takiego? – usłyszał swój własny głos, a zabrzmiało to, jakby pytanie zadał ktoś inny, choć zarazem czuł poruszenia swoich warg i odrętwiałego języka.

– Liście cieplaka – odrzekł Hendel, głosem jakże kojącym i łagodnym. – To on utrzymuje nas przy życiu.

Egon przyglądał się tej scenie z odległego kąta szopy. Hendel doskonale wywiązał się z powierzonego mu zadania.

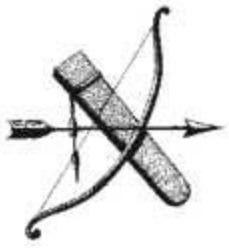

Odziany na czarno rycerz zaklął głośno, gdy strzała wyszarpnęła rękawicę z jego dłoni i wbiła się w dębową belkę.

Odruchowo spojrzał w ślad za nią, ale natychmiast skierował swą uwagę w stronę, z której nadleciał pocisk. Dopiero teraz dostrzegł skrytą w półmroku postać na tyłach sali. Gdy Halt wyszedł zza stołu, dojrzał też jego długi łuk i założoną już na cięciwę kolejną strzałę. Łucznik nie pofatygował się, by łuk naciągnąć, ale Deparnieux dopiero co miał okazję przekonać się o jego umiejętnościach. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z prawdziwym mistrzem, który potrafi naciągnąć łuk i wystrzelić z niego w ułamku sekun – dy. Stał bez ruchu, z trudem panując nad gniewem, ale wiedział, że jego życie wisi na cienkim włosku.

– Tak się niefortunnie składa – odezwał się Halt – że sir Horace, szlachetny rycerz Zakonu Dębowego Liścia, jest niezdrów, bowiem został raniony w lewą rękę. Z tej oto przyczyny nie będzie w stanie przyjąć uprzejmego zaproszenia, jakie zamierzałeś mu, panie, przedłożyć.

Postąpił o krok ku światłu i teraz Deparnieux mógł przyjrzeć się lepiej jego twarzy. Oblicze ponure i zarośnięte, twarz doświadczonego wojaka. Zimne spojrzenie, a w nim ani śladu wahania. Rycerz pojął od razu, że z tym człowiekiem należy postępować bardzo ostrożnie.

Któryś z miejscowych stłumił śmiech, a w gallijskim rycerzu aż zagotowało się ze wściekłości. Rzucił szybko okiem w stronę, z której dobiegał ten odgłos i ujrzał pewnego cieślę, który próbował odwrócić się, by ukryć rozbawienie. Deparnieux zapamiętał go sobie. Rozprawi się z nim we właściwym czasie. Teraz jednak zmusił się do uśmiechu.

– Jaka szkoda – odpowiedział, zwracając się do łucznika. – Liczyłem na to, że będę miał okazję zmierzyć się z młodym rycerzem w przyjacielskim pojedynku, oczywiście, nie mając wrogich zamiarów, lecz tylko dla rycerskiego ćwiczenia.

– Oczywiście – odpowiedział spokojnym głosem Halt, a Deparnieux zrozumiał, że jego rozmówca nie dał się omamić ani na chwilę. – Jednak, jak już wspomniałem, nie będziemy cię mogli zadowolić, panie. Wzywają nas pilne sprawy, musimy więc udać się w dalszą drogę.

Deparnieux uniósł brwi w wyrazie grzecznego zainteresowania.

– Ach, doprawdy? A dokąd to wybiera się twój młody pan, jeśli wolno spytać?

Z rozmysłem użył tego określenia, by przekonać się, jakie wrażenie wywrze ono na rozmówcy. Nie mogło być wątpliwości, kto tu jest panem. Z pewnością nie młody rycerz! Miał nadzieję, że może uda mu się urazić dumę tamtego, a przez to skłonić do popełnienia jakiegoś błędu.

Jednak nadzieja ta szybko okazała się płonna. Dostrzegł tylko nikły błysk rozbawienia w oczach rozmówcy, który bezbłędnie rozszyfrował jego zamiary.

– Och, dość daleko – odparł wymijająco Halt. – Nie jest to jednak rzecz wystarczająco ważna, by zaprzątać nią uwagę takiego sławnego rycerza, jak ty, mój panie.

Ton głosu Halta dawał wyraźnie do zrozumienia, że rycerz nie ma co liczyć na jakiekolwiek wyjaśnienia.

– Sir Horace – zwrócił się teraz do chłopca, który przecież wciąż stał tuż obok czarnego rycerza i w zasięgu jego ręki – zechciej, panie, siąść tu bliżej. Jesteś wszak ranny i potrzeba ci odpoczynku.

Horace popatrzył na niego, potem nagle zrozumiał, co Halt ma na myśli, i odsunął się od Deparnieux, po czym zasiadł w bezpiecznej odległości przy palenisku. Teraz w sali oberży zapanowała kompletna cisza. Miejscowi spoglądali na tych dwóch, stojących twarzą w twarz, groźnych mężczyzn, zastanawiając się, do czego doprowadzi ich próba sił. Tylko dwaj

zainteresowani, a więc Halt i Deparnieux, wiedzieli, że rycerz stara się ocenić swe szanse wyliczając, czy zdąży dobyć miecza i ciąć nim łucznika, nim ten wystrzeliłby. Spojrzenia ich spotkały się.

– Nie radzę – rzekł Halt.

Czarny rycerz odczytał w jego oczach przeznaczoną dla siebie wiadomość i pojął, że ani on, ani nikt inny nie zdołałby dokonać tak prędkiego wypadu, jaki byłby konieczny, aby uprzedzić strzałę przeciwnika. Skinął lekko głową w uznaniu tego faktu. W rzeczy samej, chwila nie była odpowiednia.

Przywołał uśmiech na twarz i zgiął się w kpiącym ukłonie przed Horace'em.

– A więc może innym razem, sir Horace – rzucił beztrosko. – Z wielką przyjemnością zmierzę się z tobą w przyjacielskim starciu, gdy już w pełni odzyskasz siły, panie.

Zauważył, że tym razem chłopak rzucił szybkie spojrzenie ku swemu starszemu towarzyszowi, nim odpowiedział:

– Być może, innym razem.

Rozejrzawszy się jeszcze po pomieszczeniu, z bladym uśmiechem na ustach, Deparnieux odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Tam zatrzymał się na chwilę, by raz jeszcze spojrzeć w stronę Halta. Uśmiech znikł bez śladu. Spojrzenie rycerza mówiło wyraźnie: „Jeszcze się spotkamy, przybłędo".

Drzwi zamknęły się za nim, a wszyscy w gospodzie odetchnęli z ulgą. Natychmiast rozległ się gwar rozmów; muzykanci stwierdzili, że dobry nastrój ulotnił się i nic tu po nich, więc spakowali swoje instrumenty. Gospodyni poczęstowała ich napitkiem, który przyjęli z wdzięcznością.

Horace podszedł do belki, gdzie wisiała przygwożdżona strzałą Halta rękawica. Rzucił ją na stół, wyrwał grot, a pocisk oddał Haltowi.

– O co mu chodziło? – spytał, mocno zbity z tropu. Halt poprowadził go do stolika w cieniu, który zajmowali od początku wieczoru i oparł łuk o ścianę.

– Tak to jest – rzekł do chłopaka – gdy ktoś zaczyna sobie zyskiwać niejaką reputację. Nasz przyjaciel Deparnieux to najwyraźniej ważna postać. Rządzi niepodzielnie w okolicy i uznał ciebie za zagrożenie dla swych rządów. Tak więc przybył tu, aby cię zabić.

– Ale… dlaczego? – spytał Horace z niedowierzaniem. – Przecież ja w ogóle nie wiedziałem o jego istnieniu i nic od niego nie chcę. A może

obraziłem go w jakiś sposób? Jeśli tak, to z pewnością niechcący – stwierdził.

Halt skinął poważnie głową.

– Nie w tym rzecz – wyjaśnił swemu młodemu towarzyszowi. – Ty sam go nie obchodzisz ani trochę. Natomiast twoja obecność to dla niego okazja, sposobność.

– Sposobność? – zdziwił się Horace.

– A i owszem. Sposobność po temu, by utwierdzić swą władzę nad miejscowymi – wytłumaczył Halt. – Ludzie tacy jak on rządzą za pomocą strachu, w każdym razie na nim przede wszystkim opiera się ich siła. Toteż gdy w okolicy pojawia się młody rycerz, którego poprzedza niejaka sława, dla takiego Deparnieux to okazja, by sprowokować go do walki i zabić, a tym samym ugruntować swą reputację i władzę. Ludzie będą się go bać jeszcze bardziej i mniejsza będzie groźba, że ktoś zechce kwestionować jego osobę w charakterze lokalnego władcy. Rozumiesz?

Chłopiec skrzywił się z niechęcią.

– Tak być nie powinno – oznajmił. – To niegodne.

– Zapewne – przyznał Halt – ale w tutejszej części świata tak właśnie sprawy się mają.

Jarl Erak, kapitan wilczego okrętu i członek wewnętrznej rady starszych na dworze Ragnaka, spędził kilkanaście dni poza Hallasholm.

Pogwizdywał sobie raźno, przechodząc przez otwartą bramę wiodącą do dworu swego władcy w poczuciu satysfakcji z dobrze wypełnionego zadania. Borsa posłał go do osady położonej na południe od Hallasholm, powierzając Erakowi pewną delikatną misję. Chodziło mianowicie o to, że wysokość napływających stamtąd podatków systematycznie malała. Nie o wiele, lecz już od czterech czy pięciu lat z każdym rokiem pieniędzy napływało coraz mniej.

Kto inny może dałby się zwieść, lecz nie biegły w rachunkach Borsa, którego uwadze nie umknęła też pewna istotna zbieżność. Otóż stopniowy spadek dochodów rozpoczął się właśnie wtedy, gdy tamtejsi wojownicy wybrali nowego jarla. Zwąchawszy pismo nosem, hilfmann wydelegował Eraka, by ten zbadał sprawę i przekonał tamtejszego władcę, że jeśli chodzi o płacone Ragnakowi podatki, zdecydowanie najkorzystniejszym dlań wyjściem jest uczciwe wywiązywanie się ze swych zobowiązań.

Erak szybko uporał się z problemem: nocą, tuż przed nastaniem świtu, wpadł do domostwa niesfornego jarla, po czym wywlókł go za brodę z łoża i zagroził, że rozłupie mu czaszkę toporem, jeśli winowajca natychmiast nie spłaci wszystkiego, co jest winien urzędującemu w Hallasholm władcy.

Była to dość brutalna metoda perswazji, ale okazała się nad wyraz skuteczna. Jarl bez ociągania, a wręcz skwapliwie uiścił wszystko, co do grosza.

Traf chciał, że Erak przechodził przez bramę właśnie w tym momencie, gdy zjawił się tam Will. Chłopak szedł chwiejnym krokiem, niosąc ze sobą szuflę, by odgarnąć śnieg, który zaległ przez noc.

W pierwszej chwili Erak nie rozpoznał wyniszczonej i wynędzniałej postaci, którą ujrzał. Jednak czupryna kasztanowych włosów wydała mu się znajoma. Podszedł bliżej, by przyjrzeć się dokładnie.

– Na bogów ciemności! – mruknął. – Chłopcze, to ty?

Will odwrócił się i popatrzył na niego – beznamiętnie, bez zainteresowania. Wezwano go, więc zareagował na wołający go głos, nic więcej. Nic na jego twarzy nie wskazywało, by rozpoznał, z kim ma do czynienia. Przekrwionymi oczyma wpatrywał się przez chwilę bezmyślnie w oblicze rosłego Skandianina. Erak poczuł, że ogarnia go dojmujący smutek.

Rzecz jasna od razu rozpoznał symptomy uzależnienia od tego przeklętego ziela. Wiedział też, że używa się go, by łatwiej sprawować kontrolę nad niewolnikami. I widział już niejednego z nich, który pożegnał się z życiem wskutek zimna, niedożywienia i zaniku woli przetrwania, wynikłego z uzależnienia od narkotyku. Ci, których ziele cieplaka pochwyciło w swe szpony, w otępieniu nie myśleli już o przyszłości, nie snuli planów. Nie mieli więc nadziei, która podtrzymywałaby ich na duchu. To zaś zabijało ich szybciej jeszcze niż praca i mróz.

Erak ze zgrozą zorientował się, jak nisko upadł ten chłopak. W jego oczach, ongiś tak pełnych odwagi i determinacji, teraz była tylko pustka, tępa nicość.

Will stał tak przez chwilę, czekając na polecenie. Gdzieś w głębi duszy coś drgnęło, pojawił się ślad wspomnienia, ta twarz wydała mu się chyba znajoma, kiedyś już słyszał ten głos. Jednak wspomnienie okazało się zbyt nikłe, by przebić się przez gęstwę zamroczenia, wysiłek pamięci zbyt nużący dla otępiałego umysłu. Odwrócił się i powlókł do bramy, by zacząć odgarniać śnieg. Za kilka minut będzie mokry od potu, a potem wilgotne ubranie zacznie przymarzać do jego ciała i ziąb znów przeniknie całe jego jestestwo. Ziąb stał się całym światem Willa, towarzyszył mu nieustannie w każdej godzinie i nie było odeń żadnej ucieczki prócz chwili, o której

myślał już teraz, bo też i nie potrafił myśleć o niczym innym – chwili, w której cierpkie liście przyniosą pulsujące ciepło oraz błogie ukojenie.

Erak przyglądał się Willowi, który zabrał się tymczasem do swojej roboty, niezdarnie zgięty w pół. Zaklął szpetnie pod nosem i odwrócił się. Inni niewolnicy rozpoczęli już pracę przy studni, rozbijając wiosłami grubą warstwę lodu, która utworzyła się przez noc.

Minął ich szybkim krokiem, nawet nie patrząc w ich stronę. Nie pogwizdywał już.

Dwa dni potem, późnym wieczorem, Evanlyn została wezwana do kwatery jarla Eraka.

Udało się jej znaleźć dla siebie miejsce do spania na tyle blisko wielkich palenisk, by nie marznąć nocą, a jednocześnie dość od nich daleko, żeby nie dusić się z gorąca. Teraz, po długim i ciężkim dniu, rozpostarła swój koc na twardych deskach podłogi, z ulgą ułożyła się na nim, wyciągnęła i otuliła aż pod szyję. Za poduszkę służyło jej bierwiono owinięte starą koszulą. Oparła na nim głowę, nasłuchując dobiegających odgłosów – chrapliwych lub suchych pokasływań, bo o tej porze roku w mroźnej i śnieżnej Skandii przeziębienia były na porządku dziennym – oraz cichego szmeru rozmów. Dopiero teraz, po całodziennej mordędze, niewolnicy mogli swobodnie rozmawiać, choć zazwyczaj Evanlyn była zbyt zmęczona, by z tej swobody korzystać.

Zdała sobie sprawę, że ktoś wypowiedział głośno jej imię; uniosła się, stęknąwszy cicho. Jakaś kobieta, jedna ze służebnic sprzątających komnaty wojowników, krążyła pośród leżących postaci, pochylając się od czasu do czasu, by potrząsnąć którąś z nich i zapytać, gdzie może znaleźć araluеńską niewolnicę imieniem Evanlyn. Odpowiadały jej beznamiętne spojrzenia i wzruszenia ramion; życie w niewoli i praca od świtu do nocy nie sprzyjały zawieraniu znajomości.

– Tutaj! – zawołała Evanlyn, a tamta popatrzyła w jej stronę, a potem zbliżyła się, ostrożnie przestępując nad leżącymi.

– Masz iść ze mną – oznajmiła wyniosłym tonem. Jako jedna z pokojówek najwidoczniej uważała się za istotę wyższego rzędu niż

kuchenne niewolnice pędzące swój żywot pośród tłuszczu i garów.

– Dokąd mam iść? – zdziwiła się Evanlyn, a przybyła po nią niewiasta parsknęła pogardliwie.

– Masz iść tam, gdzie ci każą – odparła. Ponieważ jednak Evanlyn ani drgnęła, musiała wyjaśnić: – Wzywa cię jarl Erak.

Bądź co bądź, nie dysponowała żadną formalną władzą nad niewolnicami z kuchni, choć uważała się za kogoś lepszego od nich. Stanowiący tu prawo Skandianie nie czynili takich rozróżnień. Niewolnik był niewolnikiem i niczym więcej, być może za wyjątkiem pełniących władzę na dziedzińcu członków „hordy". Te z jej towarzyszek, które jeszcze nie spały lub obudziły się, uniosły głowy, zdradzając niejakie zainteresowanie. Zdarzało się nieraz, że skandyjscy wojownicy brali sobie co ładniejsze młode dziewczyny do osobistych posług.

Nie mając pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, Evanlyn wstała i starannie poskładała koc. Dała znać przybyłej, że jest gotowa, i poszła za nią. Siedziba Ragnaka stanowiła istny labirynt pokojów i korytarzy rozchodzących się na wszystkie strony od wielkiej sali jadalnej. Służąca prowadziła Evanlyn przez te ciasne, słabo oświetlone zakamarki, aż wreszcie dotarły do samego końca jednego z korytarzy. Wskazała jej drzwi:

– To tutaj – rzekła zwięźle i dodała: – Tylko najpierw zapukaj. – Po czym odwróciła się i ruszyła pospiesznym krokiem z powrotem. Evanlyn zawahała się przez moment, wciąż nie wiedząc, w jakiej sprawie została wezwana, ale zaraz zapukała zgiętym palcem w twarde dębowe deski drzwi.

– Wejść! – był to bez wątpienia donośny głos Eraka, przywykłego do wykrzykiwania komend podczas sztormów. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Znalazła się we wnętrzu zbudowanym tak jak i wszystkie inne z sosnowych bali; pokój dzienny od wnęki sypialnianej oddzielała zasłona z wełnianej tkaniny. Na palenisku trzaskał wesoło ogień, roztaczając miłe ciepło. Tu i ówdzie stały krzesła z rzeźbionego drewna. Podłogę z surowych desek zakrywał kosztowny cudzoziemski gobelin, zapewne zdobycz przywieziona przez Eraka z jakiejś łupieskiej wyprawy do Galii. Tkaniny tego rodzaju widywała niejednokrotnie na Zamku Araluen. Wytwarzano je w dolinie Tierre, niektóre z nich powstawały przez dziesięć albo

i dwadzieścia lat, a kosztowały majątek – jednak Evanlyn jakoś nie wydawało się, by Erak zapłacił za ten gobelin gotówką.

Jarl siedział przy ogniu, rozparty na jednym z rzeźbionych krzeseł. Skinął na nią i wskazał niski stolik pośrodku pokoju, na którym stała butelka i kielichy.

– Wejdź, dziewczyno. Nalej wina sobie i mnie, a potem siadaj. Musimy porozmawiać.

Trochę nie wiedząc, jak ma się zachować, przeszła przez pokój i nalała czerwonego wina do dwóch pucharków. Podała jeden z nich Erakowi, po czym usiadła na drugim krześle. Nie oparła się jednak wygodnie, przysiadła tylko na samej jego krawędzi, jakby spodziewała się, że w następnej chwili będzie musiała się zerwać na równe nogi. Jarl popatrzył na nią jakby trochę ze smutkiem, po czym machnął ręką.

– Odpręż się, dziewczyno. Nikt cię tu nie skrzywdzi, w każdym razie na pewno nie ja. Napij się wina.

Upiła łyk; okazało się zdumiewająco smaczne. Erak, który wciąż się jej przyglądał, dostrzegł mimowolne zdziwienie na jej twarzy.

– A, więc potrafisz rozpoznać dobre wino – zauważył. – Znalazłem bukłak tego trunku na florenckim statku, który zdobyłem w zeszłym roku. Niezłe, prawda?

Przytaknęła skinieniem głowy. Poczuła się nieco swobodniej, ogarnęło ją przyjemne ciepło. Jednocześnie uświadomiła sobie, że już od miesięcy nie miała kropli alkoholu w ustach, toteż przyszło jej do głowy, że powinna pilnować się i ważyć każde słowo.

Czekała, aż Skandianin się odezwie. Sprawiał wrażenie zakłopotanego i chyba nie był pewien, w jaki sposób powinien przeprowadzić tę rozmowę. Cisza stawała się coraz bardziej nieznośna, aż w końcu Evanlyn nie wytrzymała, upiła jeszcze łyczek wina i spytała:

– Dlaczego mnie wezwałeś?

Jarl Erak wpatrywał się w tańczące płomienie, a teraz, gdy się odezwała, popatrzył na nią, zaskoczony. Pewnie nie leży w tutejszych zwyczajach – pomyślała – by niewolnicy odzywali się pierwsi do swych panów. Tylko co z tego? Mogliby przesiedzieć tak w milczeniu całą noc – ktoś wreszcie musiał zacząć tę rozmowę. Ku swemu zdziwieniu ujrzała, że na brodatym obliczu wojownika z wolna pojawia się uśmiech. Przyszło jej do głowy, że

w innych okolicznościach, w innym miejscu i o innym czasie, mogłaby nawet polubić tego skandyjskiego pirata.

– Kazałem cię wezwać z innego powodu, niż ci się pewnie zdaje – odrzekł i nim zdążyła odpowiedzieć, dokończył, mówiąc po trosze do niej, a po trosze do samego siebie: – Ale ktoś musi coś zrobić w tej sprawie i chyba ty zdajesz się najodpowiedniejszą do tego osobą.

– W jakiej sprawie? – spytała Evanlyn. – Co zrobić i w jakiej sprawie?

Erak najwyraźniej podjął ostateczną decyzję. Odetchnął głęboko, dopił wino i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Widziałaś ostatnio swojego przyjaciela? Widziałaś ostatnio młodego Willa?

Spuściła wzrok. Owszem, widziała go – albo raczej widziała tę powłóczącą nogami, otępiałą postać, w którą się przeistoczył. Kilka dni wcześniej posłano ją dokądś z kuchni, a że droga wypadała jej przez dziedziniec, wzięła dla niego trochę jedzenia. Wyrwał chleb z jej rąk i pożarł go łapczywie, jak wygłodniałe zwierzę. Jednak gdy odezwała się, jedyną odpowiedzią było tępe spojrzenie.

Minęły zaledwie dwa tygodnie, a on już zdążył zapomnieć o Evanlyn. W jego pamięci mgła przysłoniła postać Halta i mały domek na skraju lasu otaczającego Zamek Redmont. Nie pamiętał już o tym, co zdarzyło się na Równinie Uthal, kiedy to armia króla Duncana stawiła czoło pułkom wargalów pod wodzą Morgaratha i pokonała je.

Z jego obecnego punktu widzenia to wszystko mogłoby równie dobrze wydarzyć się na księżycu. Teraz całego jego życie i wszystkie myśli skupiały się tylko na jednej, jedynej rzeczy.

Na następnej porcji rozgrzewającego ziela.

Świadkiem tego spotkania była inna niewolnica, która, gdy Evanlyn powróciła do kuchni, odezwała się do niej półgłosem: „Zapomnij o nim. Twojego przyjaciela wzięło w swe posiadanie zioło cieplaka. Już jest trupem”.

– Owszem, widziałam go – odpowiedziała na pytanie Eraka ochrypłym głosem.

– Nie za moją sprawą do tego doszło – w jego głosie słychać było wzburzenie, które zaskoczyło Evanlyn.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Wiem dobrze, co to przeklęte zielsko wyczynia z ludźmi. To przecież śmierć za życia!

Spojrzała na niego. Najwyraźniej przemawiał szczerze i wyraźnie też oczekiwał od niej odpowiedzi.

– Wierzę, że to nie twoja wina.

Erak wstał z krzesła. Zaczął przechadzać się szybkim krokiem po pokoju, jakby gniew narastający w nim od spotkania z Willem nie pozwalał mu dłużej siedzieć bezczynnie.

– Przecież ten chłopak to prawdziwy wojownik. Może i nikczemnej postury, ale ma serce prawdziwego Skandianina.

– Jest zwiadowcą – rzekła cichym głosem.

– Tak! I zasługuje na lepszy los. Przeklęte zielsko! Nie wiem, dlaczego Ragnak na to pozwala!

Umilkł na długą chwilę, starając się zapanować nad gniewem.

– Musisz wiedzieć, że próbowałem załatwić wszystko tak, żeby was nie rozdzielili – mówił dalej. – Nie miałem pojęcia, że Borsa pośle go na dziedziniec. Ten człowiek nie pojmuje, że godny przeciwnik, choć pokonany, zasługuje na należyte traktowanie. Czegóż jednak można się po nim spodziewać? Borsa nie jest wojownikiem. Umie tylko liczyć worki ze zbożem.

– Rozumiem – powiedziała ostrożnie Evanlyn. Nie była pewna, czy rzeczywiście go rozumie, ale czuła, że oczekiwał od niej jakiejś reakcji. Erak przyglądał się jej uważnie, jakby próbował ocenić, do czego jest zdolna.

– Żywot niewolników z dziedzińca jest krótki. Bardzo krótki – rzekł półgłosem, niemal do samego siebie. Słysząc te słowa, Evanlyn poczuła zimny lęk wkradający się do jej serca. – Otóż – odezwał się znów Erak – w tej właśnie sprawie musimy coś zrobić.

Jego słowa zdawały się nieść jakąś nadzieję, choćby wbrew rozsądkowi, więc Evanlyn ponagliła:

– Ale co właściwie mielibyśmy uczynić? – spytała, modląc się w duchu, by odpowiedź jarla przyniosła jakieś wyjście z sytuacji. Erak milczał przez sekundę lub dwie, aż wreszcie oznajmił:

– Ucieknie cie. Zabierzesz go ze sobą, a ja ci w tym pomogę.

Halt i Horace mieli się na baczności przez całą noc, na przemian pełniąc wartę. Obawiali się, że Deparnieux może napaść ich podstępnie, pod osłoną ciemności. Jednak tej nocy okoliczny pan i władca już się nie pojawił.

Wczesnym rankiem następnego dnia – bowiem po wydarzeniach poprzedniej nocy uznali, że im prędzej wyjadą z miasteczka, tym lepiej – gdy siodłali konie przed stajnią na tyłach budynku, oberżysta podszedł do Halta, rozglądając się nerwowo na boki.

– Nie mogę rzec, panie, iżbym żałował, że opuszczacie moją gospodę – rzekł przepraszającym tonem. Halt poklepał go po ramieniu na znak, że nie czuje się urażony.

– Rozumiem cię, przyjacielu. Chyba nie zyskaliśmy sobie sympatii waszego lokalnego bandyty.

Gospodarz raz jeszcze spojrzał dookoła, nim szeptem przyznał Haltowi rację; widocznie bał się, że ktoś może ich obserwować i donieść Deparnieux o jego nielojalności. Halt domyślał się, że mieszkańcy miasteczka już niejednokrotnie mieli okazję przyglądać się rozmaitym wyczynom czarnego rycerza. Mógł tylko współczuć nieszczęśnikowi, który zeszłego wieczoru nie potrafił skryć swego rozbawienia – co najwyraźniej nie umknęło uwadze Deparnieux.

– Zły to człowiek, panie, tak jest – przyznał oberżysta drżącym głosem. – Ale co mogą począć tacy jak my? On ma na swe usługi całą armię, a my jesteśmy tylko prostymi ludźmi, nie wojownikami.

– Niestety, nie mogę wam pomóc – odparł Halt – bowiem musimy czym prędzej wyruszać w drogę – oświadczył i po chwili wahania spytał: – Czy prom w Les Sourges codziennie przewozi podróżnych na drugi brzeg rzeki?

Miejscowość Les Sourges położona była o jakieś dwadzieścia kilometrów na zachód. Halt i Horace wybierali się w kierunku północnym, ale zwiadowca był pewien, że Deparnieux powróci i będzie chciał wiedzieć, w którą stronę się udali. Nie spodziewał się, by oberżysta zechciał zachować w tajemnicy zadawane mu pytania i nie miałby też mu za złe, gdyby tego nie uczynił.

– Tak, panie, o tej porze roku prom pływa codziennie. W przyszłym miesiącu, kiedy rzeka zamarznie, trzeba będzie wędrować aż do mostu w Colpennières.

Halt wskoczył na siodło. Horace dosiadał już swojego wierzchowca i trzymał sznur, na którym prowadził dźwigające swój ładunek zdobyczne konie.

– W takim razie przeprawimy się promem – oznajmił zwiadowca donośnym głosem. – O ile się nie mylę, droga do niego prowadzi od rozstajów kilka mil stąd, czy nie tak?

– Tak jest, panie. To będzie pierwsze znaczniejsze rozwidlenie. Aby dotrzeć do przeprawy, trzeba skręcić na prawo.

Halt uniósł rękę w geście podziękowania oraz pożegnania, po czym spiął Abelarda kolanami i ruszył przodem, wyjeżdżając z podwórza.

Tego dnia nie zatrzymywali się na popasy; parli wytrwale naprzód. Na rozstajach nie skręcili w prawo, lecz jechali dalej na północ. Często oglądali się za siebie, ale nic nie wskazywało na to, by ktoś próbował ich ścigać. Jednak otaczające wzgórza i lasy stanowiły wystarczającą kryjówkę choćby i dla całej armii. Halt wcale nie był pewien, czy znający dobrze te ziemie Deparnieux nie podąża przypadkiem jakimś równoległym szlakiem, aby wyprzedzić ich i przygotować zasadzkę gdzieś na drodze.

Niemal odetchnęli z ulgą, gdy wczesnym popołudniem dotarli do kolejnego mostku i ujrzeli kolejnego rycerza pełniącego przy nim straż – z pewnością aby pobrać haracz lub rzucić wyzwanie w razie odmowy.

Rycerz ów dosiadał kościstego kasztana, któremu już od dwóch czy trzech lat należało się zwolnienie ze służby, i w niczym nie przypominał groźnego wojownika napotkanego zeszłego wieczoru. Jego zszargany płaszcz, kiedyś zapewne żółty, lecz teraz spłowiały do brudnej bieli, nosił wyraźne ślady błota. Na zbroi widoczne były plamy rdzy, a kopia wykonana została z topornie ociosanej i niezbyt nawet prostej gałęzi, z widocznym zgrubieniem w jednej trzeciej długości. Na tarczy rycerz nosił znak przedstawiający łeb dzikiej świni – herb całkiem odpowiedni dla tak niechlujnej postaci.

Zatrzymali się, by ocenić sytuację. Halt westchnął ciężko.

– Och, jakież to nudne – mruknął do Horace'a i zsunął łuk z ramienia.

– Zaczekaj, Halt – zaoponował Horace, zdejmując puklerz z pleców i mocując go na lewym ramieniu. – Może najpierw pokażmy mu liść dębu, a nuż zmieni zdanie?

Halt skrzywił się, spoglądając w stronę rycerza-obdartusa zagradzającego im drogę, ale nie założył strzały na cięciwę.

– No, dobrze – zgodził się niechętnie. – Ale damy mu tylko jedną szansę. Jeśli nie ustąpi, zrobię z nim porządek. Mam już powyżej uszu tych próżniaków.

Horace ruszył na spotkanie dziwacznego rycerza, a Halt opuścił łuk. Swoją drogą – pomyślał – to rzecz szczególna, że ten łachmyta nie wydał dotąd żadnego rycerskiego okrzyku. Zazwyczaj przydrożni wojownicy aż rwali się do rzucania wyzwań, zazwyczaj urozmaicając je dziarskimi: „Hola, psubracie!" czy „Stójcie no, panie rycerzu!" oraz innymi, równie buńczucznymi zawołaniami i obelgami.

W chwili gdy umysł Halta sformułował bezgłośnie tę myśl, w jego głowie rozległo się bicie dzwonów na trwogę. Zawołał do rycerskiego czeladnika, który zdążył się już oddalić na dwadzieścia metrów, cwałując na grzbiecie Kickera w stronę przeciwnika:

– Horace! Wracaj! To.

Nim jednak zdołał wypowiedzieć zdanie do końca, z gałęzi dębu zwisających nad drogą opadło coś bezkształtnego, co owinęło się wokół głowy i ramion młodzieńca. Przez chwilę Horace zmagał się na próżno z krępującymi jego ruchy fałdami sieci. W następnej chwili niewidzialna ręka pociągnęła za linę, sieć zacisnęła się, chłopak wypadł z siodła i runął ciężko w pył drogi.

Wystraszony Kicker odskoczył na bok i o kilka kroków do tyłu od swego jeźdźca leżącego na ziemi, a potem, zorientowawszy się, że jemu samemu nie grozi niebezpieczeństwo, zatrzymał się, strzygąc niespokojnie uszami.

– …pułapka – dokończył cicho Halt, przeklinając własną nieuwagę. Komiczny wygląd obdartusa uśpił czujność zwiadowcy, a przez to znaleźli się teraz w tarapatach.

Jego łuk gotowy był do strzału, lecz brakowało widocznego celu, jeśli nie liczyć rycerza na starej szkapie, który nadal w milczeniu stał pośrodku drogi. Bez wątpienia odegrał rolę przynęty w tej zasadzce. Nawet nie drgnął, gdy sieć spadła na Horace'a.

– No cóż, przyjacielu, zapłacisz mi za to – mruknął Halt i płynnym ruchem uniósł łuk, naciągając go, aż pierzasty bełt musnął jego policzek, tuż nad kącikiem ust.

– Na twym miejscu nie czyniłbym tego – ozwał się znajomy tubalny głos. Wyświechtany rycerz uniósł zardzewiałą przyłbicę i ukazały się ciemne rysy Deparnieux.

Halt zaklął pod nosem. Nie strzelił, choć strzała wciąż pozostawała w gotowości, bo usłyszał jakieś odgłosy w krzakach po obu stronach drogi. Powoli opuścił łuk, zdawszy sobie sprawę, że z zarośli wyłoniło się co najmniej kilkanaście postaci, a wszystkie z nich dzierżyły w rękach mordercze kusze.

Wymierzone w niego.

Odłożył strzałę do kołczana umocowanego na plecach. Zerknął w stronę Horace'a, który wciąż tarzał się w bezsilnym zmaganiu z oplatającą go siecią. Zza krzewów i drzew rosnących u skraju drogi wyłoniły się kolejne postacie. Kilku ludzi podeszło do obezwładnionego Horace'a – czterech wymierzyło w niego kusze, a pozostali zdjęli sieć, odebrali mu broń i postawili na nogi. Chłopak był purpurowy na twarzy.

Deparnieux z zadowolonym uśmiechem zbliżył się ku nim, spiąwszy kościstego wierzchowca. Zatrzymał się w takiej odległości, by wyraźnie było słychać jego słowa, i pokłonił się niedbale.

– Będę zaszczycony, panowie – rzucił szyderczym tonem – mogąc gościć was w Château Montsombre.

Halt uniósł brew.

– Czyż można odmówić tak grzecznemu zaproszeniu? – spytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Minęło pięć dni, odkąd Erak wezwał Evanlyn do swojej kwatery. Czekając na znak od niego, przeprowadzała tymczasem drugą część planu, jaki jej przedstawił, a mianowicie wyrzekała głośno na swój los, bowiem Erak wyznaczył ją rzekomo na jedną ze swych osobistych niewolnic. Zgodnie z ustaloną przez nich oboje wersją, miała do końca tygodnia pracować w kuchni, a potem objąć swoje nowe obowiązki. Ogłaszała wszem i wobec swoją niechęć wobec jego osoby w ogóle, a zwłaszcza jeśli chodzi o nadmierne zamiłowanie jarla do czystości, przy czym, gdy tylko się dało, skarżyła się na złe traktowanie przez niego podczas podróży do Hallasholm.

Jeśliby wierzyć głoszonej przez Evanlyn opinii, Erak był istnym nikczemnikiem z piekła rodem, a do tego cuchnęło mu z gęby.

Po kilku dniach jej narzekań, Yanna, jedna z niewolnic zawiadujących pracą w kuchni, stwierdziła ze znużeniem w głosie:

– Gorszy los mógłby cię spotkać, dziewczyno. Pogódź się z tym, na co i tak nie masz wpływu.

Odwróciła się i odeszła, nie chcąc już wysłuchiwać nieustannych skarg Evanlyn. Bo i rzeczywiście – życie niewolników, których wojowie brali do swych osobistych posług, miało swoje zalety – choćby lepsze wyżywienie, porządne ubrania i wygodniejsze kwatery.

– Raczej się zabiję! – zawołała za nią Evanlyn, korzystając z okazji, by rozgłosić większej liczbie świadków swój wstręt wobec osoby jarla. Przechodzący mimo kuchcik, który nie był niewolnikiem, trzepnął ją mocno dłonią w tył głowy, aż zadźwięczało jej w uszach.

– Zrobię to za ciebie, leniwy kocmołuchu, jeżeli natychmiast nie weźmiesz się do roboty – wrzasnął. Otrząsnęła się, rzuciła w ślad za nim nienawistne spojrzenie i pochwyciła dzban z piwem, który miała zanieść Ragnakowi oraz jego współbiesiadnikom.

Jak zwykle, gdy wchodziła do sali jadalnej, gdzie mógł dostrzec ją skandyjski wódz, czuła przypływ obezwładniającego lęku. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi – bowiem trudno było się spodziewać, że w ogóle zauważy ją pośród dziesiątków innych uwijających się niewolników, którzy podawali jadło i napitki – żyła w nieustannym strachu, że oto ktoś, kiedyś, nie wiadomo jak – ale rozpozna w niej córkę Duncana. Obawa ta, w nie mniejszym stopniu niż ciężka praca od świtu do nocy, sprawiała, iż pod koniec każdego dnia wprost padała ze zmęczenia.

Gdy skończył się wreszcie długi dzień, niewolnicy z ulgą udali się do wyznaczonych im komnat, zajmując przypisane miejsca na podłodze. Nie bez rozgoryczenia Evanlyn spostrzegła, że Yanna, najwyraźniej znużona jej ciągłymi narzekaniami na Eraka, przeniosła swój koc do odległego krańca pomieszczenia. Umościła własny barłóg na tyle wygodnie, na ile to było możliwe, i już miała owinąć drewnianą poduszkę starą koszulą, gdy nagle zauważyła, że z fałd wypadł skrawek papieru.

Serce zabiło jej mocniej. Zakryła papier stopą, zerkając na boki, czy nie dostrzegła tego któraś z jej sąsiadek. Ale nie, wszystkie zajęte były przygotowaniami do snu. Starając się zachowywać tak jak zwykle, Evanlyn położyła się, nieznacznym ruchem zgarnęła świstek i ukryła go pod dłonią. Podciągając koc pod brodę, spojrzała. Widniało na nim jedno słowo: „dzisiaj".

Kilka minut później zgaszono lampy; odtąd jedynie płomienie migoczące na palenisku rozświetlały wnętrze. Evanlyn leżała na plecach z otwartymi oczyma, czując krew pulsującą w skroniach. Czekała.

Rozmowy wokół stopniowo milkły, a zamiast nich dał się słyszeć równomierny oddech śpiących niewolników. Czasem rozlegało się ciche chrapanie, ktoś kaszlał, raz czy dwa odezwał się głos – stara teutońska niewolnica gadała coś przez sen w swym niezrozumiałym języku.

Ogień przygasł, tylko czerwony żar bił od paleniska. W oddali, nad zatoką, straż odegrała na rogu sygnał zwiastujący północ – ostatni przed świtem, kiedy to około siódmej trąbiono pobudkę. Erak kazał jej od tej chwili odczekać jeszcze godzinę. „W ten sposób wszyscy zdążą się ułożyć i zasnąć głębokim snem – stwierdził, przedstawiając jej swój plan. – Jeśli będziemy zwlekać dłużej, ci, którzy śpią lekko oraz starsi niewolnicy zaczną się budzić i chodzić do latryny".

Pomimo nerwowego napięcia jej powieki zaczęły opadać; nagle przeraziła się, bo zdała sobie sprawę, że prawie już usnęła. Tego by tylko brakowało – pomyślała – żeby jarl czekał na nią, podczas gdy ona będzie sobie smacznie chrapać pod kocem. Zmieniła pozycję na mniej wygodną i wbiła paznokcie w dłonie, aby ból nie pozwolił jej usnąć. Zaczęła odliczać mijający czas i znów niemal w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że ta monotonna czynność ją usypia.

Wreszcie, znużona oczekiwaniem, uznała, że godzina musiała już upłynąć. Odgarnęła ostrożnie koc i wstała. W kuchni nikt się nie poruszył, zresztą przecież nawet gdyby ktoś zwrócił na nią uwagę, pomyślałby, że wychodzi za potrzebą. Kiedy się kładła, zdjęła tylko buty. Teraz trzymała je w ręce; koc zarzuciła na ramiona. W miarę jak przygasał ogień, w kuchni robiło się coraz chłodniej, toteż zadrżała, poczuwszy na skórze chłodne powietrze.

Miała wrażenie, że skrzypienie drzwi prowadzących na dziedziniec obudziłoby umarłego. Krzywiąc się, zamknęła je najostrożniej, jak tylko mogła, dziwiąc się przy tym, że przeraźliwy odgłos nikogo nie obudził.

Noc była ciemna, księżyc i gwiazdy przysłonięte grubymi, ciężkimi chmurami. Lecz zalegający ziemię śnieg pozwalał dostrzec w odległości dwudziestu czy trzydziestu metrów czerniejącą bryłę szopy, w której nocowali niewolnicy przypisani do dziedzińca.

Podskakując na jednej nodze, a potem na drugiej, naciągnęła buty. Następnie, trzymając się ściany głównego budynku, skierowała się w lewo ku jego narożnikowi, zgodnie z poleceniem Eraka. Gdy skończyła się ściana, mimo woli krzyknęła cicho. W cieniu ujrzała rosłą postać.

Na moment ogarnęła ją panika, jednak w następnej chwili zdała sobie sprawę, że widzi jarla Eraka.

– Spóźniłaś się – usłyszała gniewny szept. Zdała sobie sprawę, że jest nie mniej zdenerwowany niż ona. Choć był jarlem, pomagając niewolnikowi

w ucieczce, ryzykował życie i doskonale o tym wiedział.

– Trochę potrwało, nim wszyscy się ułożyli do snu – skłamała. Nie było sensu tłumaczyć, że nie dysponowała żadnym sposobem, by zmierzyć dokładnie czas. Mruknął coś w odpowiedzi, z czego wywnioskowała, że jej wyjaśnienie zostało przyjęte do wiadomości. Wcisnął jej w dłoń mały mieszek.

– Trzymaj – powiedział. – W środku jest parę srebrnych monet. Przypuszczalnie będziesz musiała przekupić któregoś z członków „hordy", żeby wypuścił chłopaka. Tyle powinno wystarczyć. Gdybyś dała więcej, wyglądałoby to podejrzanie i zaczęliby się zastanawiać, skąd masz tak dużo pieniędzy.

Omówili już tę sprawę w jego kwaterze przed pięcioma dniami. Ucieczka musiała odbyć się w taki sposób, by podejrzenie nie padło na Eraka. Właśnie dlatego kazał jej skarżyć się głośno i ostentacyjnie na swój los oraz zarzekać, że za nic w świecie nie zostanie osobistą służką Eraka. W ten sposób miało powstać wrażenie, iż taka właśnie była przyczyna jej ucieczki.

– Weź także to – rzekł, podając jej krótki sztylet w skórzanej pochwie. – Może ci się przydać na wypadek jakichś kłopotów.

Zatknęła broń za szeroki pas. Ubrana była w obszerne spodnie i kaftan, koc okrywał jej ramiona niczym płaszcz.

– A kiedy już go stamtąd wyciągnę, co później? – spytała szeptem.

Erak wskazał drogę wiodącą w dół do zatoki.

– Najpierw w tamtą stronę. Niedaleko za bramą zobaczysz drogę odchodzącą na lewo. Skręcisz w nią. Nieco dalej uwiązałem kucyka. Na jego grzbiecie znajdziesz sakwy z żywnością i ciepłym odzieniem. Bez konia Will daleko nie ujdzie – zawahał się i dodał: – A w małym woreczku znajdziesz także niewielki zapas cieplaka.

Popatrzyła na niego, zaskoczona. Przecież podczas ostatniej rozmowy nie ukrywał swego wstrętu wobec zioła o tak zgubnym działaniu.

– Będziesz go potrzebować dla Willa – wyjaśnił krótko. – Gdy ktoś już raz przywyknie do tego świństwa, może nawet umrzeć, jeśli nagle zostanie go pozbawiony. Będziesz musiała odzwyczajać chłopaka, wydzielając mu z każdym tygodniem coraz mniej – dopóki jego umysł nie wyzdrowieje i nie będzie mógł się obyć bez ziela.

– Zrobię, co w mojej mocy – oświadczyła; uścisnął jej rękę w nadgarstku, chcąc jej tym gestem dodać odwagi. Spojrzał na zwisające nisko chmury i pociągnął nosem.

– Przed świtem spadnie świeży śnieg, który zakryje wasze ślady. A ja dodatkowo stworzę fałszywy trop. Musicie zmierzać wciąż przed siebie, aż znajdziecie się w górach. Potem dalej tą samą drogą, do rozwidlenia, które rozpoznasz po tym, że wznoszą się przy nim trzy wielkie głazy, środkowy jest najwyższy. Wtedy pójdziecie na lewo, a po dwóch dniach dotrzecie do chaty. Jest to mały domek w górach, którego w okresie letnich polowań myśliwi używają jako bazy wypadowej. W zimie stoi pusty i może zapewnić wam względnie bezpieczne schronienie. I pamiętaj – dodał – gdy tylko zaczną się wiosenne roztopy, ruszajcie w drogę. Chłopak do tego czasu powinien już odzyskać siły. Tylko za żadną cenę nie dajcie się pojmać myśliwym. Musicie zniknąć, zanim pojawią się pierwsi z nich. A więc gdy ujrzysz pierwsze oznaki wiosny, ruszajcie na południe – umilkł na chwilę. – Przykro mi, że nie mogę więcej dla was zrobić. Ale czas nagli i jeśli teraz nie uciekniecie, Will nie pożyje już za długo.

Wspięła się na palce i ucałowała go w zarośnięty policzek.

– Zrobiłeś i tak bardzo wiele – powiedziała. – Nigdy ci tego nie zapomnę, jarlu Eraku. Nawet nie wiem, jak ci dziękować.

Machnął niezdarnie ręką, zakłopotany jej podziękowaniami. Rzucił raz jeszcze okiem na niebo, a potem wskazał kciukiem szopę na dziedzińcu.

– Bierz się do dzieła, dziewczyno – rzekł. I dodał: – Powodzenia.

Rzuciła mu uśmiech na pożegnanie, odwróciła się i ruszyła na ukos przez dziedziniec – ku szopie niewolników. Wydawało jej się, że jest doskonale widoczna na białym śniegu i w każdej chwili spodziewała się, że ktoś zatrzyma ją okrzykiem. Dotarła jednak do celu bez przeszkód i z ulgą schroniła się w cieniu budynku, przycupnąwszy pod jego ścianą.

Odczekała kilka chwil, by złapać oddech i choć trochę uspokoić bijące serce. Potem przesunęła się wzdłuż ściany do drzwi. Były rzecz jasna zamknięte, ale tylko z zewnątrz i tylko na zwykłą zasuwę. Odsunęła ją, wstrzymując oddech, gdy zazgrzytał metal, uchyliła rozchwiane drzwi i wsunęła się do wewnątrz.

W środku nie płonął ogień, więc było tam ciemniej niż w kuchni. Odczekała, aż jej oczy przywykną do mroku. Po chwili zaczęła wyraźniej dostrzegać leżące na podłodze postacie owinięte kocami i łachmanami.

Światło padało na nie z zewnątrz, przez szpary między balami, z których zbudowano ścianę.

Od Eraka wiedziała, że członkowie „hordy" zajmują osobne pomieszczenie w końcu szopy, gdzie ogrzewają się ogniem z niewielkiego paleniska. Mogło jednak się zdarzyć, że któryś z nich będzie sprawował straż nad podwładnymi. Właśnie dlatego jarl dał jej srebro.

I sztylet.

Dotknęła dłonią lodowatej rękojeści, by dodać sobie odwagi. Dzień po spotkaniu w kwaterze Eraka odwiedziła to miejsce, toteż orientowała się z grubsza, gdzie znajduje się miejsce zajmowane przez Willa. Ruszyła w tamtą stronę, stąpając ostrożnie, by nie nadepnąć na któregoś ze śpiących. Rozglądała się na wszystkie strony, ale nigdzie nie mogła go dostrzec; ogarniało ją poczucie coraz straszniejszej rozpaczy. A potem nagle ujrzała znajomą czuprynę wystającą spod poszarpanej szmaty i odetchnęła z ulgą.

Przedostała się ku niemu. Wiedziała, że kiedy już zdoła go obudzić, nie będzie sprawiał kłopotów i pójdzie za nią bez słowa. Niewolnicy z dziedzińca, których zmysły i mózgi otępiał narkotyk, posłuszni byli każdemu poleceniu, jakie im wydano.

Owszem, ale najpierw trzeba było go wyrwać ze snu. Przykucnęła obok Willa, potrząsnęła go za ramię. Najpierw łagodnie, potem, zdawszy sobie sprawę, że pod wpływem ziela śpi jak zabity, coraz mocniej.

– Willu! – syknęła, pochylając się nisko nad jego uchem. – Wstawaj. Obudź się!

Mruknął tylko przez sen. Jednak jego oczy wciąż były zamknięte, oddychał głęboko. Potrząsnęła nim jeszcze mocniej, czując jak znów ogarnia ją przerażenie.

– Willu, proszę – błagała. – Obudź się!

Wreszcie w panice z całej siły trzepnęła go płaską dłonią w policzek.

To poskutkowało. Powieki uniosły się, spojrzał na nią zamglonymi oczami. Chyba jej nie poznał, ale przynajmniej już nie spał. Pociągnęła go za rękę.

– Wstawaj – rozkazała. – Pójdziesz ze mną.

Poruszył się; powoli, ospale. Dźwignął się chwiejnie na nogi, po czym stanął przed nią, czekając na dalsze rozkazy.

Wskazała uchylone drzwi, przez które do wnętrza wpadała smuga światła.

– Idź. Idź do drzwi – poleciła, a on natychmiast powlókł się w tamtym kierunku, nie zważając wcale, gdzie stawia stopy, kopiąc i depcząc śpiących towarzyszy niedoli. Co dziwne, prawie nie reagowali, tylko niektórzy pomrukiwali przez sen albo przewracali się na drugi bok. Już miała pójść za nim, gdy powstrzymał ją zimny głos dochodzący z drugiego końca pomieszczenia.

– Ej, ty, tam. Dokąd go zabierasz?

Jeden z „hordy". Gorzej, bo Egon we własnej osobie. Jarl Erak nie mylił się, rzeczywiście pełnili nocą warty, nadzorując poddanych sobie niewolników. Odwróciła się w jego stronę, podczas gdy on zbliżał się ku niej. Tak jak Will, nie zwracał uwagi na uśpione postacie, stąpając po nich.

Evanlyn wyprostowała się, wzięła głęboki wdech i oznajmiła tak pewnym głosem, na jaki tylko było ją stać:

– Jarl Erak przysłał mnie po tego niewolnika. Skończyły mu się drwa do ognia. Will ma mu przynieść nowy zapas.

Szef „hordy" zmarszczył brwi. Niewykluczone, że mówiła prawdę. Zdarzało się nie raz, że gdy któremuś z wojowników zgasł ogień, w środku nocy posyłano po niewolnika. Coś tu się jednak nie zgadzało, poza tym miał wrażenie, że rozpoznaje tę dziewczynę.

– Posłał właśnie po tego niewolnika? – spytał.

– Tak – odparła Evanlyn, siląc się na niedbały ton. Na tym właśnie polegała słabość wymyślonej przez nich historyjki. W końcu dlaczego Erak albo którykolwiek inny ze Skandian miałby domagać się, by prostą robotę wykonał dla niego akurat ten, a nie inny niewolnik?

– Tak? A dlaczego właśnie po niego?

Zrozumiała, że nie przekona go tak łatwo. Postanowiła więc improwizować, próbując bardziej wiarygodnej wymówki.

– No dobrze. Nie mówił, że mam przyprowadzić akurat tego. Powiedział tylko, żebym wzięła któregoś z niewolników. Ale Will jest moim przyjacielem i w ten sposób przez parę godzin mógłby popracować w cieple, może zjadłby raz porządny posiłek, więc pomyślałam sobie. – zawiesiła głos i wzruszyła ramionami w nadziei, że to wystarczy. Jednak Egon wciąż tylko wpatrywał się w nią.

– Taak – odezwał się. – Byłaś tu parę dni temu. Widziałem, jak się rozglądasz.

Evanlyn przeklęła go w duchu. Postanowiła szybko zakończyć sprawę. Wyciągnęła mieszek z drobniakami i zabrzęczała nimi.

– Posłuchaj, próbuję wyświadczyć przysługę mojemu przyjacielowi – powiedziała. – Tobie też coś z tego przyjdzie. Więc jak?

Rzucił szybko okiem przez ramię, by upewnić się, że żaden z członków „hordy" nie obserwuje tej sceny. Wyciągnął rękę i wyrwał jej sakiewkę.

– To rozumiem – stwierdził. – Ja coś zrobię dla ciebie, ty zrobisz coś dla mnie.

Wetknął pieniądze za połę koszuli i podszedł do niej bliżej. Obejrzała się: Will stał przy drzwiach, nie zdradzając żadnych oznak zainteresowania. Na jego pomoc z pewnością nie mogła liczyć. Nagle Egon chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

– A może znajdziesz jeszcze parę pieniążków, co?

W następnej chwili skrzywił się, bo poczuł ostry ból w dolnej części brzucha i coś ciepłego spływającego po skórze. Evanlyn uśmiechnęła się lodowato.

– A może cię wypatroszę jak śledzia, jeżeli mnie nie puścisz – syknęła, szturchając go raz jeszcze ostrzem sztyletu.

Nie miała pojęcia, czy śledzie się patroszy, ale i dla Egona wydawało się to nie mieć w tej chwili znaczenia. Cofnął się błyskawicznie. Machnął ręką w stronę drzwi, klnąc pod nosem.

– Dobra – rzucił. – Wynocha stąd. Ale twój koleżka zapłaci za to, kiedy tu wróci.

Evanlyn odetchnęła bezgłośnie i ruszyła czym prędzej ku drzwiom. Chwyciła Willa za rękę, po czym wyciągnęła go na dwór. Odwróciła się, by zamknąć drzwi na zasuwę.

– Idziemy, Willu. Nic tu po nas – rzekła i poprowadziła go prosto ku drodze wiodącej nad zatokę.

Ukryty w cieniu jarl Erak obserwował ich – teraz i on odsapnął z ulgą.

Odczekał kilka minut i poszedł w tym samym kierunku. Miał jeszcze parę spraw do załatwienia tej nocy.

Kawalkada podążała dalej na północ. Halt i Hora'ce jechali w środku, a towarzyszył im Deparnieux, który przebrał się tymczasem w swoją czarną zbroję i tunikę. Również stara szkapa, której dosiadał poprzednio, powędrowała na tyły; teraz niósł go potężny, ognisty rumak – karej maści, jak trafnie domyślił się Halt.

Otaczało ich co najmniej trzydziestu zbrojnych, a ponadto jeszcze dziesięciu jeźdźców – pięciu na czele i pięciu w ariergardzie kolumny.

Kusznicy wciąż trzymali broń gotową do strzału. Bez wątpienia, gdyby Halt lub Horace zechcieli spróbować ucieczki, zostaliby naszpikowani bełtami, nim zdołaliby umknąć choćby na kilka kroków.

Deparnieux nie kazał mu odebrać łuku, a Horace również zachował swój miecz i kopię. Gdy otoczyli ich jego ludzie, wskazał ich tylko i stwierdził:

– Widzicie sami, że opór nie zda się na nic, więc nie odbiorę wam broni – po czym zerknął znacząco na długi łuk oparty przez Halta niedbale o łęk siodła. – Jednak poczuję się swobodniej w tak zacnej kompanii, gdy z tego łuku zostanie zdjęta cięciwa.

Halt wzruszył ramionami i wykonał wydane w ten sposób polecenie. Spojrzeniem dał znać Horace'owi, że nie jest to odpowiednia chwila, by walczyć i że na razie trzeba pogodzić się z nieuniknionym. Horace skinął głową, po czym ruszyli za gallijskim rycerzem, ciasno otoczeni jego

poplecznikami. Co do wielkoduszności Deparnieux, nie tyczyła się ona zdobycznych koni dźwigających trofea. Czarny rycerz rozkazał jednemu ze swych jezdnych przejąć sznur, na którym były wiedzione i teraz wędrowały na samym końcu orszaku. Deparnieux nie omieszkał też zauważyć, że mały kudłaty konik juczny bez uwięzi podąża tuż za wierzchowcem Halta – uniósł lekko brwi, ale nie rzekł ani słowa.

Ku zaskoczeniu Halta nie zawrócili w stronę miasteczka, lecz ruszyli dalej w kierunku północnym, tak jak prowadziła ich droga.

– Czy wolno spytać, dokąd nas zabierasz, panie rycerzu? – spytał.

Deparnieux skłonił mu się dwornie ze swego siodła.

– Jak wspomniałem, zdążamy do mego zamku, zwanego Montsombre – oznajmił – gdzie przez czas jakiś pozostaniecie mymi gośćmi.

Halt skinął głową, przyjmując do wiadomości te słowa.

– A czemuż zawdzięczamy ten zaszczyt? – spytał.

Czarny rycerz obdarzył go ponurym uśmiechem.

– Ponieważ wzbudziliście, szlachetni panowie, moje zainteresowanie – wyjaśnił. – A zwłaszcza ty. Podróżujesz w kompanii rycerza, bez zbroi i nosisz prostacką broń. Nie jesteś jednak prostym rękodajnym, nieprawdaż?

Na to Halt nie odpowiedział nic, wzruszył tylko ramionami.

Deparnieux, który przyglądał mu się uważnie, uznał to za potwierdzenie swych przypuszczeń.

– No właśnie, nie jesteś nikim takim. To ty dowodzisz, nie jesteś z tych, którym wydaje się rozkazy. A przy tym zaciekawił mnie twój strój. Ten płaszcz… – pochylił się, by zmacać palcami tkaninę zwiadowczego okrycia.

– Nigdy dotąd takiego nie widziałem.

Umilkł, czekając na odpowiedź Halta. Skoro było nią milczenie, niezbyt zaskoczony Deparnieux mówił dalej:

– A przy tym jesteś wyśmienitym łucznikiem. O nie, więcej niż wyśmienitym. Nigdy nie spotkałem łucznika, który zdolny byłby do takiego strzału jak ten, który widziałem zeszłej nocy.

Tym razem Halt odpowiedział, uśmiechając się przepraszająco:

– To nie był aż tak udany strzał – stwierdził. – Mierzyłem w twoją krtań, panie.

Deparnieux zaśmiał się głośno i śmiał się przez dłuższą chwilę.

– Och, nie wydaje mi się, by tak było, przyjacielu. Zaiste sądzę, że strzała uderzyła tam właśnie, gdzieś ją wycelował.

I znów wybuchnął śmiechem. Halt zauważył, że pomimo tego wybuchu wesołości oczy rycerza pozostawały posępne i złowrogie.

– Tak więc – mówił dalej Deparnieux – postanowiłem dokonać uważniejszego osądu takiej osobliwości. Może się okazać, przyjacielu, że będziesz mi przydatny. Któż bowiem wie, jakie jeszcze inne umiejętności i talenty kryją się pod tym dziwacznym płaszczem?

Horace przyglądał się im obu. Gallijski rycerz nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, co zresztą Horace'owi jak najbardziej odpowiadało. Choć zdawało się, że obaj mężczyźni wiodą między sobą rozmowę błahą i lekką, czuł, że w istocie jest ona jednak śmiertelnie poważna. Sytuacja przerastała go, więc był zadowolony, mogąc zdać się na przewodnictwo Halta i po prostu czekać, do czego to wszystko doprowadzi.

– Wątpię, byś mógł mieć ze mnie jakiś pożytek, panie – odparł spokojnie Halt na ostatnie słowa czarnego rycerza. Horace zastanowił się przez chwilę, czy Deparnieux zrozumiał ukryty przekaz tej wypowiedzi, a mianowicie, że Halt, niezależnie od swych umiejętności czy uzdolnień, nie zamierzał oddawać ich w usługi tutejszego wielmoży.

Jednak Deparnieux chyba pojął sens tych słów, bowiem raz jeszcze zmierzywszy wzrokiem krępą postać rozmówcy, rzekł:

– To się jeszcze okaże. Tymczasem pozwolę sobie służyć wam moją gościnnością, przynajmniej dopóki nie wydobrzeje ramię twojego młodego przyjaciela – obdarzył Horace'a zimnym uśmiechem, po raz pierwszy od początku rozmowy zwracając nań uwagę. – Bądź co bądź, nie jest to całkiem bezpieczna okolica, zwłaszcza jeśli ktoś nie w pełni włada ręką dzierżącą tarczę.

Noc spędzili w obozowisku rozbitym na małej polance opodal drogi. Deparnieux wystawił straże, ale Halt spostrzegł od razu, że większość wartowników czuwa pilnie nad jego osobą oraz Horace'em, nie troszcząc się zbytnio o ewentualnych napastników z zewnątrz. Bez wątpienia Deparnieux czuł się tu bezpiecznie. Co znamienne, gdy rozłożono już obozowisko, czarny rycerz zażądał, by oddali mu broń, stwierdziwszy lekko kpiącym tonem, iż jest wszak jego obowiązkiem zadbać, by cenny dobytek jego gości znalazł się pod odpowiednią strażą. Nie mając

w gruncie rzeczy żadnego wyboru, obaj Araluеńczycy musieli być posłuszni.

Potem Deparnieux zrezygnował już z wszelkich pozorów gościnności, bowiem spożył wieczerzę samotnie w rozbitym dlań przez sługusów namiocie – oczywiście czarnym – gdzie też spędził resztę nocy.

Halt tymczasem znalazł się w nie lada kłopocie. Gdyby był sam, gdyby nie był obarczony swym młodocianym towarzyszem, nic prostszego: rozpłynąłby się w mrokach nocy, a po drodze odzyskałby bez trudu swą broń, nawet gdyby ceną za to miało by być uszczuplenie świty Deparnieux o kilku ludzi.

Jednak kłopot polegał na tym, że Horace jako rycerski czeladnik nie przeszedł szkolenia w kryciu się, toteż nie istniał ani cień szansy, by Halt zdołał go jakoś przemycić. Gdyby zaś on, Halt, zniknął bez śladu, pozostawiając Horace'a w niewoli, szanse chłopaka na przetrwanie byłyby dość nikłe. Tak więc Halt, ku swej niemałej irytacji, musiał zadowolić się czujnym snem i oczeki waniem, co czas pokaże. Przynajmniej zmierzali nadal na północ, a więc we właściwym kierunku.

Ponadto dowiedział się jeszcze w tawernie, że o tej porze roku przełęcze Teutonii, a tym samym drogi wiodące z niej do Skandii, są już zasypane śniegiem. Tak więc Zamek Montsombre, skoro nie było niczego lepszego, także mógł spełnić dla podróżnych rolę zimowej przechowalni. Halt nie miał wątpliwości, że Deparnieux domyśla się z grubsza, na czym polegają owe „umiejętności i talenty" i w jaki sposób chce je wykorzystać – z pewnością przeciw swoim sąsiadom, feudałom rządzącym włościami. Miał tedy wrażenie, że na razie – on i Horace – są w miarę bezpieczni.

Natomiast gdy przyjdzie czas, nastąpić mogą istotne zmiany. Lecz czas ten jeszcze nie nadszedł.

Następnego dnia dotarli do zamku. Choć Deparnieux z początku usiłował stwarzać pozory rycerskiej kurtuazji, to następnego ranka już nie oddał im broni, toteż Halt czuł się dziwnie, jakby był niekompletnie ubrany – gdy nie ciążyły mu u pasa noże i nie miał na plecach kołczana obciążonego strzałami.

Château Montsombre wznosił się na płaskowyżu wyłaniającym się spośród lasów, a prowadząca do niego droga wiła się stromo i kręto. Po obu jej stronach opadały spadziste zbocza, a okazała się na tyle wąska, że mogło nią iść obok siebie co najwyżej czterech ludzi – co dawało swobodny dostęp siłom przyjaznym, lecz uniemożliwiało ewentualnemu napastnikowi przeprowadzenie tędy większych sił w krótkim czasie. Rzecz nie bez znaczenia, bowiem w Galii sąsiadujący ze sobą baronowie prowadzili nieustające wojny o władzę i terytoria i w każdym momencie należało liczyć się z groźbą napaści.

W najwyższym punkcie płaskowyżu wznosił się zamek o potężnej, przysadzistej sylwetce. Każdego rogu posępnej budowli broniła pękata baszta. Zamczysko w żaden sposób nie przypominało pełnych wdzięku budowli, takich jak Redmont albo Araluen. Zbudowano je wyłącznie z myślą o względach użytkowych, jako warowne schronienie i siedzibę groźnego władcy. Halt wyjaśnił Horace'owi, że nazwę Montsombre można przetłumaczyć jako „posępna góra", co wydawało się odpowiednią nazwą dla siedziby czarnego rycerza.

Przytłaczające wrażenie wzmogło się jeszcze, gdy zbliżyli się bardziej. Wzdłuż drogi ustawiono słupy, na których wisiały jakieś dziwne, kanciaste konstrukcje. Po chwili, ku swej zgrozie, Horace stwierdził, iż widzi przed sobą żelazne klatki, szerokie tylko na wyciągnięcie ramion, a wewnątrz nich spoczywające ludzkie szczątki.

Niektórzy z uwięzionych w kołyszących się lekko na wietrze klatkach musieli umrzeć już dawno, wiele miesięcy temu. Poczerniałe, wysuszone zwłoki okrywały groteskowe strzępy gnijącego i spłowiałego odzienia. Inni zmarli całkiem niedawno; ponieważ odstępy między kratami były na tyle duże, że do środka mogły dostać się kruki i wrony, skrzydlaci padlinożercy zlatywali się tu na ucztę: większość zwłok miała wydziobane oczy.

Horace poczuł, że go mdli. Spojrzał na ponurą twarz Halta. Deparnieux zauważył to i uśmiechnął się, zadowolony z wrażenia, jakie wywarły na chłopcu okropieństwa.

– Pospolici przestępcy – rzucił niedbale. – Rzecz jasna, wszyscy zostali wprzódy osądzeni oraz skazani. Pilnuję, aby w Montsombre panowało prawo i sprawiedliwość.

– Jakich zbrodni się dopuścili? – spytał chłopak. Coś ściskało go za gardło, słowa przechodziły przez nie z trudem.

Deparnieux znów się uśmiechnął, udając, że się zastanawia.

– Powiedzmy, że różnych – odpowiedział. – Ujmując rzecz pokrótce, narazili mi się w ten czy inny sposób.

Przez kilka chwil Horace spoglądał na niego ze zdumieniem, a potem potrząsnął głową i odwrócił się. Próbował nie patrzeć na żałosne, rozkładające się szczątki. Jednak mimo woli zerkał w ich stronę. Naliczył około dwudziestu trupów. Nagle uświadomił sobie, że jeden z nich jeszcze żyje. Tak, więzień w jednej klatek poruszał się jeszcze. Z początku Horace sądził, że chodzi o zwykłe złudzenie, że to jedynie ubranie nieszczęśnika trzepocze na wietrze. Ale po kilku chwilach, gdy podjechali bliżej, przez kraty wysunęła się ręka i dał się słyszeć rozdzierający jęk.

Bez wątpienia błaganie o litość.

– O mój Boże – jęknął cicho Horace; jednocześnie posłyszał, że jadący obok Halt wciągnął powietrze przez zęby.

Deparnieux ściągnął wodze czarnego rumaka i pochylił się na bok, zwracając ku nim rozpromienioną twarz.

– Poznajecie go? – spytał, wyraźnie uradowany. – Widzieliście go wczoraj w oberży.

Horace zmarszczył brwi, nic nie pojmując. Nie znał tego człowieka; gdy w gospodzie pojawił się Deparnieux, było tam co najmniej kilkunastu gości. Dlaczego miałby pamiętać któregoś z nich? Ale słowa Halta wyjaśniły wszystko:

– To ten, który się śmiał – stwierdził chłodno zwiadowca.

Deparnieux zarechotał.

– Tak jest. Był to człowiek o zdumiewającym poczuciu humoru. Dziwna rzecz, jak opuściło go ono teraz. Nie wiedzieć czemu, ale już mu nie do śmiechu, o nie!

Po czym trzepnął lejcami szyję swojego wierzchowca i ruszył naprzód. Jego ludzie podążyli w ślady władcy, jak cienie, które stają, gdy on się zatrzyma i gnając, gdy podąży dalej swą drogą. Także Halt i Horace musieli jechać dalej wraz z nimi.

Horace znów popatrzył na Halta, licząc, iż w jego twarzy dostrzeże jakąś pociechę. Zwiadowca spoglądał mu przez chwilę w oczy, a potem z wolna skinął głową. Rozumiał doskonale wstręt chłopca wobec tak podłego i niepotrzebnego okrucieństwa. Horace odczytał to w jego spojrzeniu, a świadomość, że nie jest odosobniony w swych odczuciach, jakoś jednak

podniosła go na duchu, choć tylko odrobinę. Spiął kolanami Kickera i ruszył naprzód wraz z innymi.

Zwiadowca i czeladnik rycerski zdążali ramię w ramię ku posępnemu zamczysku.

Kucyk stał przywiązany u skraju drogi do młodego świerczka, odwrócony zadem w kierunku, z którego dął lodowaty wiatr, naganiający śnieżne chmury nad położone niżej Hallasholm. Evanlyn odwiązała sznur, a potulny zwierzak ruszył posłusznie za nią. Nad ich głowami wicher świstał pośród szczytów drzew i wprawiał w kołysanie pokryte śniegiem gałęzie.

Will stąpał za nią, potykając się co rusz w sięgającym po kostki śniegu pokrywającym drogę. Niełatwa była to wędrówka dla Evanlyn, lecz jeszcze trudniejsza dla chłopca, wyniszczonego całymi tygodniami morderczej pracy w ciągłym chłodzie, niedożywionego i osłabionego działaniem narkotyku. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała się zatrzymać i wydobyć ciepłe odzienie z sakw przytroczonych do siodła konika. Pewnie będzie też trzeba skłonić jakoś Willa, by wsiadł na grzbiet kucyka – o ile mają dokądkolwiek dotrzeć przed świtem. Jednak tymczasem nie chciała zwlekać ani przez chwilę. Teraz bowiem chodziło o to, żeby szybko znaleźć się jak najdalej od skandyjskiej osady.

Droga wiła się pośród drzew. Evanlyn pochyliła się, by stawić mniejszy opór wiatrowi; jedną ręką prowadziła kucyka, a drugą ściskała lodowatą dłoń Willa idącego za nią. Brnęli razem, ślizgając się i potykając o korzenie drzew ukryte w śniegu.

Mniej więcej po godzinie wędrówki poczuła na twarzy pierwsze płatki białego puchu. Potem rozpadało się na dobre, mocno i gęsto. Zatrzymała się przez chwilę i spojrzała za siebie; ich ślady już się zacierały, przykrywane świeżą warstwą bieli. Erak przewidział śnieg tej nocy – pomyślała. – To dlatego zwlekał tak długo; chciał, żeby znikły wszelkie ślady ich ucieczki. Po raz pierwszy, odkąd przekroczyła bramę dworu Ragnaka, poczuła w sercu nadzieję. Kto wie, może jednak mimo wszystko los się jeszcze do nich uśmiechnie.

Stąpający za nią Will potknął się i wydając jakiś niezrozumiały pomruk, upadł na kolana w śnieg. Gdy pochyliła się nad nim, ujrzała, że chłopak trzęsie się na całym ciele, posiniały od zimna, kompletnie wycieńczony. Rzuciła się do torby zarzuconej na koński grzbiet i zaczęła gorączkowo przeglądać jej zawartość.

Znalazła tam między innymi gruby serdak z owczej skóry; zarzuciła go chłopcu na ramiona, potem pomogła mu przełożyć ręce przez przeznaczone do tego celu wycięcia. Gdy to czyniła, spoglądał na nią tępo. Jak otumanione, zastraszone zwierzę godził się w milczeniu na wszystko, co mu się przydarzało. Wiedziała, że mogłaby go uderzyć, a on nawet nie próbowałby się zasłonić. Przykro było na niego patrzeć, jeśli pamiętało się go z nie tak przecież dawno minionych czasów. Erak twierdził, że chłopak przyjdzie do siebie – gdy zamieszkają odcięci od świata i ludzi w górskim szałasie, będzie miał szansę wyleczyć się z nałogu i przerwać błędne koło uzależnienia. Mogła tylko mieć nadzieję, że skandyjski jarl się nie mylił i że Will pozostanie przy życiu, nawet gdy skończy się zapas ziela cieplaka.

Pchnęła niestawiającego oporu chłopaka w stronę kucyka i kazała mu go dosiąść. Will wahał się przez chwilę, jakby nie rozumiejąc, a potem niezdarnie wspiął się na siodło. Zachwiał się w nim, gdy ruszyli naprzód leśną ścieżką prowadzącą w góry.

Wokół nich wirowały coraz gęściej opadające na ziemię śnieżne płatki.

Erak przyglądał się obu postaciom, gdy znikły pośród drzew, skręciwszy we wskazaną przez niego drogę. Skoro przekonał się już, że obrali

właściwy szlak, wyszedł w ślad za nimi poza obręb palisady, nie skręcił jednak, lecz poszedł dalej prosto ku zatoce i przystani.

O tej porze roku wokół dworu Ragnaka nie wystawiano straży. Nie było takiej potrzeby, bowiem najlepszą obronę przed jakimkolwiek napastnikiem stanowiła warstwa śniegu zalegająca górskie przełęcze. Większą ostrożność musiał zachować w przystani, tam bowiem wojowie pełnili wartę, przede wszystkim czuwając nad bezpieczeństwem przycumowanych okrętów – nagły szkwał mógłby je zniszczyć, wyrzucając na brzeg, tak więc kilku ludzi zawsze czuwało nad zatoką, by móc w razie czego zaalarmować śpiących członków załogi.

Stanowczo nie życzył sobie, aby któryś go zauważył. Gdy więc tylko było to możliwe, krył się w cieniu.

Jego własny okręt, „Wilczy wicher", zacumowany był tuż przy nabrzeżu. Skradał się właśnie do niego, wiedząc, że nikogo z załogi nie ma na pokładzie – po południu odesłał ich na kwatery. Jako cieszący się sławą nieomylności przepowiadacz pogody, mógł ich zapewnić – zgodnie zresztą z prawdą – że tej nocy nie grożą gwałtowne porywy wiatru. Wychylił się za burtę od strony morza, gdzie wcześniej uwiązał małą łódź. Spoglądał przez chwilę, aby sprawdzić, jak zachowują się stojące na kotwicy okręty: właśnie zaczął się odpływ. Zaplanował wszystko tak, żeby zjawić się tu o tej właśnie porze. Zlazł zręcznie do łódki, wymacał szpunt w jej dnie i wyciągnął go. Lodowata woda opryskała mu ręce. Gdy łódź była już do połowy pełna, zatknął szpunt z powrotem i wciągnął się na pokład okrętu. Dobywszy noża, przeciął linę, którą uwiązana była łódka.

Po chwili łódź, mocno już zanurzona, zaczęła się oddalać; najpierw powoli, potem coraz prędzej wraz z falą odpływu. W dulce zostawił jedno wiosło. Chodziło mu o to, że gdyby w ciągu najbliższych dni łódkę odnaleziono, to ujrzawszy, że pełna jest wody i stwierdziwszy brak jednego z wioseł, ścigający dojdą do wniosku, iż uciekinierzy zginęli na morzu.

Łódź odpływała coraz dalej i dalej, aż wreszcie znikła mu z oczu pośród większych jednostek stojących na kotwicy. Zadowolony z siebie Erak, w poczuciu, że zrobił, co tylko było można, powrócił chyłkiem do swej kwatery. Po drodze z zadowoleniem stwierdził, że gruba warstwa śniegu całkiem już zatarła uczynione przezeń poprzednio ślady. Nad ranem nie będzie ani znaku, że ktoś tędy szedł. Zaginiona łódź i przecięta lina będą

jedyną wskazówką pozwalającą domyślać się trasy ucieczki obranej przez zbiegów.

Droga stawała się bardziej stroma, więc coraz trudniej było nią iść. Evanlyn z wysiłkiem chwytała powietrze i wydychała je wraz z wielkimi obłokami pary. Niezbyt silny wiatr, który poruszał przedtem szczytami sosen, ucichł, gdy zaczął padać śnieg. Zaschło jej w ustach i w gardle, czemu towarzyszył nieprzyjemny, metaliczny posmak. Próbowała ugasić pragnienie już kilka razy, połykając garści śniegu, ale pomagało tylko na krótko. Śnieg był zbyt zimny, a to niweczyło korzyść, jaką mogłaby odnieść z niewielkiej ilości wody ściekającej do gardła, kiedy topniał.

Obejrzała się za siebie. Kucyk brnął za nią niestrudzenie, z opuszczoną głową. Chyba lepiej znosił zimno niż ludzie. Skulony na jego grzbiecie Will otulił się szczelnie baranicą. Jęczał: cicho, lecz bezustannie.

Zatrzymała się na chwilę, dysząc ciężko, wciągając w płuca lodowate powietrze. Czuła jego ukąszenie w gardle. Mięśnie ud i łydek sprawiały jej ból przy każdym poruszeniu, nogi uginały się ze zmęczenia od mozolnej wędrówki przez gruby śnieg, ale wiedziała, że musi iść dalej, tak daleko, jak tylko zdoła. Nie miała pojęcia, dokąd udało im się dobrnąć i jaką odległość przebyli od dworu w Hallasholm, podejrzewała jednak, że nie oddalili się jeszcze zbytnio. Jeśli próba pozostawienia fałszywego śladu przez Eraka skończy się niepowodzeniem, nie miała wątpliwości, że rośli Skandianie zdołają pokonać ten dystans w ciągu godziny.

Erak poinstruował ją, by starała się dotrzeć jak najdalej, nim nastanie świt. Potem będą musieli zejść z drogi i ukryć się pośród drzew, aż znów zapadnie zmrok.

Spojrzała w górę na wąski skrawek nieba widoczny między czubkami drzew, ale grube chmury nie pozwalały dostrzec gwiazd ani księżyca. Nie miała pojęcia, która może być godzina i kiedy nadejdzie ranek.

Stęknęła, ale ruszyła znów pod górę, a za nią podążał niestrudzony kucyk. Zastanawiała się przez chwilę, czy by nie wsiąść na siodło za Willem, ale po chwili zrezygnowała z tego pomysłu. To przecież w końcu tylko mały kucyk i o ile mógł bez większego trudu unieść jedną osobę

i nieco juków, to w tych warunkach podwójne obciążenie szybko by go zmęczyło. Zdawała sobie sprawę, jak wiele zależy od kudłatego zwierzaka, więc choć niechętnie, uznała jednak, że musi iść dalej pieszo. Gdyby konik padł, byłby to zarazem wyrok śmierci na Willa. W żaden sposób nie zdołam zmusić chłopaka do tak forsownego marszu – pomyślała. – Jest zbyt osłabiony i wycieńczony.

Wlokła się więc dalej, z każdym krokiem wytężając resztki sił, by wydobyć stopę ze śniegu i postawić ją nieco dalej. Lewa noga. Prawa. Lewa. Prawa. Machinalnie zaczęła liczyć kroki. Nie towarzyszyła temu żadna myśl, nie przyszło jej nawet do głowy, że mogłaby próbować w ten sposób mierzyć przebytą odległość. Była to jedynie instynktowna reakcja na stały i powtarzający się rytm. Doszła do dwustu i zaczęła od początku. Potem znów. I znów. Po kilku jeszcze razach uświadomiła sobie, że nie wie, po ilekroć dotarła do dwóch setek, więc przestała liczyć. Nie uszła jednak nawet dwudziestu kroków, gdy uświadomiła sobie, że liczy znów. Wzruszyła ramionami. Okazało się, że nie warto walczyć z odruchem. Postanowiła więc, że tym razem będzie liczyć do czterystu, nim znów zacznie od początku – nie ma to jak urozmaicenie – pomyślała z wisielczym humorem.

Gęsty śnieg padał nadal, osiadając na jej twarzy i włosach. Czuła, że jej policzki drętwieją, zaczęła więc rozcierać je grzbietem dłoni, przy czym zdała sobie sprawę, że zgrabiały też jej ręce, więc zatrzymała się, żeby powtórnie zajrzeć do sakwy.

Wydawało jej się, że oprócz baranicy dla Willa widziała tam też rękawiczki. Rzeczywiście, po chwili natrafiła na rękawice z grubej wełny z jednym palcem. Naciągnęła je na przemarznięte dłonie i zaczęła nimi uderzać o siebie i o boki, by pobudzić krążenie. Po kilku minutach poczuła pieczenie i swędzenie, więc ruszyła dalej.

Znów doliczyła do czterystu i zaczęła od początku.

Halt rozejrzał się po obszernych komnatach, do których ich zaprowadzono.

– No cóż – stwierdził – skromnie tu, ale przynajmniej mamy dach nad głową.

Znajdowali się w centralnym donżonie Zamku Montsombre, czyli wieży, którą Deparnieux przeznaczał wyłącznie dla własnego użytku oraz dla swych gości, jak uparcie ich nazywał. Główna komnata przydzielonego im apartamentu była przestronna i całkiem wygodnie umeblowana. Stały w niej stół i krzesła, tak by można było spożywać posiłki; po obu stronach wielkiego kominka ustawiono dwa wygodne drewniane fotele. Położone naprzeciw siebie drzwi prowadziły do dwóch mniejszych sypialni. Był tam nawet mały pokoik kąpielowy z blaszaną wanną i stojakiem na miednicę. Na kamiennych ścianach wisiały całkiem jeszcze niezniszczone kilimy, większą część podłogi pokrywał kobierzec. Okno niewielkiego tarasu wychodziło na drogę, którą przybyli, dalej widać było zalesioną równinę. Okno nie było oszklone, ale zaopatrzono je w drewniane okiennice umocowane od wewnątrz dla ochrony lokatorów przed wiatrem i niepogodą.

Jedyny dysonans stanowiły drzwi, bowiem od wewnątrz pozbawiono je klamki. Choć więc wyznaczono im całkiem przyzwoitą kwaterę, nie

zmieniało to faktu, że pozostawali w niej więźniami.

Horace rzucił na ziemię swój tobołek i z westchnieniem ulgi zasiadł w jednym z foteli przy ogniu. Od okna szedł przeciąg. Pomyślał, że nocą będzie tu zimno, ale z drugiej strony, nie widział w tym niczego dziwnego, rzadko kiedy w zamkowych pomieszczeniach panowały dobre warunki. Te, które im wyznaczono, nie okazały się ani gorsze, ani lepsze od tych, które spotykał wcześniej.

– Halt – odezwał się – nie daje mi spokoju jedna rzecz. Dlaczego Abelard ani Wyrwij nie ostrzegli nas o zasadzce? Przecież konie zwiadowców są do tego szkolone.

– Również się nad tym zastanawiałem – odparł Halt. – Przypuszczam, że może to mieć coś wspólnego z nagromadzonymi przez ciebie trofeami.

Chłopiec popatrzył na niego ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, więc Halt wyjaśnił:

– Prowadziliśmy ze sobą sześć koni bojowych obładowanych blachami i żelastwem, więc towarzyszył nam nieustający głośny brzęk, nie zapominajmy też o stukocie ich kopyt. Mam wrażenie, że cały ów hałas zagłuszył odgłosy, jakie musieli wydawać ludzie Deparnieux.

Horace zmarszczył czoło. Nie przyszło mu to na myśl.

– Czy jednak nie mogły wyczuć ich zapachu?

– Owszem, mogły – gdyby wiatr wiał w odpowiednim kierunku. Kłopot w tym, że wiał z naszej strony ku nim, jak może pamiętasz – spojrzał z ukosa na Horace'a, który sprawiał wrażenie lekko rozczarowanego faktem, iż tak błahe przeszkody mogą uniemożliwić koniom spełnianie ich zadań. – Bywa – dodał – że stawiamy zbyt wielkie wymagania zwiadowczym wierzchowcom. A przecież są tylko ludźmi.

Horace nie zauważył, że w kącikach ust Halta pojawił się przelotny cień uśmiechu. Skinął poważnie głową i przeszedł do następnego pytania:

– I co teraz zrobimy?

Zwiadowca wzruszył ramionami. Otworzył właśnie swoją torbę i zaczął wyjmować z niej różne przedmioty – czystą koszulę, brzytwę i przybory do mycia.

– Zaczekamy – oznajmił. – Na razie nie tracimy czasu. Przełęcze górskie prowadzące do Skandii jeszcze co najmniej przez miesiąc pokryte będą śniegiem. Równie dobrze możemy więc spędzić kilka dni tutaj i dowiedzieć się, jakie zamiary żywi wobec nas nasz gallijski gospodarz.

Posługując się własną stopą, Horace zsunął z drugiej but; poruszył z ulgą palcami.

– No właśnie – powiedział. – Jak myślisz, Halt, co ten Deparnieux knuje?

Halt milczał przez chwilę.

– Nie jestem pewien. Prawdopodobnie zorientujemy się w ciągu najbliższych kilku dni. Ale mam wrażenie, iż domyśla się, że jestem zwiadowcą – rzekł w zamyśleniu.

– To tutaj mają zwiadowców? – spytał zdziwiony Horace. Dotąd przypuszczał, że Korpus Zwiadowców istnieje tylko w Araluenie. J ednak Halt potrząsnął głową, co oznaczało, że Horace miał rację.

– Nie, nie mają – potwierdził Halt. – Poza tym zawsze dokładaliśmy niemałych starań, by wieści o istnieniu zwiadowców nie rozeszły się zbyt szeroko. Nigdy nie wiadomo, z kim trzeba będzie prowadzić wojnę. Oczywiście, czegoś takiego nie sposób jednak zachować w całkowitej tajemnicy, więc może o nas słyszał.

– A jeśli tak, to co? – zapytał Horace. – Przedtem mówiłeś, że interesuje się nami dlatego, że chce walczyć ze mną.

– Przypuszczalnie tak było z początku – przyznał Halt – ale teraz coś wywąchał i próbuje się zorientować, jak może mnie wykorzystać.

– Wykorzystać? – powtórzył Horace, marszcząc brwi.

Halt machnął ręką.

– Ludzie tacy jak on zwykle rozumują podobnie – stwierdził. – Ze wszystkiego starają się wyciągnąć jak największe korzyści dla siebie. Poza tym są przekonani, że każdego można kupić i w grę wchodzi tylko kwestia ceny. Jak myślisz, czy nie mógłbyś już włożyć ten but z powrotem? – spytał i wyjaśnił: – Przez okno dostaje się do wewnątrz ledwie odrobina świeżego powietrza, tymczasem twoje onuce, ujmując rzecz oględnie, nie są pierwszej świeżości.

– Och, wybacz! – zawołał Horace, naciągając na powrót bucior na nogę. Teraz, gdy Halt o tym wspomniał, i on zdał sobie sprawę z niezbyt miłego zapachu wypełniającego pomieszczenie.

– Czy rycerze w tym kraju nie składają rycerskich ślubowań? – spytał, powracając do poprzedniego tematu, czyli osoby Deparnieux. – Przecież rycerze ślubują, że nieść będą pomoc innym, prawda? Nie powinni więc nikogo wykorzystywać.

– Ślubowania składają, a jakże. Tylko że złożyć przysięgę, a dotrzymać jej, to dwie różne rzeczy. Zaś co do rycerzy opiekujących się prostym ludem, coś takiego może działać u nas, w Araluenie, bo mamy silnego króla. Tu rzeczy mają się zgoła inaczej. Każdy, kto ma choć trochę władzy, na podległym sobie terytorium może czynić, co mu się spodoba.

– To nie jest w porządku – mruknął Horace. Halt był tego samego zdania, lecz w tej akurat chwili niewiele z ich sądów wynikało.

– Cierpliwości – rzekł. – Nie możemy niczego zrobić, aby przyspieszyć obrót wydarzeń. Wkrótce dowiemy się, czego chce od nas Deparnieux. Obecnie możemy tylko czekać i zbytnio się nie przejmować.

– Jeszcze jedno… – rzekł Horace, nie zwracając uwagi na sugestię towarzysza. – Te klatki przy drodze. Żaden prawdziwy rycerz nie powinien karać w taki sposób swoich poddanych, niezależnie, jak strasznych zbrodni się dopuścili. Przecież to przerażające. Nieludzkie!

Halt popatrzył mu w oczy. Mógł rzecz jasna skwitować, że nie warto turbować się czymś, na co nie mają żadnego wpływu, ale wiedział, że to marna pociecha.

Nieludzkie – Horace użył właściwego określenia.

– Tak – rzucił wreszcie. – I mnie się to nie podobało. Coś mi się zdaje, że nim opuścimy te gościnne progi, poprosimy wielmożnego pana Deparnieux o bliższe wyjaśnienia w tej sprawie.

Wieczorem spożyli kolację, podejmowani przez gallijskiego wielmożę. Stół w komnacie jadalnej był ogromny, mogłoby przy nim zasiąść trzydziestu lub nawet więcej biesiadników. W scenerii paradnej izby nawet rosły rycerz prezentował się zgoła niepozornie. Służący i służące uwijali się wokół nich, donosząc potrawy i dolewając wina.

Sam posiłek nie okazał się ani dobry, ani zły, co Halta trochę zaskoczyło. Gallijska kuchnia słynęła wszak ze swej doskonałości i egzotycznych smaków. Tymczasem mdły posiłek, jaki im zaserwowano, zdawał się dowodzić, iż reputację kulinarną zyskała zdecydowanie na wyrost.

Zauważył też, że służba sprawowała swe obowiązki ze spuszczonymi oczami, unikając spoglądania na któregokolwiek z biesiadników.

W pomieszczeniu dało się wyczuć atmosferę lęku, zwłaszcza gdy któryś ze służących musiał podejść bliżej do swego pana, by nałożyć mu strawy lub napełnić kielich.

Halt wyczuł także, iż Deparnieux nie tylko zdawał sobie sprawę z panującego napięcia, ale wręcz rozkoszował się nim. Na jego wąskich, okrutnych ustach zjawiał się zadowolony półuśmieszek za każdym razem, gdy któreś ze służących podchodziło ku niemu, odwracając wzrok i wstrzymując oddech. W trakcie posiłku padło niewiele słów. Gospodarz nie fatygował się, by zabawiać gości rozmową, a raczej przyglądał się im tylko, niczym chłopiec, któremu udało się schwytać nieznanego sobie dotąd, a interesującego owada. Wobec sytuacji, w jakiej się znaleźli, ani Halt, ani Horace nie byli w nastroju do przyjaznej pogawędki.

Gdy posilili się już i sprzątnięto ze stołu, Deparnieux wreszcie odkrył karty.

Zwracając się do Horace'a, machnął niedbale ręką w stronę schodów wiodących do ich kwatery.

– Nie zatrzymuję cię dłużej, chłopcze – rzekł. – Możesz odejść.

Na wypowiedzianą tak obelżywym tonem odprawę Horace zaczerwienił się lekko, rzucił okiem w stronę Halta; zwiadowca nieznacznie skinął głową. Wstał więc, starając się czynić to z godnością i nie dać po sobie poznać gallijskiemu rycerzowi, że poczuł się dotknięty.

– Dobranoc, Halt – rzekł cicho, a zwiadowca powtórnie skinął głową, tym razem wyraźniej.

– Dobranoc, Horace.

Rycerski czeladnik wyprostował się dumnie, popatrzył Deparnieux prosto w oczy, po czym odwrócił się i opuścił komnatę. Dwaj uzbrojeni strażnicy, którzy przez cały czas stali w cieniu, ruszyli natychmiast za nim, odprowadzając go na górę.

To był gest bez znaczenia, pewnie dziecinny – pomyślał Horace, idąc na górę – ale jednak poczuł się troszeczkę lepiej, ignorując pana na Zamku Montsombre.

Deparnieux odczekał, aż kroki Horace'a ucichły na kamiennych schodach. Następnie odsunął nieco krzesło od stołu i zmierzył zwiadowcę badawczym spojrzeniem.

– Cóż, szlachetny panie Halt – odezwał się cicho. – Czas na małą pogawędkę.

Halt uniósł brwi.

– O czym? – spytał. – Obawiam się, że nie dorównam ci, panie, w sztuce konwersacji.

Jego rozmówca uśmiechnął się półgębkiem.

– Och, z pewnością masz wiele ciekawego do powiedzenia. Na przykład: może zdradziłbyś mi, kim tak naprawdę jesteś.

Halt wzruszył niedbale ramionami. Bawił się pustym już prawie kielichem stojącym przed nim na stole, obracając go na różne strony i obserwując w grubym szkle refleksy padającego z kominka światła.

– Nie jestem nikim szczególnym – powiedział. – Nazywam się Halt. Pochodzę z Araluenu, podróżuję w towarzystwie sir Horace'a. Prawdę mówiąc, niewiele więcej mógłbym o sobie powiedzieć.

Przyklejony do ust Deparnieux uśmiech nie zniknął, rycerz nadal przyglądał się siedzącemu naprzeciw brodatemu mężczyźnie. Rzeczywiście, gdyby sądzić jedynie po wyglądzie, nie prezentował się on zbyt interesująco. Nosił strój prosty, pozbawiony wszelkich ozdób. Włosy i brodę przycięto nierówno, niedbale. Zupełnie jakby zabiegów balwierskich dokonywał sam, własnym nożem – pomyślał Deparnieux, nie zdając sobie sprawy, że dołączył tym samym do licznego grona osób, które odnosiły takie samo wrażenie.

Araluеńczyk był mizernego wzrostu. Ledwie sięgał do ramienia Deparnieux. Był jednak też mocno zbudowany, muskularny. Mimo połyskujących tu i ówdzie siwych włosów, z pewnością był w doskonałej formie. Tak naprawdę uwagę przykuwały tylko jego oczy – spokojne, mroczne i uważne. Wystarczyły, by zadać kłam stwierdzeniu, jakoby nie był nikim szczególnym. Deparnieux chlubił się, że zawsze potrafi rozpoznać człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów, a z pewnością właśnie ktoś taki siedział przed nim.

Przybysz nosił też dziwne uzbrojenie – przynajmniej jak na człowieka gotowego raczej wydawać rozkazy, niż ich słuchać. Orężem rycerza i szlachcica był miecz. Miecza Halt nie nosił, natomiast zdumiewająco sprawnie posługiwał się łukiem, bronią godną prostego ciury – w jego, Deparnieux, mniemaniu. Co do dwóch noży, rycerz jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widział, toteż obejrzał je sobie uważnie. Większy przypominał skandyjską saksę; mniejszy – równie zadbany i wyostrzony – a przy tym doskonale wyważony, niewątpliwie służył do rzucania.

Doprawdy, niezwykłe uzbrojenie jak na kogoś, kto niewątpliwie jest dowódcą, panem, a z pewnością szlachcicem – jak inaczej bowiem tłumaczyć to władcze spojrzenie gościa?

Fascynował go też ten dziwny płaszcz, nie bez przyczyny ubarwiony w zielone i szare plamy. Nie potrafił dopatrzyć się w tym wzorze żadnego sensu. Obszerny kaptur pozwalał skryć twarz, lecz po co? Kilkakrotnie w drodze do Montsombre gallijski rycerz spostrzegł, że okrycie jakby chwilami zlewało się z leśnym krajobrazem, a postać pod nim niemal znikała z oczu na krótką chwilę. To wrażenie mijało zaraz, ale…

Deparnieux, podobnie jak wielu z jego rodaków, wierzył głęboko w czary i magię. Podejrzewał więc, że dziwne właściwości płaszcza mogą mieć z czarami właśnie coś wspólnego.

Ta właśnie myśl sprawiła, iż nie był wcale pewien, w jaki sposób traktować Halta. Wiedział dobrze, że z czarownikami nie warto zadzierać. Postanowił więc rozegrać tę partię ostrożnie, przynajmniej dopóki nie dowie się, czego można się spodziewać po tym tajemniczym osobniku. Zaś nawet gdyby okazało się, że Halt nie dysponuje żadnymi tajemnymi mocami, zawsze istniała szansa, by spożytkować jakoś na swą korzyść inne jego umiejętności.

A jeśli nie – przecież mógł po prostu zabić obu przybłędów.

Zdał sobie sprawę, że milczał przez dłuższą chwilę po ostatniej wypowiedzi Halta. Upił łyk wina i pokręcił głową.

– O nie, nie sądzę, byś był zwykłym człowiekiem, szlachetny panie Halt. Zaciekawiłeś mnie – oznajmił.

Zwiadowca uśmiechnął się uprzejmie.

– Nie wiem, czemu miałbym zawdzięczać ten zaszczyt – odparł.

Deparnieux obracał kielich w palcach. Ktoś zapukał ostrożnie do drzwi, po czym je uchylił. Pojawiła się w nich głowa sługi, który zawiadywał pozostałymi. Na jego twarzy malował się niepokój, czy raczej po prostu strach; wiedział z doświadczenia, że pan jego jest człowiekiem nieobliczalnym i niebezpiecznym.

– Czego? – warknął Deparnieux, gniewny, że mu przeszkodzono.

– Wybaczcie, panie, chciałem tylko spytać, czy coś jeszcze trzeba podać?

Deparnieux już miał go odprawić, gdy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Może uda się w prosty sposób sprowokować dziwnego Araluеńczyka. Ot, zobaczyć, na co go stać.

– Owszem – rzekł głośno. – Dawać mi tu kucharkę.

Sługa wytrzeszczył oczy, nie pojmując słów swojego pana.

– Kucharkę, wielmożny panie? – upewnił się. – Czy może więcej jadła?

– Kucharkę, powiadam, ty głupcze! – wrzasnął Deparnieux. Służący pokłonił się w pas i cofnął o krok.

– Tak jest, wielmożny panie. Natychmiast, wielmożny panie – wykrztusił pospiesznie, po czym zniknął za drzwiami. Gallijski wielmoża uśmiechnął się do Halta.

– Niełatwo w dzisiejszych czasach o dobrą służbę – kwęknął.

Halt nawet na niego nie spojrzał.

– Wierzę, panie – rzucił niedbale.

Deparnieux obrzucił Halta czujnym spojrzeniem, nie całkiem pewien, czy dosłyszał sarkazm w jego słowach.

Siedzieli w milczeniu, aż znów rozległo się stukanie i powrócił sługa wraz z kucharką, która nerwowo mięła w palcach skrawek fartucha. Była to kobieta w średnim wieku, o twarzy znużonej – zmęczonej życiem i pracą u Deparnieux.

– Kucharka, wielmożny panie – oznajmił sługa.

Deparnieux nie odpowiedział. Wpatrywał się w nieszczęsną kobietę niczym wąż hipnotyzujący wzrokiem ptaka, którego zaraz ma pożreć. Ona tymczasem coraz mocniej i mocniej ugniatała w palcach płócienną tkaninę. Nieznośna cisza ciążyła coraz okrutniej, aż wreszcie kucharka odważyła się przemówić:

– W czym zawiniłam, wielmożny panie – zaczęła. – Czyżby strawa nie była.

– Milczeć! – wykrzyknął Deparnieux, zrywając się z krzesła i wskazując wyciągniętym w jej kierunku palcem. – Jak śmiesz odzywać się bez pozwolenia! Czy ktoś cię o coś pytał, kobieto?!

Halt zmrużył powieki, przyglądając się tej scenie. Wiedział, że wszystko zostało zaplanowane, aby sprawdzić, jak on, Halt, zachowa się w zaistniałej sytuacji. On zaś był bezsilny, nie mógł uczynić nic, by dopomóc nieszczęsnej kobiecie. Deparnieux rzucił mu krótkie spojrzenie, co utwierdziło tylko Halta w jego przypuszczeniach.

Ku swej irytacji rycerz skonstatował, że niski brodacz zachował kamienny spokój. Zasiadł więc wygodniej, po czym cisnął w twarz drżącej kucharki oskarżenie:

– Warzywa były zimne – stwierdził.

Na twarzy kobiety odmalował się strach i zdumienie:

– Jakże to, wielmożny panie? Przecież warzywa.

– Zimne. Były zimne, powiadam! – przerwał jej Deparnieux. I zwracając się do Halta, spytał: – Zimne, nieprawdaż, szlachetny panie?

A więc o to chodziło, miał albo sprzeciwić się słowom Deparnieux, albo im przytaknąć, przypieczętowując w ten sposób wyrok na bogu ducha winną kucharkę.

Przybrał obojętny wyraz twarzy.

– Warzywa? Ani gorące, ani zimne. Całkiem smaczne – stwierdził bezbarwnym głosem.

W tej chwili szło o to, by nie dać się wciągnąć w grę przeciwnika, by nie dać po sobie poznać gniewu czy oburzenia. Deparnieux skrzywił się w szczurzym uśmiechu. Wycedził przez zęby, spoglądając na kucharkę:

– Widzisz, co narobiłaś, głupia kwoko? Nie tylko przyprawiłaś mnie o wstyd wobec szlachetnego gościa, lecz jeszcze sprawiłaś, że za twoją sprawą uciekł się do kłamstwa, by cię bronić.

– Najjaśniejszy panie, ja.

Deparnieux przerwał jej władczym gestem.

– Zawiodłem się na tobie. Musisz zostać ukarana – oznajmił.

Twarz kobiety poszarzała ze strachu. Wiedziała dobrze, że kara na tym zamku to nie przelewki.

– Błagam, najjaśniejszy panie. Błagam, ja się poprawię. Będę się starać, obiecuję – bełkotała w nadziei, że choć odwlecze w ten sposób wydanie wyroku. Zwróciła się też do Halta: – Błagam, panie, proszę rzec, żem nie uczyniła tego naumyślnie. Proszę się za mną wstawić!

– Zostaw ją w spokoju – odezwał się wreszcie zwiadowca.

Deparnieux przekrzywił głowę i rzucił mu wyczekujące spojrzenie.

– Bo jak nie, to co?

W ten sposób właśnie zamierzał zbadać moce, jakimi dysponował jego więzień lub też stwierdzić ich brak. Jeśli rzeczywiście jest czarownikiem, może teraz się z tym zdradzi.

Halt bez trudu czytał w jego myślach. Na twarzy Deparnieux widać było, że czeka na reakcję Halta, że cała inscenizacja została odegrana z myślą o nim. Zwiadowca zdawał też sobie jednak sprawę, że w obecnej chwili nie może sobie pozwolić na groźby. Postanowił więc spróbować innej taktyki.

– Co? Nic – wzruszył ramionami. – Co mam rzec? To sprawa bez znaczenia, która mnie nie obchodzi. Dlaczego miałbym zaprzątać sobie głowę nieudolną sługą, która nie zasługuje ani na moją uwagę, ani na twoją, panie.

Gall w zamyśleniu przyłożył palec do ust. Obojętność Halta wobec losu kucharki mogła być jak najzupełniej szczera. Ale mógł to też być wybieg zastosowany po to, by ukryć bezsilność. Lub też by nie zdradzić się z posiadaną mocą. Deparnieux ogarnęły wątpliwości; przede wszystkim dlatego, że nie mieściło mu się w głowie, by ktokolwiek dysponujący władzą lub mocą mógł dłużej niż przez chwilę przejmować się losem kucharki.

– Jednakże – odpowiedział, wpatrując się w Halta – musi zostać ukarana.

Odwrócił się do mężczyzny, który przyprowadził kucharkę; nieszczęśnik stał przyciśnięty do ściany, starając się być jak najmniej widocznym.

– Ty wymierzysz jej karę – oznajmił Deparnieux. – Jest leniwa, nieudolna i ośmieszyła swego pana.

Służący skłonił się uniżenie.

– Tak jest, wielmożny panie. Oczywiście, najjaśniejszy panie. Kobieta zostanie ukarana.

Deparnieux uniósł brwi w kpiącym niedowierzaniu.

– Doprawdy? – spytał. – A jakaż to kara ją spotka?

Sługa zawahał się. Nie miał pojęcia, co zamierza uczynić rycerz. Uznał, że bezpieczniej będzie zaproponować karę zbyt surową niż za łagodną.

– Chłosta, najjaśniejszy panie? – rzekł ostrożnie, a ponieważ wydało mu się, że Deparnieux skinął głową, oznajmił nieco pewniejszym tonem: – Zostanie wychłostana.

Jednak pan na Zamku Montsombre z wolna pokręcił głową. Na łysiejącym czole służącego pojawiły się kropelki potu.

– Nie – orzekł jedwabistym tonem Deparnieux. – Ty zostaniesz wychłostany. Kucharkę czeka klatka.

Halt przyglądał się tej scenie w poczuciu całkowitej bezsilności. Twarz służącego wykrzywił grymas strachu, gdy usłyszał, że zostanie ocwiczony. Kobieta zaś, gdy zapadł na nią wyrok powolnej i okrutnej śmierci, osunęła się na podłogę w rozpaczy. Halt dobrze pamiętał krętą drogę prowadzącą do zamku i żałosne ludzkie szczątki w żelaznych klatkach. Odziany na czarno tyran budził w nim w tej chwili taki wstręt, że nie wytrzymał już

dłużej i wstał, przewracając krzesło, na którym siedział. Upadło z głośnym stukotem na kamienne płyty podłogi.

– Idę spać – oświadczył. – Na dziś mam już dość.

Evanlyn nie miała pojęcia, jak długo brnęli zaśnieżoną drogą. Kucyk uparcie i wytrwale parł naprzód z opuszczonym łbem, tymczasem na jego grzbiecie Will chwiał się i cicho jęczał. Evanlyn z tępym uporem szła przed siebie, zatraciwszy rachubę czasu i przebytego dystansu. Świeży śnieg skrzypiał pod jej stopami.

Wreszcie zdała sobie sprawę, że nie jest już w stanie iść dalej. Zatrzymała się i odpoczywała przez dłuższą chwilę, po czym zaczęła rozglądać się za schronieniem na resztę nocy.

Wiejący od kilku dni północny wiatr utworzył śnieżne zaspy przy pniach sosen po ich nawietrznej stronie; tym samym po stronie przeciwnej uformowały się zagłębienia, nad którymi rozciągały się gałęzie drzew. Powstała w ten sposób naturalna kryjówka nie tylko zapewniała ochronę przed porywami wichru i prószącym śniegiem, ale też i osłonę, dzięki której nie było ich widać od strony drogi.

Kryjówkę trudno by nazwać idealną, ale w obecnej sytuacji zdawała się najlepszą z możliwych. Zszedłszy z drogi, Evanlyn skierowała się ku jednemu z większych drzew, rosnącemu w pewnej odległości od traktu.

Niemal natychmiast zapadła w śnieg po pas. Brnęła jednak przed siebie, prowadząc za uzdę kucyka. Myślała, że jeszcze chwila, a upadnie, by już się więcej nie podnieść. W końcu jednak jakoś dotarła do upatrzonej sosny

i dopiero w śnieżnym zagłębieniu za nią legła na ziemi bez sił. Kucyk stał przez chwilę obok, ale zaraz poszedł jej śladem – Will miał na szczęście dość przytomności umysłu, by się pochylić. Inaczej nisko zwisające gałęzie zmiotłyby go z końskiego grzbietu.

Pod drzewem było dość miejsca i dla nich dwojga, i dla kucyka. Dźwignęła się z trudem, pomogła zsunąć się Willowi z siodła, po czym kazała mu usiąść. Oparł się, drżąc, o szorstką korę drzewa, ona zaś tymczasem wyciągnęła z sakwy dwa grube wełniane koce. Okryła chłopca, po czym usiadła obok. Ujęła jego dłoń swoimi dłońmi, poczuła w nich palce zimne jak lód. Zaczęła je rozcierać. Uśmiechnęła się do swego towarzysza niedoli.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła. – Zobaczysz.

Spojrzał na nią i przez chwilę myślała, że zrozumiał. W następnej jednak chwili uświadomiła sobie, że po prostu reagował na dźwięk jej głosu, nic więcej.

Gdy przytuleni do siebie, ogrzali się nieco pod ciepłymi kocami i chłopak przestał się trząść, wstała, by poluzować rzemienie mocujące siodło; kucyk stęknął i parsk nął z ulgą, kiedy przestały uciskać jego brzuch. Po chwili ugiął kolana i ułożył się na ziemi.

Być może w tutejszej mroźnej krainie konie uczono takiego zachowania. Nie miała pojęcia. Jednak przebywanie we względnie zamkniętej przestrzeni, ogrzewanej ciepłem trzech ciał dawało szansę na całkiem znośne spędzenie nocy. Nadal było zimno, ale nie groziło im już, że zamarzną. Odciągnęła niestawiającego oporu chłopaka od pnia i ułożyła go tak, że opierał się o ciepły brzuch zwierzęcia. Potem owinęła ich oboje kocami. Ku swemu zdumieniu wkrótce zorientowała się, że ciepło bijące od kucyka jest prawdziwym błogosławieństwem. Poczuła, jak rozchodzi się po jej ciele. Wkrótce po raz pierwszy od wielu, wielu godzin nie było już jej zimno, ogarnęła ją rozkoszna błogość. Głowa Evanlyn opadła na ramię Willa i dziewczyna usnęła.

Wokół wciąż wirowały białe płatki spadające z nisko zwisających chmur.

Nie minęło pół godziny, a pozostawione przez nich w śniegu ślady znikły, jakby nigdy ich tam nie było.

Minęło sporo czasu, nim Erakowi przekazano wieść o zniknięciu dwojga niewolników.

Nic zresztą dziwnego, uznano bowiem, że nie stało się nic na tyle istotnego, by zawracać tym głowę wysokiemu rangą wojownikowi. Właściwie dopiero gdy jedna z kuchennych niewolnic przypomniała sobie, jak Evanlyn skarżyła się od kilku dni, że ma zostać oddana jarlowi na służbę, wówczas Borsa, którego powiadomiono o zniknięciu dziewczyny, uznał za stosowne wspomnieć o tym fakcie Erakowi.

Napomknął o nim mimochodem, przy okazji, gdy spotkali się przy wyjściu z sali jadalnej po późnym śniadaniu.

– Ta twoja dziewczyna gdzieś przepadła – mruknął, przechodząc obok Eraka. Rzecz jasna, jako hilfmann, Borsa został poinformowany o zniknięciu niewolnicy natychmiast, gdy zawiadujący kuchnią dostrzegł, że nigdzie jej nie ma. Bądź co bądź obowiązkiem zarządcy dóbr Ragnaka było borykanie się z tego rodzaju administracyjnymi uciążliwościami.

Erak popatrzył na niego obojętnie, jakby nie rozumiał, o czym mowa.

– Moja dziewczyna?

Borsa niecierpliwie machnął ręką.

– No, ta Araluenka, którą przywiozłeś z wyprawy. Ta, którą miałeś wziąć sobie na służącą. Wygląda na to, że uciekła.

Erak zmarszczył brwi. W tej sytuacji wypadało okazać niejakie poirytowanie.

– Uciekła? Dokąd? – spytał, a Borsa gniewnie wzruszył ramionami.

– A skąd mam wiedzieć? Nie miała dokąd uciec, a przy tym całą noc sypał gęsty śnieg. Nie ma żadnych śladów.

Słysząc to, Erak odetchnął w duchu z ulgą. Przynajmniej w tej części jego plan się powiódł. Jednak gdy się odezwał, wbrew głęboko skrywanemu zadowoleniu, słowa jego zabrzmiały ostro i gniewnie:

– No to ją znajdź! – rzucił wściekłym głosem. – Nie po to wiozłem dziewczynę taki kawał przez morze, żebyś ją teraz zgubił!

Po czym odwrócił się na pięcie i odszedł. Cóż, co prawda Borsa piastował stanowisko hilfmanna i był głównym zarządcą dóbr Ragnaka, ale w społeczności, której sensem i celem było prowadzenie wojny, Erak jako jarl i dowódca znacznie przewyższał go rangą.

Borsa spoglądał za nim przez chwilę. Zaklął. Ale zaklął cicho: nie tylko zdawał sobie sprawę ze swej niższej pozycji, ale wiedział też, że nie warto

obrażać tego akurat jarla. Erak znany był z porywczego charakteru i niewiele było trzeba, by chwycił za topór.

Gdy Erak wspomniał o wyprawie do Araluenu, Borsa przypomniał sobie drugiego niewolnika, którego jarl również stamtąd przywiózł. Obiło mu się o uszy, że dziewczyna pytała o niego kilka dni wcześniej. Zarzucił więc na ramiona płaszcz z grubego futra i udał się do szopy na dziedzińcu.

Skrzywił się, czując stęchły smród niemytych ciał, jaki uderzył mu w nozdrza, gdy otworzył drzwi. Zatrzymał się więc w progu i skinął na przywódcę „hordy", by ten podszedł bliżej.

Gnąc się w służalczych ukłonach, Egon zaklinał się, że nic nie wie o zbiegu.

– Niczego nie widziałeś? – spytał Borsa z niedowierzaniem. Niewolnik znów potrząsnął głową, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Widać było po nim, że coś ukrywa.

Borsa nie wątpił, że słyszał albo i widział uciekającego niewolnika, lecz nic nie uczynił, by go powstrzymać. Prychnął gniewnie i rozkazał stojącemu obok strażnikowi:

– Wymierzyć mu chłostę.

Uznawszy tę sprawę za załatwioną, odwrócił się i podążył z powrotem do głównego budynku.

Po upływie niecałej godziny dotarła do niego wiadomość o zniknięciu łodzi. Fakt, że linę przecięto nożem, prowadził do jedynej możliwej konkluzji: na straty należało spisać dwoje niewolników i jedną łódź. Zamyślił się ponuro nad tym, jak nikłe mieli szanse przetrwać na Morzu Białych Sztormów o tej porze roku, w takiej łupince – zwłaszcza jeśli będą trzymać się blisko brzegu. Albowiem wbrew temu, co mogłoby się wydawać, przy odrobinie szczęścia na otwartym morzu szanse były jednak większe. Natomiast u wybrzeża, gdzie szalały wichry i potężne fale, zakrawałoby na cud, gdyby nie rozbili się o skały.

– No i dobrze – mruknął pod nosem, po czym polecił odwołać patrole wysłane na północ, w góry.

Nieco później tego samego dnia Erak podsłuchał niewolników rozmawiających przyciszonym głosem o dwojgu Araluеńczykach, którzy ukradli łódź, podejmując próbę ucieczki. Około południa z gór powróciły wysłane na poszukiwania patrole. Ich uczestnicy byli wyraźnie zadowoleni, powracając do ciepłych kwater, bowiem góry zalegał głęboki śnieg, a prócz tego wkrótce po świcie rozszalał się porywisty wiatr.

Zrobiło mu się lżej na sercu. Przynajmniej teraz uciekinierzy będą bezpieczni aż do wiosny.

Oczywiście, o ile zdołają dotrzeć do chaty, a nie zamarzną po drodze na śmierć.

Życie na Zamku Montsombre toczyło się ustalonym trybem. Pan Deparnieux widywał swoich gości, tylko gdy przyszła mu na to fantazja, najczęściej podczas wieczornego posiłku, raz lub dwa razy w tygodniu. Zazwyczaj zdarzało się to wtedy, gdy wpadł na jakiś nowy pomysł, jak podejść Halta i wyprowadzić go z równowagi.

Poza tym większość czasu obaj Araluеńczycy spędzali głównie w swej komnacie w wieży, choć zezwolono im każdego dnia odbyć krótki spacer po zamkowym dziedzińcu. Zawsze jednak pod okiem kilkunastu zbrojnych, którzy sprawowali nad nimi nadzór z wysokości murów. Pytali kilkakrotnie, czy nie mogliby wyjść poza bramę i powłóczyć się nieco po płaskowyżu, ale za każdym razem odpowiedzią było tylko kamienne milczenie dowodzącego strażą sierżanta – co prawda nie spodziewali się niczego innego, lecz przygnębiała ich świadomość ciągłego przebywania w zamknięciu.

Halt siedział właśnie ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i dokonywał ostatnich poprawek w konstrukcji nowego łuku przeznaczonego dla Willa. Pracował nad nim, odkąd znaleźli się w krainie Gallów. Dobrał starannie kawałki drewna, po czym skleił je i związał mocno, tak aby za sprawą ich naturalnych kształtów wytworzyło się wewnętrzne napięcie, tworząc łagodną krzywiznę łęczyska. Następnie przymocował do obu jego końców

podobne, lecz krótsze fragmenty wyginające się w drugą stronę. W ten sposób uzyskał pożądany kształt łuku refleksyjnego.

Od razu gdy przybyli do Montsombre, Deparnieux przejrzał zawartość ich bagaży, nie widział jednak powodu, by skonfiskować niewykończony łuk, który bez strzał nie stanowił dlań żadnego zagrożenia.

Wiatr świszczał pośród wieżyczek budowli, hulając pomiędzy kamiennymi gargulcami. Poniżej tarasu krążyło małe stadko gawronów, najwyraźniej rodzina – co chwila któryś z nich lądował w gnieździe uwitym wewnątrz szczeliny w granitowym murze, a potem znów zrywał się do lotu.

Horace, który przechadzał się właśnie po ich pokoju, doznał lekkiego zawrotu głowy, gdy spojrzał na ptaki latające poniżej, zamiast nad nim. Cofnął się od balustrady i otulił szczelniej płaszczem, bo wiatr stawał się coraz bardziej dokuczliwy. W powietrzu czuć było wilgoć zapowiadającą deszcz, a na północy gromadziły się ciężkie chmury gnane ku nim na skrzydłach wiatru. Jeszcze jedno bezczynne zimowe popołudnie w Château Montsombre. Ciągnąca się aż po horyzont połać lasu była równa i monotonna – z tej wysokości przypominała gruby dywan.

– Co teraz zrobimy, Halt? – spytał po raz kolejny Horace, a jego towarzysz nie od razu odpowiedział. Nie dlatego, że nie znał odpowiedzi, lecz raczej z tej przyczyny, iż nie był pewien, jak przyjmie ją jego zapalczywy młody przyjaciel.

– Zaczekamy – odparł krótko i natychmiast ujrzał bezsilny gniew w oczach Horace'a. Zdawał sobie sprawę, że chłopak oczekuje od niego decyzji, która przyspieszy przebieg wypadków.

– Ale Deparnieux torturuje i zabija ludzi! A my tylko siedzimy i przyglądamy się temu! – zawołał chłopak. Spodziewał się czegoś więcej po tak przemyślnym zwiadowcy – więcej niż zwykłe nawoływanie do cierpliwości.

Przymusowa bezczynność źle wpływała na Horace'a. Nie potrafił spokojnie znosić nudy i frustracji, jaka towarzyszyła jego codziennemu życiu w Montsombre. Szkolono go do działania, do działania był stworzony. Czuł przymus, żeby coś zrobić – cokolwiek. Chciał ukarać Deparnieux za jego bestialstwo.

A nade wszystko pragnął na zawsze opuścić Montsombre i ruszyć w drogę na poszukiwanie Willa.

Halt milczał tak długo, aż uznał, że Horace uspokoił się już nieco.

– To prawda. Ale jest również panem tego zamku – odparł spokojnie – a nade wszystko ma za sobą około pięćdziesięciu ludzi na każde zawołanie. Obawiam się, że to trochę za wiele jak na nas dwóch, nie uważasz?

Horace ujął w palce mały odłamek granitu leżący na rogu balustrady i cisnął go daleko przed siebie, po czym spoglądał, jak leci i w końcu niknie mu z oczu.

– Wiem. Tylko że pragnąłbym coś zrobić.

Halt podniósł oczy znad swojej roboty. Choć ukrywał uczucia starannie, przeżywał podobne rozterki. Może nawet jeszcze gorsze, bowiem gdyby był tu sam, mógłby bez trudu uciec z zamku. Mógłby po prostu zejść po ścianie wieży! Jednak musiałby wówczas pozostawić Horace'a na pastwę losu – a na to nie potrafił się zdobyć. Bieg wydarzeń postawił go wobec wyboru – albo spieszyć czym prędzej na pomoc Willowi, albo pozwolić, by mijał cenny czas, ale ocalić Horace'a, młodego człowieka, który w porywie wielkoduszności dołączył do niego, chcąc odnaleźć przyjaciela. Wiedział, że Deparnieux nie oszczędzi Horace'a, gdyby on znikł bez śladu. A przecież nie marzył o niczym innym, jak tylko o tym, by wyrwać się z ponurej twierdzy. Pilnował się więc skrzętnie, by chłopak nie dosłyszał w jego głosie echa targających nim rozterek.

– Niestety, następny ruch należy do naszego gospodarza – powiedział. – Rzecz w tym, że ów szlachetny pan nie bardzo wie, co ma o mnie myśleć. Nie jest pewien, czy przypadkiem nie mogę mu się na coś przydać.

– A czy nie można mu po prostu powiedzieć, że już czuję się dobrze i przyjmuję jego wyzwanie?

Jednak Halt zdecydowanie pokręcił głową.

– To nie żaden przydrożny patałach. Deparnieux jest zawodowym mordercą i wyrachowanym graczem. Prawdopodobnie w obecnej sytuacji, gdy jesteśmy jego więźniami, nawet nie zgodziłby się na ten pojedynek. Lepiej będzie, jeśli sytuacja trochę się uspokoi – oznajmił. – Wolałbym, żeby przestał uważać nas za tak groźnych lub użytecznych, jak z początku mu się zdawało. Czuję wyraźnie, że Deparnieux usiłuje wyrobić sobie o mnie zdanie. Ta historia z kucharką była próbą, rodzajem sprawdzianu.

Pierwsze krople deszczu zabębniły o kamienną posadzkę tarasu. Horace spojrzał w górę i nieco zaskoczony, zdał sobie sprawę, że chmury, które

zaledwie kilka minut temu były jeszcze odległe, zawisły teraz tuż nad jego głową.

– Sprawdzianu? – powtórzył.

Halt skrzywił się niechętnie.

– Chciał się przekonać, co zrobię w takiej sytuacji. Albo raczej, co mogę zrobić.

– Ty zaś nie zrobiłeś nic – stwierdził Horace i od razu pożałował pochopnej wypowiedzi. Halt jednak nie obraził się. Popatrzył chłopcu w oczy, ale nie rzekł ani słowa. Horace spuścił wzrok i mruknął:

– Wybacz, Halt.

Halt skinął głową na znak, że przyjmuje jego przeprosiny.

– Widzisz, Horace, niewiele mogłem zrobić – wyjaśnił. – A najgorsze, że nadal nie mogę, dopóki Deparnieux pozostaje czujny i ma się na baczności. Nie jest to czas, by podejmować działania, bowiem to on w tej chwili dysponuje wszystkimi atutami. Mało tego – dodał – obawiam się, że wkrótce czeka nas więcej takich sprawdzianów.

Horace zaniepokoił się.

– Co masz na myśli? Lub raczej – jak sądzisz, co on zamierza?

– Tego nie mogę wiedzieć – stwierdził Halt. – Ale jestem przekonany, że czeka nas jeszcze więcej przykrych niespodzianek ze strony naszego rycerskiego przyjaciela. Będzie mnie prowokować, by zobaczyć, jak się wówczas zachowam – skrzywił się znów. – Rzecz w tym, że jeśli nie będę reagował, z czasem przestanie na mnie zważać, przestanie się więc mnie strzec.

– I tego właśnie chcesz? – spytał Horace, który wreszcie zaczął rozumieć.

Halt ponuro skinął głową.

– Owszem, właśnie tego – stwierdził. Spojrzał na czarne chmury. – A teraz chodź do środka, bo w przeciwnym razie całkiem przemokniesz.

Deszcz lunął i padał przez następną godzinę, a towarzyszyły mu tak silne podmuchy wiatru, że ci mieszkańcy zamku, którzy nie zadbali, by starannie zamknąć okiennice, zastali w swych komnatach kałuże i straty jak po przejściu trąby powietrznej.

Na godzinę przed zmierzchem ulewa ustała; nieustannie wiejący wiatr przegnał chmury dalej na południe i ukazało się słońce stojące nisko nad horyzontem. Jego promienie rozpalały krwawym blaskiem krawędzie odpływających burzowych chmur.

Obaj więźniowie przyglądali się zachodowi słońca z chłostanego porywami wichru tarasu, gdy nagle zorientowali się, że w dole pod nimi dzieje się coś niezwykłego.

Przed bramą zamku stał samotny jeździec, który raz po raz uderzał w wielki mosiężny dzwon zawieszony na słupie. Odziany był w zbroję, u pasa miał miecz, dzierżył kopię i tarczę. Był młody – może o rok lub dwa starszy od Horace'a.

Przybysz po chwili zostawił w spokoju dzwon i zaczerpnął tchu, by przemówić. Przemawiał czy raczej wykrzykiwał po gallijsku, toteż Horace nic nie zrozumiał, choć rozpoznał brzmienie aż nazbyt dobrze mu znanego nazwiska: „Deparnieux".

– Co on mówi? – spytał Halta, a zwiadowca uniósł rękę, by go uciszyć, próbując dosłyszeć unoszone wiatrem słowa.

– Rzuca wyzwanie naszemu gospodarzowi – powiedział, przechylając głowę, by lepiej słyszeć.

Horace obruszył się:

– Tego się domyśliłem! – rzucił dość szorstko. – Ale o co chodzi?

Halt machnął niecierpliwie ręką, bo Horace przeszkadzał mu słuchać. W głosie rycerza pobrzmiewały determinacja i gniew, ale słowa umykały, by napłynąć znów, wraz z powiewami wiatru.

– O ile mogę zrozumieć – rzekł z wolna Halt – nasz przyjaciel Deparnieux wymordował rodzinę tego rycerza, kiedy był on na jakiejś wyprawie. Tutaj, w Gallii, rycerskie wyprawy w różnych szczytnych celach to istotna część szlacheckiej tradycji.

– No i co? – chciał wiedzieć Horace. Ale zwiadowca mógł tylko wzruszyć ramionami w odpowiedzi.

– Wygląda na to, że Deparnieux chciał przejąć ziemie jego rodziny, toteż pozbył się rodziców tego młodego człowieka – nasłuchiwał jeszcze przez chwilę i dodał: – Byli starzy i właściwie bezbronni.

Horace żachnął się:

– Z tego, co wiemy o Deparnieux, jest to jak najbardziej możliwe.

Przybysz umilkł nagle, zawrócił konia i odjechał od bramy, wyraźnie czekając na odpowiedź. Przez kilka minut nie działo się nic, nie było żadnego znaku, wskazującego na to, że ktokolwiek inny poza Haltem i Horace'em zwrócił na młodzieńca uwagę. Potem nagle brama otwarła się z trzaskiem i ukazała się dosiadająca karego rumaka postać w czarnej zbroi.

Deparnieux wolnym truchtem zajął pozycję w odległości około stu metrów od przybysza. Stanęli ze sobą twarzą w twarz; młody rycerz ponownie rzucił wyzwanie. Na murach zamku zgromadzili się ludzie Deparnieux, przepychając się, by zająć miejsca, z których roztaczał się lepszy widok.

– Sępy – syknął Halt na ten widok.

Rycerz odziany w czerń nie odpowiedział przybyszowi ani słowem. Uniósł tylko tarczę i jej krawędzią zatrzasnął przyłbicę swego hełmu. To wystarczyło rzucającemu wyzwanie rycerzowi, który także zamknął przyłbicę i spiął ostrogami swego wierzchowca. To samo uczynił Deparnieux i runęli ku sobie z wyciągniętymi w przód kopiami.

Nawet z tej odległości Halt i Horace widzieli, że młodzieniec nie dysponuje szczególnymi umiejętnościami. Słabo siedział w siodle, źle trzymał zarówno tarczę, jak i kopię. Tymczasem Deparnieux wraz ze swym galopującym wierzchowcem zdawali się stanowić jedność w skoordynowanych, rytmicznych ruchach; idealnie wyważona w ręce rycerza kopia jakby płynęła przez powietrze. Pośród szumu wiatru doszedł ich dudniący tętent kopyt dwóch rumaków.

– Źle to wygląda... – odezwał się sam do siebie Horace.

Jeźdźcy starli się z głośnym łomotem, który odbił się echem od zamkowych murów. Kopia młodego rycerza, ustawiona pod złym kątem, rozpadła się w drzazgi. Natomiast broń dzierżona przez Deparnieux uderzyła prosto w jego tarczę, co sprawiło, że młodzieniec zachwiał się niebezpiecznie i omal nie spadł z siodła. Jednak wówczas wydarzyło się coś dziwnego – Deparnieux jakby stracił panowanie nad swoją kopią, jakby mimowolnie wymknęła się ona z jego ręki – i upadła na trawę, on zaś zawrócił konia do następnego starcia. Przez chwilę Horace poczuł przypływ nadziei.

– Jest ranny! – zawołał. – To szczęśliwy traf, ale chyba jest ranny!

Jednak Halt zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Nie sądzę – rzekł cicho. – Coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

Teraz obaj wojownicy dobyli mieczy i ruszyli ku sobie w pełnym galopie. Starli się. Deparnieux przyjął uderzenie tamtego na tarczę, a jego klinga z głośnym brzękiem uderzyła w hełm przeciwnika; młodzieniec znów zachwiał się w siodle.

Oba konie rżały przeraźliwie, podczas gdy jeźdźcy okrążali się, cofali i nacierali, a każdy z nich próbował przyjąć korzystniejszą w starciu pozycję. Miecze uderzały, dźwięczała stal, a za każdym razem, gdy Deparnieux trafiał przeciwnika, jego ludzie wydawali triumfalny okrzyk.

– Co on wyczynia? – rzekł półgłosem Horace, który teraz stał jak skamieniały; jego początkowy entuzjazm ulotnił się bez śladu. – Przecież mógł z nim skończyć już po pierwszym uderzeniu! – a gdy pojął, głos jego zabrzmiał odrazą i oburzeniem: – On… on się nim bawi. Igra z nim, naumyślnie zwleka!

Dźwięczny szczęk miecza o miecz rozlegał się nadal, czasem przerywany bardziej głuchym odgłosem, kiedy klinga trafiała na tarczę. Halt i Horace, którzy na Zamku Redmont widzieli już niejeden pojedynek, nie mieli wątpliwości, iż Deparnieux tylko rozmyślnie odwleka rozstrzygnięcie starcia. Jednak jego słudzy zdawali się tego nie dostrzegać. Byli to przecież tylko wieśniacy, którym dano do ręki broń; nie mieli więc tak naprawdę pojęcia o istocie sztuki walki. Wiedzieli tylko tyle, że ich pan z każdym ciosem zyskuje przewagę, toteż każde celne uderzenie Deparnieux witali rykiem głośnego aplauzu.

– Istny teatr – stwierdził zimno Halt – a oto publiczność. Pan i władca stara się, by tamten wyszedł na zręczniejszego szermierza, niż jest w rzeczywistości.

Horace potrząsnął głową. Przecież Deparnieux mógł bez trudu zakończyć starcie jednym mocnym uderzeniem, zamiast bawić się walką z młodym i niedoświadczonym przeciwnikiem.

– Bydlak. Świnia – wycedził chłopak półgłosem. Zachowanie Deparnieux było sprzeczne z wszelkimi regułami rycerstwa, które mu wpajano i które znaczyły dla niego tak wiele. Halt skinął poważnie głową.

– To wiedzieliśmy już wcześniej. Wykorzystuje chłopaka dla podbudowania własnej reputacji.

Horace popatrzył na niego, niezbyt pewien, czy dobrze rozumie.

– Deparnieux sprawuje władzę, ponieważ budzi lęk – tłumaczył dalej Halt. – Uległość jego ludzi zależy od tego, na ile się go boją. Musi więc co jakiś czas im przypominać, jak niebezpiecznym jest przeciwnikiem. Nie może pozwolić, by poczuli się pewniej, bezpieczniej. Jeśli wyda im się, że przeciwnik jest groźniejszy niż w rzeczywistości, tym większą chwałą okryje się jako zwycięzca i tym mocniej utwierdzi swoją sławę zabójcy. A ci ludzie – tu wskazał pogardliwym gestem strażników stojących na murach – nie potrafią tego pojąć. Są jak dzikie zwierzęta; kto najsilniejszy, zostaje przywódcą hordy.

Deparnieux uznał chyba tymczasem, że nie ma już co dłużej zwlekać. Obaj Araluеńczycy dostrzegli, że jego razy padały gęściej, były coraz mocniejsze. Młody rycerz nie wytrzymywał ich naporu i próbował cofać się, ale okryta czarną zbroją postać bezlitośnie zasypywała go ciosami opadającymi na głownię miecza, tarczę lub hełm. Wreszcie rozległ się przygłuszony odgłos, gdyż klinga Deparnieux trafiła w czuły punkt – okryty kolczugą kark przeciwnika.

Czarny rycerz wiedział, że cios był śmiertelny. Odwrócił się wzgardliwie, po czym spiął konia ostrogami i ruszył w stronę zamku, nie oglądając się nawet na rycerza, który rzucił mu wyzwanie, a teraz osuwał się z siodła. Na murach rozległy się tryumfalne okrzyki, gdy bezwładna postać runęła na ziemię i znieruchomiała. Brama zamknęła się za zwycięzcą.

Halt w zamyśleniu szarpał brodę.

– Wydaje mi się – powiedział – że znalazłem rozwiązanie. Tak, chyba już wiem, jak uporać się z panem Deparnieux.

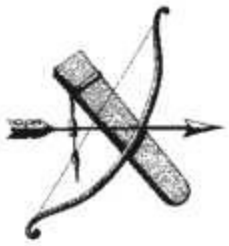

Evanlyn obudziła się późnym rankiem, ale nie dysponowała żadnym sposobem, by móc określić porę dnia.

Słońca nie było widać, zasłaniały je gęste, nabrzmiałe od śniegu chmury. Światło było rozproszone, jakby padało ze wszystkich stron naraz. W każdym razie niewątpliwie nastał już dzień – i to musiało jej wystarczyć.

Przeciągnęła się, napinając odrętwiałe mięśnie i rozejrzała się wokół. Will siedział obok niej, wyprostowany i rozbudzony. Kto wie, może tkwił już tak od długich godzin, a może obudził się zaledwie kilka minut przed nią. Tego także nie było jak się dowiedzieć. Will siedział z szeroko otwartymi oczami, wpatrzony przed siebie i kołysał się powoli, do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu.

Przykro było patrzeć na niego w tym stanie.

Gdy się poruszyła, kucyk wyczuł zmianę i wstał. Odsunęła się, by zrobić zwierzęciu miejsce, wzięła też Willa za rękę, żeby go odciągnąć. Kucyk dźwignął się na nogi, tupnął kilka razy, potem otrząsnął się i parsknął głośno, wydychając w mroźne powietrze wielki kłąb pary.

W nocy śnieg przestał padać, lecz zdążył całkowicie zasypać przejście, jakie dziewczyna utorowała do kryjówki pod drzewem. Czekała ją więc niełatwa przeprawa z powrotem ku drodze, ale teraz przynajmniej była wypoczęta. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie lepiej się najpierw posilić

– w sakwie znajdował się niewielki zapas żywności – szybko jednak odrzuciła tę myśl, postanawiając ruszyć natychmiast w dalszą drogę, aby oddalić się jak najbardziej od Hallasholm. Nie mogła przecież wiedzieć, że poszukiwania zostały już przerwane na rozkaz Borsy.

Uznała, że przeżyje jeszcze kilka godzin z uczuciem głodu ściskającym jej żołądek, natomiast nie wytrzyma ani chwili dłużej nieznośnej suchości w ustach. Sięgnęła w miejsce, gdzie śnieg był świeży i czysty, nabrała pełną garść i włożyła puch do ust, czekając, aż się roztopi. Uzyskała w ten sposób zadziwiająco małą ilość wody, musiała więc powtórzyć tę czynność jeszcze kilkakrotnie. Już chciała dać znać Willowi, żeby uczynił to samo, ale w końcu machnęła ręką. Spieszno jej było ruszyć w drogę, a jeśli chłopakowi doskwierało pragnienie, chyba potrafił sobie z tym poradzić.

Zarzuciła siodło na grzbiet kucyka i zacisnęła popręgi tak mocno jak tylko się dało. Sprytny zwierzak nabrał co prędzej powietrza, by móc je potem wypuścić i zmniejszyć ucisk rzemieni, ale obeznana z końmi od maleńkości Evanlyn znała tę sztuczkę. Odczekała chwilę i dopiero wtedy zacisnęła popręgi z całej siły. Konik rzucił jej pełne wyrzutu spojrzenie.

Gdy już mieli ruszyć przez śnieg, by przedrzeć się do drogi, Will uczynił ruch, jakby chciał wsiąść na kucyka. Powstrzymała go, unosząc dłoń.

– Nie – rzekła łagodnie.

Kucyk był im potrzebny, a Will miał okazję wypocząć przez kilka godzin we względnym cieple. Może później znów będzie trzeba wsadzić go na konika, bo zapewne zapas jego sił był niewielki, jednak teraz mógł iść, a kucyka trzeba było oszczędzać, jak tylko się dało.

Minęło pięć minut, nim udało się jej dobrnąć do drogi; gdy na niej stanęła, była już zdyszana i spocona. Odsapnęła chwilę, po czym podjęła uparty marsz pod górę.

Konik dreptał cierpliwie za Evanlyn, a Will szedł po jej prawej stronie. Jego nieustający cichy lament coraz bardziej działał jej na nerwy, ale starała się nie zwracać uwagi na ten nużący odgłos jako na coś, czemu nie można w żaden sposób zaradzić. Po raz setny odkąd opuścili Hallasholm zapragnęła, aby jak najprędzej nadszedł wreszcie ten dzień, kiedy Will uwolni się od trującej substancji.

Niestety, dzień ów nie był jeszcze bliski. Po kilku godzinach wytrwałej wędrówki przez kopny śnieg Will uległ nagłemu atakowi drgawek.

Jego zęby szczękały, drżał na całym ciele, wił się i rzucał po śniegu, targały nim torsje. Skulony, podciągnąwszy kolana pod brodę, jedną ręką tłukł śnieg, drugą trzymał w ustach. Spoglądała na to z przerażeniem; jęk przeszedł w dojmujący krzyk dobywający się z głębi rozdartej cierpieniem duszy.

Upadła przy nim na kolana, obejmując nieszczęśnika ramionami. Próbowała przemawiać kojącym głosem, ale on wyrwał się, odepchnął ją i znów zaczął się tarzać. Zdała sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia i musi dać mu trochę ziela, w które Erak przezornie ich zaopatrzył – przewidując, że Will nie będzie w stanie z miejsca i od razu odstawić narkotyku. Pakuneczek widziała już wcześniej, gdy wydobywała z sakwy ciepłe ubrania i koce. Było to nieco suszonych liści schowanych w woreczku z impregnowanego płótna.

Ziele cieplaka wywoływało fizyczne uzależnienie, toteż człowiek przywykły do spożywania go doznawał cierpienia rzeczywistego, nie urojonego, kiedy mu go zabrakło.

Jarl powiedział jej też, że aby stopniowo odzwyczaić chłopca od ziela, trzeba dawać mu coraz mniejsze dawki w coraz większych odstępach czasowych, aż wreszcie nadejdzie dzień, w którym będzie mógł wytrzymać bez cieplaka.

Evanlyn miała nadzieję, że Erak się myli. Wiedziała, że każda doza narkotyku przedłuży okres uzależnienia. Liczyła trochę na to, że wystarczy po prostu odstawić truciznę i że ona, Evanlyn, jakoś pomoże chłopcu przetrwać najtrudniejsze chwile.

Jednak teraz zrozumiała, że nie jest w stanie mu pomóc, toteż, choć niechętnie, odwróciła się, by zasłonić woreczek z zielem przed jego wzrokiem, wydobyła szczyptę i podała mu pokruszone liście na otwartej dłoni.

Will przypadł do niej, pochwycił łapczywie palcami cenną odrobinę narkotyku i wepchnął liście do ust, pod policzek, czekając teraz, aż ślina rozmoczy je, uwalniając sok.

Evanlyn po raz pierwszy dostrzegła błysk w jego pozbawionych wyrazu oczach, ale skoro tylko narkotyk potrafił go wywołać, zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia ta substancja rządzi życiem i umysłem Willa. Łzy zamgliły jej wzrok, gdy przyglądała się temu ludzkiemu wrakowi, który kiedyś był pełnym życia i entuzjazmu chłopakiem. Przeklęła Borsę i innych

Skandian, którzy byli za to odpowiedzialni, życząc im, by smażyli się w najgorętszym kącie swojego skandyjskiego piekła.

Tymczasem drżenie stopniowo ustało. Po chwili Will ukląkł w śniegu na skraju drogi, pochylił się i zaczął kołysać do przodu i do tyłu, z na pół przymrużonymi oczami, znów cicho zawodząc. Lament dobiegał z jakiegoś przepojonego samotnością i cierpieniem świata, w którym Will teraz przebywał.

Kucyk przyglądał się wszystkiemu bez większego zainteresowania; od czasu do czasu rozgrzebywał kopytem śnieg, po czym skubał rzadkie źdźbła trawy. Wreszcie Evanlyn wzięła Willa za rękę i pociągnęła go ku sobie, by wstał. Nie sprzeciwiał się.

– Chodźmy już, Willu – rzekła zrezygnowanym głosem. – Mamy przed sobą jeszcze długą drogę.

Równocześnie zdała sobie sprawę, że jej słowa dotyczą czegoś więcej niż tylko odległości dzielącej ich od myśliwskiej chaty w górach.

Nucąc do siebie pozbawioną melodii piosenkę, Will ruszył za nią, gdy znów zaczęła piąć się pod górę.

Ściemniało się już na dobre, kiedy znalazła chatę.

Minęła ją dwukrotnie, choć stosowała się ściśle do instrukcji, których Erak kazał jej się wyuczyć na pamięć: skręcić w lewo w ścieżkę sto kroków za sosną trafioną piorunem; potem sto metrów wąskim parowem idącym w dół, następnie wspiąć się na niewielki pagórek, zejść i przeprawić się przez niewielki strumień.

Powtarzała sobie marszrutę, odnotowywała kolejne punkty orientacyjne i stawała bezradna pośrodku polany. Potem znów błądziła pośród drzew w narastającym mroku, tymczasem chaty wciąż nie było widać – nic prócz nieskazitelnej bieli.

Wreszcie zdała sobie sprawę, że przecież chata nie może być widoczna, bo z pewnością jest całkowicie przysypana śniegiem. Gdy dotarł do jej świadomości ten prosty fakt, natychmiast uzmysłowiła sobie, że w odległości niecałych dziesięciu metrów od niej wznosi się całkiem spory pagórek. Rzuciwszy wodze kucyka, pobiegła przed siebie, brnąc w śniegu,

i już po chwili wymacała krawędź ściany, potem okap i wreszcie róg – kształty zbyt równe i równomierne, by mogły być dziełem natury ukrytym pod śniegiem.

Obeszła pagórek i stwierdziła, że po jego zawietrznej stronie widać drzwi oraz małe okienko zamknięte drewnianą okiennicą. Najpierw pomyślała, że szczęśliwie się składa, iż drzwi znajdują się po tej właśnie stronie, a w następnej chwili pojęła, że uczyniono to z rozmysłem. Przecież tylko głupiec umieściłby drzwi w ścianie wystawionej na porywy dujących nieustannie północnych wiatrów, by potem wciąż odgarniać sprzed nich śnieg i przekopywać się do wejścia.

Odetchnęła głęboko i powróciła po swych śladach, ujmując konika za uzdę. Mizerny zapas sił, jakimi dysponował Will, wyczerpał się już wiele godzin wcześniej, siedział więc od tego czasu skulony w siodle, kiwając się i wciąż cicho zawodząc. Evanlyn przywiązała kucyka do słupka znajdującego się przy małym ganku. Przypuszczalnie nie było to konieczne, bo jak zauważyła, konik wcale nie zdradzał chęci, by się z nią rozstać, niemniej jednak uznała, że nieco ostrożności nie zawadzi. W prędko gęstniejących ciemnościach nie miała najmniejszej ochoty na poszukiwania wierzchowca i jego jeźdźca pośród drzew.

Upewniwszy się, że zawiązała porządny supeł, mocno pchnęła wypaczone drzwi i weszła do chaty, by rozejrzeć się po nowym schronieniu i sprawdzić, jak jest wyposażone.

Domek był mały, składał się z jednego pomieszczenia, pośrodku którego stał prosty stół z dwiema ławami po obu stronach. Pod ścianą ujrzała drewniane łóżko, na którym spoczywał wypełniony słomą materac. Pachniało tu stęchlizną i wilgocią; zmarszczyła nos, ale zaraz pomyślała, że gdy tylko rozpali ogień na kamiennym kominku zajmującym większą część zachodniej ściany, przykry zapach z pewnością się ulotni.

Przy kominku znalazła podręczny zapas drew ułożonych w stos. Obok leżały hubka i krzesiwo.

Następnych kilka minut spędziła na rozpalaniu ognia. Wesoły trzask płomieni i żółty blask tańczący na ścianach chaty podniósł ją na duchu.

W kącie, służącym najwyraźniej za spiżarnię, znalazła zapas mąki, suszonego mięsa oraz fasoli. Dostrzegła też ślady wskazujące, że w chacie buszowały szkodniki, lecz i tak zapas był wystarczający, aby przetrwać tu

miesiąc albo i dwa. Jeśli będą prowiantem gospodarować rozsądnie, nie grozi im głód.

Zwłaszcza jeśli Will otrząśnie się z wpływu trującego ziela i odzyska swe dawne umiejętności. Za drzwiami wisiał mały myśliwski łuk oraz skórzany kołczan ze strzałami. Przecież nawet zimą można upolować jakąś zwierzynę – choćby królika czy zająca. Będą wówczas mogli urozmaicić świeżym mięsem zgromadzone w chacie zapasy.

Jeśli nie – trudno. Wzruszyła ramionami. Byli przynajmniej wolni i istniała szansa, że Will zapomni z czasem o cieplaku. Innymi problemami należy się przejmować, kiedy się pojawią.

Wewnątrz robiło się coraz cieplej; wyszła przed chatę i dała znak Willowi, by zszedł na ziemię. Spoglądając na kucyka, zmarszczyła czoło. Oczywiście, nie można go było zostawić na dworze, ale nie bardzo uśmiechała jej się perspektywa spędzenia zimy w jednym pomieszczeniu ze zwierzęciem, które wydawało intensywną woń. Minionej nocy, choć błogosławiła jego ciepło, nie mogła nie zauważyć intensywnego zapachu, a przecież przebywali na wolnym powietrzu.

Kazała Willowi zaczekać przy drzwiach, sama poszła zbadać tę stronę chaty, której jeszcze nie widziała. Tam też znalazło się rozwiązanie, czyli niska przybudówka, otwarta z jednej strony, ale mogąca zapewnić kucykowi wystarczające schronienie. Na wbitych w ścianę żelaznych gwoździach wisiały zapomniane fragmenty uprzęży. Najwyraźniej miejsce to już przedtem służyło za stajnię.

Ku swemu niemałemu zadowoleniu stwierdziła, że nie tylko za stajnię. Pod zewnętrzną ścianą przybudówki ujrzała ogromny stos porąbanego drewna. Ucieszyła się bardzo, bo już zaczynała się zastanawiać, co pocznie, gdy skończy się niewielki zapas chrustu nagromadzonego w chacie.

Zaprowadziła kucyka do przybudówki, rozkulbaczyła go i zdjęła mu uzdę. Odkryła żłób, więc nasypała do niego nieco owsa, o którym również nie zapomniano. Konik ochoczo zabrał się do posiłku, przeżuwając ziarna ze stoickim spokojem.

Na razie nie miała skąd wziąć dla niego wody. Widziała jednak, że po drodze lizał śnieg i uznała, że nim nie wpadnie na jakiś lepszy sposób, konik poradzi sobie tak samo jak dotąd. Niewielki zapas owsa z pewnością nie mógł wystarczyć aż do wiosny, czym zatroskała się przez chwilę, lecz w następnym momencie postanowiła dochować wierności swej nowej

filozofii życiowej, czyli nie przejmować się na wyrost tym, na co nie miała wpływu, toteż i ten kłopot odłożyła na później.

– Z czasem wszystko się ułoży – powiedziała sobie. Po czym wróciła do domku.

Okazało się, że Will wykazał niejaką przytomność umysłu, wchodząc do środka; siedział teraz na jednej z ław, blisko ognia. Uznała to za dobry znak. Z resztek zapasów otrzymanych od Eraka sporządziła prosty posiłek.

Na żelaznym ramieniu umocowanym przy palenisku wisiał sfatygowany kociołek. Napełniła go po brzegi śniegiem. Przesunęła umocowane na zawiasach ramię tak, że naczynie znalazło się nad płomieniami i śnieg zaczął się roztapiać, aż woda się zagotowała. Na półeczce w spiżarnianej części chaty widziała mały pojemnik z liśćmi mięty. Tego właśnie było im trzeba: gorącego, aromatycznego i wzmacniającego napoju. Uśmiechnęła się do Willa, który przeżuwał flegmatycznie podane jedzenie. Przepełniał ją dziwny optymizm. Raz jeszcze rozejrzała się po wnętrzu chaty. Na zewnątrz panowała już zupełna ciemność, więc izbę rozświetlały tylko chybotliwe, lecz radosne blaski płomieni. W tym świetle było tu całkiem przytulnie. Miała nadzieję, że żar ognia i zapach sosnowego dymu wkrótce uporają się ze stęchlizną oraz wilgocią, które uderzyły w jej nozdrza, gdy weszła do chaty po raz pierwszy.

– Cóż – powiedziała. – Skromnie tu, ale przynajmniej mamy dach nad głową.

Nie miała pojęcia, że powtórzyła słowa wypowiedziane przez Halta nieco wcześniej w pewnym gallijskim zamku, położonym o setki kilometrów na południe od miejsca, w którym się teraz znajdowała.

Halt i Horace nie byli zaskoczeni, gdy wkrótce po nierównym pojedynku dowodzący strażą sierżant oznajmił im, iż pan Deparnieux życzy sobie ich towarzystwa podczas wieczerzy. Był to rozkaz, a nie zaproszenie, więc Halt nie uznał za stosowne, by udawać, jakoby było inaczej. Nie odpowiedział tedy ani słowem żołdakowi, odwrócił się tylko, by wyjrzeć przez okno. Ze swej strony sierżant nie przejął się szczególnie. Wykonał polecenie i przekazał wiadomość, a cudzoziemcy ją usłyszeli. Reszta go nie obchodziła. Odwrócił się i zajął znów swe stanowisko u szczytu schodów prowadzących do komnaty jadalnej.

Tego wieczoru wykąpali się, przebrali i zeszli do jadalni, nasłuchując echa swych kroków rozlegającego się pośród kamiennych ścian. Większą część popołudnia spędzili na omawianiu planu działania na ten wieczór i Horace nie mógł już się doczekać, by wprowadzić go w życie. Gdy znaleźli się przed trzymetrowej wysokości podwójnymi drzwiami prowadzącymi do jadalni, Halt położył dłoń na ramieniu Horace'a i zatrzymał go. Wiedział, że chłopak się niecierpliwi. Siedzieli tu zamknięci już od tygodni, wysłuchując kpin i zawoalowanych obelg Deparnieux oraz przyglądając się, jak w bestialski sposób traktuje on swoją służbę. Incydent z kucharką był tylko jednym z wielu, jakich byli świadkami. Halt zdawał sobie sprawę, że Horace w swej młodzieńczej zapalczywości wprost marzy,

by Deparnieux wreszcie dostał za swoje. Jednak zbytni pośpiech mógł zniweczyć plan, który uzgodnili wcześniej. Jego powodzenie zależało od cierpliwości i wyczucia czasu.

Halt, przyglądając się pojedynkowi, zrozumiał, że usilne dążenie Deparnieux do tego, by uchodzić w oczach swoich ludzi za niezwyciężonego wojownika i zabójcę, stanowiło zarazem jego słabość. Słabość, którą mogli wykorzystać. Deparnieux sam postawił się w sytuacji, w której zmuszony był przyjąć każde wyzwanie, jakie mu rzucono – o ile stało się to wobec świadków. Nie mógł sobie pozwolić na wykręty, musiał walczyć. Gdyby wielmoża okazał lęk lub wzdragał się przed przyjęciem wyzwania, oznaczałoby to początek jego końca.

Teraz, gdy się zatrzymali, Halt ujrzał pełne zapału i wyczekiwania spojrzenie Horace'a – i popatrzył mu głęboko w oczy wzrokiem, w którym chłopak dojrzał spokój, cierpliwość, rozwagę.

– Pamiętaj – rzekł zwiadowca – nie czyń nic, dopóki nie dam znaku.

Horace skinął głową. Jego policzki były lekko zarumienione od podniecenia.

– Rozumiem – odparł, z niejakim trudem powstrzymując entuzjazm, którym aż kipiał. Czuł ciężką rękę Halta na swoim ramieniu i jego spojrzenie.

Odetchnął trzy razy głęboko, by się uspokoić, po czym znów skinął głową, tym razem panując już nad sobą całkowicie.

– Rozumiem, Halt – rzekł znowu. Podniósł wzrok i wytrzymał uporczywe spojrzenie zwiadowcy. – Zbyt długo czekaliśmy na ten moment, bym miał teraz wszystko zepsuć. Nie obawiaj się.

Halt przyglądał mu się jeszcze przez dłuższą chwilę. Potem, usatysfakcjonowany wyrazem spokojnej już determinacji, którą ujrzał w oczach chłopca, puścił jego ramię. Pchnął podwójne drzwi z taką siłą, że trzasnęły głośno o ścianę po obu stronach. Halt i Horace ramię w ramię wkroczyli do komnaty jadalnej, gdzie Deparnieux już na nich czekał.

Posiłek, który im podano, był kolejnym dowodem na to, że w pochwałach głoszonych na cześć gallijskiej kuchni było dużo przesady. Jak na gust Halta, serwowane dania zawdzięczały swój wątpliwy smak nadmiarowi śmietany oraz czosnku. Jadł niewiele, zauważył jednak mimochodem, że Horace z młodzieńczym apetytem pochłaniał wszystko, do ostatniego kęsa.

Przez całą wieczerzę gospodarz nie szczędził im nieustannych sarkazmów oraz wyrzekał głośno na niezdarność i głupotę służby, nie omieszkał też wyrazić się kilkakrotnie z najwyższą pogardą o bojowych umiejętnościach swego niedawnego przeciwnika. Zgodnie ze zwyczajem,

Halt popijał jedzenie winem, zaś Horace czystą wodą. Gdy ukończyli ciężkostrawny, obfity lecz niesmaczny posiłek, służący wnieśli dzbany z ziołowym naparem.

Napar ów, co przyznać musiał nawet Halt, przyrządzany był przez Gallów nader umiejętnie. Był jak ambrozja, przewyższał smakiem wszystkie napoje, jakie zdarzało mu się kosztować w Araluenie. Sączył więc z uznaniem aromatyczny, gorący płyn, spoglądając znad brzegu kubka na pana Deparnieux, który z kolei obserwował i jego, i Horace'a ze swym zwykłym pogardliwym uśmieszkiem.

Gallijski rycerz powziął już zdanie co do Halta. Stwierdził, że ze strony tego cudzoziemca o szpakowatej brodzie nie ma się czego obawiać. Bez wątpienia był on wybornym łucznikiem, zapewne posiadał też jakieś umiejętności w tropieniu śladów i skradaniu się, a także w dziedzinie stolarki. Jednak pierwotne obawy, iż może dysponować jakimiś tajemnymi, czarodziejskimi mocami – rozwiały się bez śladu. Stwierdził z zadowoleniem, że niepotrzebnie się przejmował tą dwójką przybłędów.

Teraz, gdy umocnił się w przekonaniu, iż wolno mu postępować bezkarnie, nie mógł oprzeć się pokusie, by tym dotkliwiej lżyć Halta i kpić sobie z niego. Fakt, iż przez dłuższy czas brodaty gość budził w rycerzu niepokój, zdwoił w Deparnieux chęć, by mu teraz porządnie dopiec. Wielmoża uwielbiał bawić się ludźmi. Był zachwycony, gdy mógł pastwić się nad bezradnymi i bezbronnymi, obserwować ich bezsilny gniew lub cierpienie, które potęgował kolejnymi złośliwościami.

W miarę jak narastało jego lekceważenie wobec Halta, tym bardziej ignorował Horace'a. Za każdym razem, gdy wieczerzali we trzech, radował się z góry na chwilę, kiedy odprawi bezceremonialnie młodego osiłka, odsyłając go do komnaty w wieży z policzkami płonącymi od gniewu i wstydu.

Uznał, że nadszedł czas, by sprawić sobie przyjemność.

Odchylił się wraz z ciężkim krzesłem do tyłu, opróżniając srebrny kubek trzymany w lewej dłoni. Drugą ręką machnął od niechcenia w stronę młodzieńca.

– Odejdź, chłopcze – rozkazał, nawet nie patrząc. Przeszedł go dreszcz złośliwego zadowolenia, gdy Horace rzucił spojrzenie swemu towarzyszowi i po krótkiej chwili wstał.

Jednak ku swemu niebotycznemu zdumieniu w odpowiedzi usłyszał krótkie:

– Nie.

Słowo to jakby zawisło w powietrzu między nimi. Deparnieux z przejawu szczeniackiego buntu ucieszył się jeszcze bardziej, nie dał jednak nic po sobie poznać. Przeciwnie, przybrał na twarzy wyraz gniewnego oburzenia. Odwrócił się w stronę Horace'a. Dostrzegł wyraźne zdenerwowanie chłopca i jego przyspieszony oddech.

– Nie? – powtórzył Deparnieux, jakby nie wierząc temu, co właśnie usłyszał. – Jestem panem na tym zamku i moje słowo jest tu prawem. Moje życzenie – rozkazem dla wszystkich i każdego. A ty śmiesz obrażać mnie swym grubiańskim „nie"?

– Minął czas, panie, gdym słuchał twych słów jak rozkazu – wyrecytował Horace, marszcząc lekko brwi i starając się wypowiedzieć wiernie, co do słowa, kwestię ułożoną dlań przez Halta. – Straciłeś prawo do posłuchu za sprawą swych nierycerskich postępków.

Deparnieux nadal udawał zagniewanego.

– Odmawiasz mi prawa rozkazu we własnym lennie?

Horace nie odpowiedział od razu, bo chciał mieć pewność, że wypowie właściwe słowa. Halt z naciskiem powtarzał, że jest to sprawa najwyższej wagi, a i bez tego Horace aż nazbyt dobrze rozumiał, iż jest to kwestia życia lub śmierci.

– Nadszedł czas, by prawo twe podać w wątpliwość – odpowiedział po krótkiej chwili. Deparnieux pozwolił sobie na drapieżny uśmiech rozjaśniający mroczne rysy, powstał z krzesła, pochylił się nad stołem i oparł obiema rękami o nagie deski.

– A więc rzucasz mi wyzwanie? – spytał, nie potrafiąc ukryć zadowolenia. Horace jednak uniósł dłoń:

– Nim zostanie ono rzucone, domagam się, panie, byś je uszanował.

Wielmoża skrzywił się, zdziwiony.

– Uszanował? O czym mówisz, skamlący szczeniaku?

Horace wykonał nieokreślony gest, nie zważając na obelgę.

– Żądam, panie, byś przestrzegał warunków wyzwania. I domagam się, byś się do tego zobowiązał wobec swoich ludzi.

– Ach, żądasz? – Teraz nuta gniewu w jego głosie nie była udawana. Domyślał się już, do czego zmierza młodzieniec.

– Mam wrażenie – wtrącił spokojnie Halt – że zdaniem mojego młodego przyjaciela, swe rządy opierasz na strachu, panie Deparnieux.

Gall odwrócił się gwałtownie.

– A cóż wam obu do tego, łuczniku? – spytał, choć zdawało mu się, że już wie, w czym rzecz.

Halt rozłożył ręce, po czym odparł niedbałym tonem:

– Ludzie, panie, są ci posłuszni za sprawą twej sławy wojownika. Wydaje mi się, że Horace życzyłby sobie, aby wyzwanie padło i zostało przyjęte w ich obecności.

Deparnieux zmarszczył brwi. Wyzwanie właściwie już zostało rzucone, choć jeszcze nie wedle wszelkich reguł rycerskiego kodeksu, więc wiedział, że nie ma wyboru. Musiał je przyjąć, bo gdyby władca taki jak on okazał choćby cień lęku przed szesnastolatkiem, stałby się pośmiewiskiem dla poddanych, nawet gdyby pokonał młokosa.

– Myślisz, że boję się wyzwania tego chłystka? – jego głos ociekał sarkazmem.

Halt pokręcił przecząco głową.

– Wyzwanie nie zostało rzucone… jeszcze. Chcemy jedynie mieć pewność, że nie zbraknie ci odwagi, by je przyjąć w należytej formie i zgodnie z rycerskim obyczajem.

Deparnieux, słysząc te wyważone słowa, parsknął pogardliwie.

– Teraz już pojmuję, kim tak naprawdę jesteś, łuczniku – rzucił. – Sądziłem, żeś jest może czarownikiem. Teraz już widzę, że z ciebie zwykły skryba, czepiający się słówek oraz prawnych kruczków.

Halt uśmiechnął się blado i lekko pochylił głowę. Nie odpowiedział, więc w komnacie zapanowało milczenie.

Deparnieux rzucił okiem w stronę, gdzie stali dwaj strażnicy strzegący wielkich wrót wiodących do komnaty. Rozgrywająca się scena wyraźnie wzbudziła ich zainteresowanie – nasłuchiwali uważnie. Nie minie godzina, a wieść rozejdzie się po całym zamku; wyjdzie na tchórza, jeśli odrzuci wyzwanie lub spróbuje jakimś innym sposobem pozbyć się chłopca. Wiedział doskonale, że podwładni nie darzą go szczególną miłością i jeśli

nie zachowa się, jak przystało na rycerza, będzie to niemałą ujmą na jego reputacji. Mało tego, gdy rozejdzie się wieść, że przeląkł się Rycerza Dębowego Liścia, który wszak zyskał już niemałą sławę w okolicy, zaczną go opuszczać. Może nie od razu, lecz stopniowo, pojedynczo, po dwóch, przejdą na służbę jego wrogów, którzy rzecz jasna przyjmą ich z otwartymi rękami. Wrogów zaś Deparnieux miał niemało; a gdy ci dowiedzą się o jego słabości…

Rzucił chłopakowi gniewne spojrzenie. Nie wątpił, że w uczciwej walce go pokona. Tę pewność zyskał już dawno temu, gdy ujrzał go pierwszy raz. Drażniło go jednak, że przybysze postawili go w sytuacji, z której nie miał wyjścia. Pan na Zamku Montsombre lubił zapędzać innych w kozi róg, nie dawać im wyboru i zmuszać, by tańczyli, jak im zagra. Cóż – pomyślał – szczeniak zapłaci za tę bezczelność. Tymczasem zmusił się do uśmiechu i przybrał znudzony wyraz oblicza.

– Dobrze więc – rzucił lekceważąco – jeśli tego się domagacie, oświadczam, że zastosuję się do warunków wyzwania.

– I rzeczesz to, panie, wobec ludzi tu obecnych? -podjął szybko Horace, na co Deparnieux skrzywił się z irytacją, nie udając już ani szacunku, ani sympatii wobec tych spierających się o słówka kauzyperdów.

– Tak – warknął. – Pewnie chcesz, żebym powtórzył, więc powiadam: wobec moich podwładnych zapewniam, że przyjmę wyzwanie.

Horace ostentacyjnie odetchnął z ulgą.

– W takim razie – stwierdził, wysuwając zza pasa jedną ze swych rękawic – wyzwanie może paść. Pojedynek odbędzie się za tydzień.

– Zgoda – odparł Deparnieux.

– …na trawą porośniętej przestrzeni przed Zamkiem Montsombre…

– Zgoda – ta odpowiedź padła w pół słowa.

– …na oczach twych poddanych, panie, oraz innych mieszkańców zamku…

– Zgoda!

– …i będzie to walka na śmierć i życie – tu Horace zawahał się przez ułamek chwili, jednak Halt, na którego spoglądał, skinął nieznacznie głową, by dodać mu odwagi.

Tymczasem na ustach wielmoży pojawił się znów jadowity, wilczy uśmiech.

– Ależ zgoda – teraz przytaknął niemal z rozkoszą. – Kończ już, chłopcze, nim narobisz ze strachu w pieluchę.

Horace przekrzywił głowę na bok i po raz pierwszy podczas tej wieczerzy poczuł się naprawdę pewnie.

– Cóż za wszawa gnida z ciebie, Deparnieux – rzekł, z rozkoszą cedząc słowa, a czarny rycerz przechylił się bliżej ku niemu nad stołem, wysuwając brodę i nastawiając policzek na rytualne uderzenie rękawicy, które miało sprawić, iż rzecz cała stanie się nieodwołalną.

– Strach cię obleciał, smarkaczu? – zaszydził i w tej samej chwili skrzywił się, gdy rękawica plasnęła go w twarz.

Nie skrzywił się z bólu, lecz z zaskoczenia. Stojący przed nim po drugiej stronie stołu chłopak ani drgnął, natomiast ten brodacz o posępnym obliczu, ten łucznik, zerwał się na nogi z szybkością, która nie pozostawiła Deparnieux czasu na jakikolwiek unik, i trzasnął go w twarz rękawicą, którą trzymał pod stołem.

– W takim razie ja także wyzywam cię, Deparnieux – oświadczył zwiadowca.

A czarny rycerz przez krótką chwilę poczuł chwytający go za serce lęk, bowiem w tak pozbawionych zwykle wyrazu oczach tego człowieka ujrzał niepokojący błysk satysfakcji.

Plama słonecznego światła wpadającego przez okienko do chaty spoczęła na twarzy Evanlyn, która zdrzemnęła się na krzesełku; dziewczyna poczuła ciepło i uśmiechnęła się przez sen. Na zewnątrz wciąż zalegała gruba warstwa śniegu, lecz teraz na niebie nie było ani jednej chmurki.

W półśnie rozkoszowała się grzejącym jej twarz światłem. Przez zamknięte powieki oglądała kojącą jasną czerwień.

A potem, nagle, coś przesłoniło światło. Otwarła oczy.

Przed nią stał Will, w postawie, do której zdążyła ostatnimi czasy przywyknąć. Ze złożonymi dłońmi, spoglądał na nią ciemnobrązowymi oczami, w których kiedyś było tyle życia, a teraz tylko pokorna, rozpaczliwa prośba. Czekał cierpliwie, aż się całkiem obudzi. Uśmiechnęła się do niego smutno.

– Dobrze – powiedziała.

Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na jego ustach i może nawet w ciemnych oczach. Znów poczuła przypływ nadziei, która narastała w niej przez ostatnie dni. Stopniowo, lecz w widoczny sposób, Will się zmieniał. Z początku, gdy odwlekała chwilę, w której podawała mu narkotyk, zdarzały mu się takie same napady drgawek, jak wówczas, w drodze,

a kończyły się dopiero wtedy, gdy otrzymywał następną porcję suchych liści złowieszczego ziela.

W miarę jak dawki zmniejszały się i otrzymywał je coraz rzadziej, zaczęła mieć nadzieję, że z czasem jednak przyjdzie do siebie. Ataki konwulsji odeszły w zapomnienie. Chyba nie chodziło już teraz o potrzebę organizmu, dla którego kolejna porcja cieplaka okazywała się niezbędna, by żyć. Liczył się bardziej nawyk umysłu, uzależnionego od trującej substancji, tylko że obecnie przejawiało się to w pokornym, niemal dziecinnym błaganiu.

Will znajdował się teraz w takim stanie, że dopiero po trzech dniach bez cieplaka przychodził i po prostu stawał przed nią, prosząc – a ponieważ resztę czasu spędzał w odrętwieniu, nieobecny, nie mogła mieć wątpliwości, czego prośba dotyczy. W odpowiedzi dostarczała mu kolejnej dawki suchych liści z płóciennego woreczka. Nie chciała nawet myśleć, co się stanie, gdy skończy się zapas narkotyku. Trwał swoisty wyścig, w którym szło o to, czy zapas ziela skończy się wcześniej, niż minie jego złowrogi wpływ na Willa. Nie wiedziała, co by się stało, gdyby do tego doszło. Niewątpliwie czekałyby ich trudne chwile. Prawdopodobnie powróciłyby te upiorne ataki drgawek.

Być może – zastanawiała się – trzeba będzie przejść także i przez to. Póki jednak w impregnowanym woreczku znajdowało się jeszcze nieco ziela, nie potrafiła patrzeć na to rozpaczliwe cierpienie, bezsilny, dojmujący głód. Jeśli nie uda się inaczej, czas na odmowę przyjdzie dopiero wtedy, gdy zapas trucizny się skończy.

– Zaczekaj tu – poleciła, wstając. Ruszyła ku drzwiom, obejrzała się za siebie. Znów wydało się jej, że widzi w jego oczach coś na kształt zadowolenia. To coś zabłysło i prawie natychmiast zgasło, ale aby nieco się pocieszyć, Evanlyn postanowiła uwierzyć, że naprawdę dostrzegła w oczach Willa jakiś wyraz życia, że nie było to tylko złudzenie.

Zapas ziela przechowywała w stajni za obluzowaną deską jednej ze ścian. Z początku zamierzała ukryć sakiewkę pod stosem bierwion, potem zdała sobie sprawę, że Will, wybierając się po kolejne drwa do kominka, może na nią natrafić. Wolała nawet nie myśleć o tym, co się stanie, gdy chłopak znajdzie cały zapas trucizny.

Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, co może się zdarzyć, jeśli zażyje jej nazbyt wiele.

Zastanawiała się, czy w swym otępieniu nie pojął jednak faktu, iż zawsze przed tym, jak otrzymywał swoją porcję, wychodziła z chatki i wracała z liśćmi; czy był w stanie dopatrzyć się związku między przyczyną a skutkiem i czy w jakiś mroczny sposób nie doszedł do wniosku, że zioło kryje się gdzieś na zewnątrz. Nie wiedziała tego, lecz na wszelki wypadek strzegła się pilnie, sprawdzając, czy nie idzie aby za nią, gdy udawała się do skrytki po ów woreczek z zawartością tak cenną i złowrogą zarazem.

Obejrzała się, ale nic nie wskazywało, by Will okazywał jakiekolwiek zainteresowanie, dokąd udaje się Evanlyn. Wyglądało na to, że nauczony doświadczeniem, zadowalał się pewnością, iż wkrótce powróci – ona, Evanlyn – z kolejną dostawą upragnionych ziół. Chyba mało go obchodziło – albo i wcale – skąd je brała. Przypuszczalnie było mu to najzupełniej obojętne dopóty, dopóki dostawał, czego chciał.

Kucyk powitał ją przyjaznym parsknięciem. Poklepała go po szyi.

Odsypała minimalną ilość suchych liści na dłoń, po czym zawinęła starannie resztę i umieściła ją z powrotem w kryjówce. Znów odwróciła się szybko za siebie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nikt jej nie obserwuje. Ale nie, jeśli nie liczyć uważnego wzroku kucyka, który spoglądał na nią wielkimi, wodnistymi oczyma.

– Tylko ani słowa – rzekła do konika przyciszonym głosem. Co dziwne, właśnie w tej chwili zwierzak kiwnął łbem, zupełnie jakby w odpowiedzi na jej słowa. Evanlyn zamarła na krótką chwilę, bo odniosła wrażenie, jakby konik usłyszał ją i zrozumiał, co ma na myśli.

Wetknęła woreczek w zagłębienie ściany i zasłoniła je deską. Pochyliła się, by zgarnąć nieco ziemi, którą wtarła w ścianę, aby zamaskować kryjówkę.

Na jej widok Will uśmiechnął się i przez moment zdawało się, że ją rozpoznał. Rozpoznał ją i pewnie przypomni sobie zaraz, jak wiele przeżyli razem – tak przecież niedawno, zaledwie kilka miesięcy wcześniej, choć teraz tamte zdarzenia wydawały jej się zamierzchłą przeszłością. W następnej chwili uświadomiła sobie, że wzrok chłopca wbity jest w jej zamkniętą dłoń. Uśmiechał się do tego przeklętego zielska, nie do niej.

Ale jednak się uśmiechał, a to już było coś – pomyślała.

Wyciągnęła przed siebie zaciśniętą pięść, a on podszedł ku niej i nadstawił obie ręce. Przesypała do nich rozdrobnione szarozielone liście, przyglądając się jego twarzy, gdy z zafascynowaniem wpatrywał się

w drobinkę narkotyku. Nieświadomie przesunął językiem po ustach w oczekiwaniu. Gdy dostał już całą porcję – oraz kiedy pozwoliła mu starannie oczyścić swoją dłoń z najdrobniejszych nawet resztek zioła – spojrzał na nią i znów się uśmiechnął.

Tym razem z pewnością do niej, co do tego nie miała wątpliwości.

– Dobre! – oznajmił, po czym jego wzrok powędrował w dół, kierując się na maleńką kupkę suszonego ziela piętrzącą się na jego dłoni. Odwrócił się od niej, pochylił i jednocześnie podniósł dłoń do ust.

Nadzieja w sercu Evanlyn ożyła ze zwiększoną mocą. Will odezwał się do niej po raz pierwszy, odkąd opuścili Hallasholm.

Nie było tego wiele. Zaledwie jedno słowo. Jednak to już naprawdę było coś! W każdym razie dobry początek. Uśmiechnęła się, raczej do swoich myśli niż do niego, bo chłopak już skrył się w kącie chaty, instynktownie i niczym zaszczute zwierzę kryjąc się, gdy zażywał narkotyk – jakby się obawiał, że ktoś mu go zechce odebrać.

– Witaj pośród żywych, Willu – rzekła cicho.

Jednak odpowiedziało jej tylko milczenie. Ziele cieplaka znów wzięło Willa w swe posiadanie.

Horace uniósł się w strzemionach, gdy Kicker rozpędził się do pełnego galopu. Chłopak dzierżył w dłoni jesionową tykę opartą poziomo o łęk siodła, prostopadle do kierunku jazdy. Przed nim, pośrodku pola rozciągającego się przed bramą zamku, stała nieruchoma postać: Halt napiął łuk, aż pierzasty bełt strzały dotknął lekko kącika jego ust.

Horace ponaglił konia do jeszcze szybszego biegu; rzucił okiem w prawą stronę, aby upewnić się, że umocowany na końcu drągu hełm nadal znajduje się we właściwej pozycji naprzeciwko Halta, a potem spojrzał znów w stronę zwiadowcy, którego postać pośród traw wydawała się dziwnie nikła i drobna.

Ujrzał pierwszą strzałę, która jakby wytrysnęła z łuku, niewiarygodnie szybko przecinając powietrze, po czym ruchem niemal zbyt prędkim, by mogło zarejestrować go ludzkie oko, Halt wystrzelił kolejny pocisk.

Trafiły prawie w tej samej chwili, Horace poczuł następujące jedno po drugim uderzenia, których impet przeniósł się po drewnianym drągu – i dwie strzały wbiły się w szyszak. Dzieliło je może pół sekundy.

Ściągnął wodze Kickera, by zwolnić do truchtu, nim zatrzymał się przed zwiadowcą, który stał z łukiem opartym o ziemię i czekał cierpliwie, by przyjrzeć się z bliska, jaki rezultat udało mu się osiągnąć. Horace zniżył umocowany na kiju hełm, by znalazł się na wysokości głowy Halta. Nie do

wiary, ale obie strzały przeszły przez szczelinę przyłbicy i wbiły się w słomę, którą Halt upchał ciasno wnętrze hełmu, aby nie uszkodzić ostrych grotów strzał.

Gdy Halt wziął hełm w ręce, Horace przerzucił nogę przez łęk siodła i zsunął się na ziemię. Szpakowaty zwiadowca skinął głową, rzuciwszy okiem na stary szyszak i stwierdził:

– Nieźle. Całkiem nieźle.

Horace wypuścił wodze z ręki, pozwalając Kickerowi paść się swobodnie wśród wysokiej, gęstej trawy porastającej pole turniejowe. Postępowanie Halta zastanawiało go i budziło w nim niemały niepokój.

Gdy wyzwanie zostało rzucone i przyjęte, Deparnieux zgodził się oddać im broń. Halt twierdził, że nie wystrzelił już od tygodni ani jednej strzały i musi poćwiczyć przed walką. Deparnieux, który ćwiczył rycerskie umiejętności codziennie, nie dopatrzył się w tym żądaniu niczego niezwykłego. Odzyskali więc broń, choć podczas ćwiczeń obaj Araluеńczycy przebywali pod stałym nadzorem kilku uzbrojonych w kusze strażników.

Przez ostatnie trzy dni ćwiczenia Halta wyglądały zawsze tak samo: Horace galopował przez pole z hełmem zatkniętym na drągu, a Halt wypuszczał z łuku strzały, mierząc w otwory na oczy. Za każdym razem co najmniej jedna strzała trafiała w cel. Najczęściej jednak oba groty uderzały dokładnie w sam środek wąskich szczelin.

Owszem, ale Horace tego właśnie po Halcie oczekiwał, bowiem biegłość zwiadowcy w strzelaniu z łuku była wprost legendarna. Rzecz w tym, że Halt nie potrzebował dodatkowych ćwiczeń, zwłaszcza że zdradzał w ten sposób swoją taktykę przeciwnikowi.

– Patrzy? – spytał półgłosem Halt, jakby czytał w myślach Horace'a. Zwiadowca stał plecami do zamku, więc nie mógł widzieć, ale Horace, poruszając tylko oczami i nie odwracając głowy, dostrzegł czarną sylwetkę na jednym z licznych tarasów zamku; Deparnieux przyglądał się im, oparty o balustradę – co czynił za każdym razem, gdy wychodzili, by ćwiczyć.

– Tak – rzekł Horace. – Patrzy na nas. Czy słusznie postępujemy, ćwicząc na jego oczach? Przecież w ten sposób zdradzasz się ze swymi umiejętnościami.

Na ustach zwiadowcy pojawił się jakby ulotny cień uśmiechu.

– Być może niesłusznie – przyznał. – Jednak gdziekolwiek byśmy ćwiczyli, z pewnością wylazłby ze skóry, żeby móc się temu przyglądać, nieprawdaż?

– Owszem – zgodził się niechętnie Horace – ale tobie chyba niepotrzebne są ćwiczenia.

Halt potrząsnął z ubolewaniem głową.

– Słowa godne młokosa, mój drogi Horace. Ćwiczenia jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziły – i pamiętaj o tym, gdy powrócimy do Zamku Redmont – pouczył go.

Przygnębiony Horace przyglądał się, jak Halt wyciąga jedną, a potem drugą strzałę z otworów hełmu, sprawdza ich groty, a następnie umieszcza w kołczanie.

– Jeszcze jedna rzecz… – zaczął, a Halt przerwał chłopakowi:

– Wiem, wiem – stwierdził. – Znów nie dają ci spokoju te jakże szlachetne i cenne rycerskie obyczaje, czy nie tak?

Horace musiał przytaknąć. Ów spór powracał już nieraz i trwał właściwie od dnia, w którym Halt cisnął Deparnieux w twarz rękawicę, wyzywając go na pojedynek.

W pierwszej chwili wielmoża był wściekły, zaraz potem oburzył się, iż ktoś nikczemnego rodu śmie sobie wyobrażać, że on, Deparnieux, zechce stanąć z nim do walki.

– Jestem pasowanym rycerzem, szlachetnie urodzonym! Nie będzie mnie wyzywał pierwszy lepszy dzikus z lasu!

Na te słowa twarz zwiadowcy przybrała groźny wyraz. Jego głos, ściszony i niski, zabrzmiał niczym gniewny pomruk. Mówił na tyle cicho, że i Deparnieux, i Horace odruchowo pochylili się w jego stronę, by lepiej słyszeć.

– Trzymaj język za zębami, synu ciury! Masz do czynienia z członkiem hibernijskiej rodziny panującej, z szóstą osobą w państwie po królu! Wywodzę się z rodu uszlachconego w czasach, gdy twoi przodkowie wybierali psom żarcie z misek!

Słowa te wypowiadał z wyraźnym hiberniańskim akcentem. Horace zdumiał się, bo nawet mu przez myśl nie przyszło, że Halt jest potomkiem królewskiego rodu. Deparnieux także nie posiadał się ze zdumienia. Rzecz jasna, żaden rycerz nie miał obowiązku honorować wyzwania rzuconego przez kogoś urodzonego niżej od niego. Jednak skoro szpakowaty łucznik

twierdził, iż wywodzi się z rodu panującego w Hibernii, sprawy przedstawiały się całkiem inaczej. Wyzwanie należało potraktować jak najpoważniej i z należytym szacunkiem. Deparnieux nie mógł go zignorować, zwłaszcza że rzucone zostało w obecności jego podwładnych. Odrzucenie takiego wyzwania okryłoby go wręcz hańbą.

Przyjął je więc; walka miała się odbyć za tydzień, licząc od tamtego dnia.

Nieco później, gdy znaleźli się w swych komnatach, Horace wyraził zdumienie i zaskoczenie faktem, że Halt wywodzi się od tak znamienitych przodków.

– Nie wiedziałem, że jesteś potomkiem królewskiego rodu – stwierdził.

Halt parsknął pogardliwie.

– Bo nie jestem – odparł. – Ale nasz przyjaciel o tym nie wie i nie może udowodnić, że tak nie jest. Tym samym musi przyjąć moje wyzwanie.

To właśnie uchybienie wobec nader surowych zasad kodeksu rycerskiego stało się kością niezgody. Przez osiemnaście miesięcy spędzonych w Szkole Rycerskiej, dzień w dzień wbijano Horace'owi do głowy, iż honorowe zasady obowiązują zawsze i bez wyjątków. Owe prawa czy raczej konwencje nakładały na rycerzy rozliczne obowiązki i choć dawały im zarazem ogromne przywileje, trzeba było na nie zasłużyć. Rycerz musiał żyć i postępować zgodnie ze ściśle określoną regułą, a jeśli było trzeba, umrzeć za nią.

Do najważniejszych zasad należały reguły określające prawa honorowe związane z pojedynkiem. Otóż prawo do uczestnictwa w takowym przysługiwało tylko pasowanemu rycerzowi. Tak więc Horace, choć na rycerza się szkolił, takiego prawa właściwie jeszcze nie posiadał i zgodnie z rycerskim obyczajem, jeśli stosować by go co do joty, nie mógł rzucić wyzwania Deparnieux. Haltowi zaś z całą pewnością nie wolno było tego uczynić. Lekceważący stosunek zwiadowcy do reguł, które Horace traktował jak świętość, oburzał chłopca, a w każdym razie budził jego moralny sprzeciw.

– Posłuchaj – rzekł Halt, przyjaznym gestem obejmując go za ramię – rycerskie obyczaje to rzecz piękna, nie przeczę. Jednak sens mają tylko wtedy, gdy są przestrzegane przez obie strony.

– Ale... – zaczął Horace, lecz Halt mu przerwał:

– Deparnieux posługiwał się tymi zasadami, by rabować i zabijać, Bóg raczy wiedzieć, od ilu już lat. Uznaje te prawa, które mu odpowiadają,

pozostałe bezkarnie lekceważy. Sam mogłeś się o tym przekonać.

Horace skrzywił się.

– Wiem, Halt. Tylko że uczono mnie...

Halt znów mu przerwał, choć nie podniósł głosu.

– Uczyli cię tego ludzie naprawdę szlachetni, ludzie stosujący rycerskie zasady na co dzień, żyjący zgodnie z kodeksem rycerza. Zapewniam cię, że nie znam szlachetniejszych ludzi niż sir Rodney albo baron Arald. Obaj są ucieleśnieniem rycerskości, wszystkiego, co w niej piękne i słuszne.

Umilkł, patrząc w oczy zmieszanego chłopaka. Co do tego Horace nie mógł nie przyznać zwiadowcy racji; zarówno sir Rodney, jak i baron wydawali mu się niedościgłymi wzorami. Zorientowawszy się, że jego słowa trafiły Horace'owi do przekonania, Halt mówił dalej:

– Rzecz w tym, że tchórzliwemu złodziejowi i mordercy – takiemu jak Deparnieux – nie mogą przysługiwać te same prawa. Okłamałem go bez żadnych skrupułów, bowiem dzięki temu mogę z nim walczyć – i pokonać go, przy odrobinie szczęścia.

O ile zwiadowca w ten sposób nieco uspokoił moralne wątpliwości Horace'a, to w żaden sposób nie wyjaśnił drugiej kwestii niedającej chłopcu spokoju. Horace wciąż nie mógł pojąć, czemu tak zazwyczaj roztropny Halt ujawnia swemu przeciwnikowi taktykę, jaką zamierza posłużyć się podczas walki, od której dzielił go już tylko jeden dzień.

– Jak możesz sądzić, że go pokonasz, skoro on dokładnie wie, jakie są twoje zamiary? – spytał, kręcąc głową.

Halt wzruszył na to ramionami i odpowiedział z kamienną twarzą:

– Może szczęście mi dopisze.

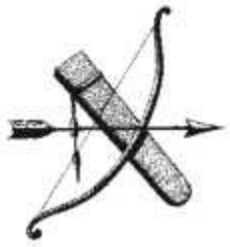

Evanlyn trzymała niezdarnie w ręce myśliwski łuk.

Omal nie upuściła na śnieg strzały, którą próbowała założyć na cięciwę, nie tracąc jednocześnie z oczu małego zwierzątka, niespiesznie przemierzającego rozciągającą się przed nią leśną polanę.

Syknęła ze złości, a królik natychmiast przysiadł na tylnych łapach, nastawiając uszu, zaalarmowany nieznanym sobie dźwiękiem. Węszył nerwowo ruchliwym nosem, próbując wyczuć, czy w powietrzu nie ma jakiegoś zwiastującego niebezpieczeństwo zapachu.

Evanlyn zamarła w bezruchu, czekając, aż stworzenie się uspokoi. Po chwili królik uznał, że nic mu nie zagraża i znów zaczął grzebać przednimi łapkami w śniegu, by dostać się do przysypanej nim trawy. Przyglądała się przez chwilę, wstrzymując oddech, jak królik zabrał się do posiłku, a potem, tym razem uważniej, nałożyła strzałę na cięciwę, tuż pod jej zgrubieniem wykonanym przez twórcę łuku.

W tym miejscu rzemieślnik owinął wielokrotnie wokół cięciwy cienką nić, dzięki czemu strzała utrzymywała się w miejscu i nie trzeba było przytrzymywać jej palcami. Pocisk osadzony był przez to solidnie, a zarazem lekko, tak że w momencie zwolnienia cięciwy strzała bez przeszkód szybowała ku zadanemu celowi.

Uniosła łuk i zaczęła go napinać prawą ręką. Wiedziała, że nie robi tego prawidłowo. Oglądała w swoim życiu wystarczająco wielu łuczników, by mieć pewność, iż strzelać z łuku powinno się zupełnie inaczej. Zorientowała się jednak, że przyglądanie się wyćwiczonemu łucznikowi a naśladowanie jego ruchów to zupełnie co innego. Pamiętała, jak Will nakładał strzałę i naciągał cięciwę jednym płynnym i wyćwiczonym ruchem, na pozór bez żadnego wysiłku. Widziała w myślach ten ruch, ale absolutnie nie była w stanie go odtworzyć. Trzymała więc łuk w pozycji pionowej lewą ręką, zaś palcem wskazującym i kciukiem obejmowała bełt strzały, usiłując napiąć cięciwę siłą tylko ramienia oraz palców.

W ten sposób zdołała naciągnąć łuk ledwie do połowy drzewca strzały. Zacisnęła usta, rozgniewana. Trudno, musi wystarczyć. Zmrużyła oko i spojrzała wzdłuż strzały, próbując wycelować w niewielkie stworzonko, które pożywiało się ochoczo, niebaczne śmiertelnego niebezpieczeństwa czającego się pośród drzew otaczających polanę. Raczej z nadzieją niż z przekonaniem puściła cięciwę.

Wydarzyły się trzy rzeczy.

Łuk furknął i szarpnął się w jej dłoni. Strzała poleciała do przodu, lecz minęła cel o dobre trzy metry, zresztą nie miała dość energii, by uczynić królikowi poważniejszą krzywdę. Cięciwa uderzyła Evanlyn bardzo boleśnie w wewnętrzną część lewego przedramienia. Dziewczyna krzyknęła i upuściła łuk. Strzała tymczasem odbiła się od pnia drzewa po drugiej stronie polanki i znikła w śniegu.

Królik znów stanął słupka i popatrzył na nią; na jego pyszczku malowało się zdumienie; aż przekręcił łepek, by przyjrzeć jej się dokładniej. W następnej chwili opadł na cztery łapy i pokicał niespiesznie, znikając z polany.

– No tak – powiedziała do siebie – to tyle, jeśli chodzi o grożące mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Podniosła łuk, rozcierając bolące miejsce, tam gdzie uderzyła ją cięciwa, po czym udała się na poszukiwanie strzały. Po dziesięciominutowych poszukiwaniach uznała, że musi ją spisać na straty. W ponurym nastroju ruszyła z powrotem do chaty.

– Chyba muszę więcej ćwiczyć – mruknęła.

Była to druga podjęta przez nią próba łowiecka. Pierwsza okazała się równie bezowocna i tak samo frustrująca. Nie wiadomo, który już raz

westchnęła ciężko. Pomyślała, że gdyby Will powrócił do zdrowia, bez trudu posłużyłby się tym łukiem, zapewniając stałe dostawy świeżego mięsa na ich stół.

Pokazała mu oczywiście łuk w nadziei, że widok broni pobudzi jego pamięć. Jednak chłopak gapił się tylko bez zainteresowania, bezmyślnie i z obojętnym wyrazem twarzy, do którego zdążyła już przywyknąć.

Nocą spadł śnieg, więc musiała brnąć w nim po kolana. Był to pierwszy śnieg od ponad tygodnia, co dało jej co nieco do myślenia. Zapewne zima miała się już ku końcowi, a gdy nadejdzie wiosna, Skandianie z Hallasholm znów pojawią się w tych górach. Być może będą chcieli zatrzymać się w chacie, gdzie z Willem spędzała zimę. Nim więc to nastąpi, musi przyjść do sił, by być w stanie przebyć długą drogę wiodącą na południe. Tymczasem nie miała pojęcia, jak długo jeszcze potrwa, nim Will w pełni powróci do zdrowia. Wydawało jej się, że czyni nieznaczne postępy, choć nie była tego pewna. Nie wiedziała też, ile jeszcze mają przed sobą dni, zanim wraz z nadejściem wiosny zaczną topnieć śniegi.

Był to swoisty wyścig z czasem – tyle że Evanlyn nie miała pojęcia, kiedy się zakończy, a przy tym nie miała najmniejszego wpływu na oba decydujące czynniki – wyzdrowienie Willa oraz nadejście wiosny.

Ujrzała chatę i ucieszyła się, widząc wąziutką smużkę dymu unoszącą się z komina. Przed wyjściem dołożyła do ognia, mając nadzieję, iż drew starczy, by nie wygasł pod jej nieobecność. Nie raz już się przekonała, jak przykro jest, gdy człowiek zziębnięty i przemoczony wraca do domu, w którym ogień zgasł.

Nie mogła pod tym względem liczyć na Willa, wykonanie nawet tak prostego zadania przerastało jego możliwości. Nie wynikało to ze złej woli, a po prostu z całkowitego braku zainteresowania czymkolwiek poza podstawowymi czynnościami. Jadł, spał i co jakiś czas stawał przed nią, składając ręce w niemym błaganiu o kolejną porcję ziela. Pocieszające było przynajmniej to, że od ostatniej takiej prośby minęło już sporo czasu.

Poza tym spędzał całe dnie, siedząc to tu, to tam i wpatrując się w podłogę, we własną dłoń albo kawałek drewna, czy w cokolwiek, na czym akurat zatrzymał się jego wzrok.

Stare skórzane pasy pełniące rolę zawiasów zaskrzypiały, gdy pchnęła drzwi. Odgłos sprawił, że Will drgnął i odwrócił się w jej stronę. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, pośrodku pokoju, właściwie w tym

samym miejscu, w którym znajdował się, gdy wychodziła parę godzin wcześniej.

– Witaj. Wróciłam – oznajmiła, zmuszając się do uśmiechu. Powtarzała tę próbę za każdym razem, w nadziei, że któregoś dnia jej odpowie.

Nie był to jednak ten dzień. Chłopak nie zareagował, nie zdradzał żadnego zainteresowania jej osobą. Westchnęła cicho i odstawiła łuk pod ścianę przy drzwiach. Przyszło jej do głowy, że może powinna zdjąć z niego cięciwę, ale była zbyt przygnębiona, by od razu się tym zająć.

Przeszła do części spiżarnianej, by wziąć stamtąd kawałek suszonej wołowiny z ich uszczuplającego się wciąż zapasu. Była tam także kasza, toteż kasza o smaku wołowiny przez minionych kilka tygodni stanowiła podstawę ich wyżywienia. Zawiesiła kociołek z wodą nad ogniem. Gdy woda zagotowała się, wrzuciła do niej pokrojone paski mięsa – w ten sposób uzyskała chudy rosół, w którym mogła ugotować kaszę, tak by nie była zupełnie pozbawiona smaku.

Odmierzyła kubek ziaren i już miała je wsypać do kociołka, gdy usłyszała za sobą jakiś odgłos. Odwróciła się. Will przeniósł się ze środka pokoju, gdzie spędził większość dnia, i siedział teraz obok drzwi. Ciekawa była, co skłoniło go do tej zmiany, ale szybko doszła do wniosku, że to po prostu kwestia przypadku, rzecz bez znaczenia.

A potem zobaczyła, czemu tak się stało i z zaskoczenia aż wysypała na stół nieco cennej kaszy.

Mały łuk nadal stał oparty o ścianę przy drzwiach, ale teraz zdjęto z niego cięciwę.

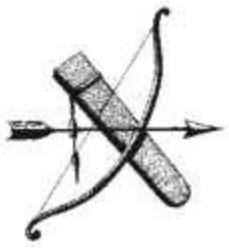

Ludzie Deparnieux wylegli na łąkę wcześnie rano, by skosić u samej ziemi trawę porastającą przedpole Zamku Montsombre. Gallijski rycerz nie zamierzał ryzykować. Widywał już bojowe rumaki, które potykały się o splątane długie źdźbła i padały na ziemię. Chciał mieć pewność, że tak błahy drobiazg nie przeszkodzi mu podczas walki.

Godzinę po południu wyjechał przez tę samą bramę, co ostatnio, gdy walczył z młodym rycerzem. Nie miał wątpliwości, że także z Haltem zdoła się uporać, jednak nie łudził się bynajmniej, iżby miało mu to przyjść z łatwością. Przyglądał się ćwiczeniom, które odbywali Halt wraz z Horace'em i zdawał sobie sprawę, że ten Ara – lueńczyk jest łucznikiem o niemal nadludzkich umiejętnościach. Jednak tym samym zdradził mu swój plan i teraz Deparnieux wiedział dokładnie, jakim sposobem przeciwnik zamierza go pokonać. Uśmiechnął się do siebie. Interesujące było też pewne zagranie psychologiczne ze strony Halta. Powtarzający się wciąż i wciąż od nowa widok strzały, bezbłędnie trafiającej za każdym razem w wizjer poruszającego się szybko hełmu, przyprawiłby niejednego o nerwowe drżenie. Jednak o ile Deparnieux nie wątpił w umiejętności Halta, jeszcze pewniejszy był swoich własnych. Dysponował szybkością błyskawicy i dzięki temu nie wątpił, że zdoła osłonić się tarczą przed pociskami Halta.

Szpakowaty Aralueńczyk nie docenił go – pomyślał Deparnieux, trochę tym faktem rozczarowany. Tyle spodziewał się po tym cudzoziemcu. Obecnie niewiele pozostało z pierwotnego wrażenia. Rzecz jasna, Halt był wyjątkowym łucznikiem, ale na tym koniec. Nie posiadał nadnaturalnych mocy. W gruncie rzeczy, zdaniem wielmoży, był dość ograniczonym, raczej nudnym osobnikiem mającym o sobie nader wygórowane mniemanie. Rzekome królewskie pochodzenie łucznika wydawało mu się wątpliwe, ale teraz to już nie miało znaczenia. Ten człowiek zasługiwał na śmierć, a Deparnieux z przyjemnością zajmie się, czym trzeba.

Tego dnia nie odezwały się trąby ani werble, gdy Deparnieux kłusował na swym czarnym rumaku. To nie był czas na ceremonie. Dla czarnego rycerza trwał zwykły dzień pracy. Przybłęda zagroził jego pozycji, toteż należało rozprawić się z nim przykładnie, aby dać wszem i wobec do zrozumienia, kto tu rządzi.

Publiczność dopisała, bo stawili się niemal wszyscy wojownicy Deparnieux i większość zamkowej służby, aby przyglądać się walce. Uśmiechnął się zjadliwie na myśl, jak wielu z nich przybyło w nadziei, iż ujrzą jego klęskę. O tak, więcej niż wielu – pomyślał. Jednak czekało ich nieuchronne rozczarowanie. W końcu będzie jakiś pożytek z łucznika, niech wszyscy zobaczą, jak ich pan i władca rozprawia się z zarozumiałym włóczęgą.

O wilku mowa – właśnie ujrzał Halta. Łucznik nadjeżdżał z drugiej strony na tym swoim beczułkowatym, śmiesznym, karłowatym koniu. Nie miał na sobie zbroi, tylko nabijany ćwiekami skórzany kaftan, który nie mógł zapewnić żadnej ochrony przed kopią i mieczem Deparnieux. No i oczywiście, jak zawsze, ten plamisty szarozielony płaszcz.

Jego młody towarzysz podążał za nim. Przywdział kolczugę, hełm zawiesił u łęku siodła. Przypasał też miecz i dzierżył w dłoni okrągły puklerz przyozdobiony liściem dębu.

Ha, ciekawe – pomyślał Deparnieux. – Najwyraźniej na wypadek przegranej Halta – która była nieunikniona – ten młokos zamierza pomścić przyjaciela. Tym lepiej – rzekł do siebie czarny rycerz. Śmierć jednego włóczęgi będzie doskonałą nauczką dla podwładnych i sąsiadów, śmierć dwóch intruzów w ciągu jednego dnia przyniesie nauczkę podwójną. Bądź co bądź, tak właśnie cała ta nudna historia się zaczęła – miał przecież

wyzwać owego dębowego rycerza, aby pokazać wszystkim, kto rządzi w okolicy.

Zatrzymał konia, sprawdzając uchwyt na drzewcu kopii, aby upewnić się, że trzyma ją odpowiednio. Po drugiej stronie łąki jego przeciwnik wciąż jechał naprzód, powoli i statecznie. Wydawał się komicznie mały wobec rosłego młodzieńca na wysokim koniu, jadącego tuż za nim.

– Mam nadzieję, że wiesz, na co się porywasz – rzekł Horace, starając się nie poruszać ustami, na wypadek gdyby Deparnieux ich obserwował – co też z pewnością czynił. Halt odwrócił się i na jego kamiennej twarzy pojawiło się coś, co przypominało uśmiech.

– Ja też mam taką nadzieję – odparł pogodnie. Zauważył, że Horace po raz kolejny sprawdził, na ile płynnie jego miecz wysuwa się z pochwy. Odkąd wyruszyli, zdążył to uczynić już kilka razy. – Bądź spokojny – dodał.

Horace zapomniał o środkach ostrożności, nie przejmując się już, czy Deparnieux go widzi.

– Spokojny? – powtórzył z niedowierzaniem. – Ruszasz do boju z zakutym w stal rycerzem, mając do dyspozycji tylko łuk. I mówisz mi, żebym był spokojny?

– Mam też jeszcze jedną czy dwie strzały – poprawił go dobrodusznie Halt, a Horace potrząsnął głową, bardzo niezadowolony.

– No cóż… mogę tylko mieć nadzieję, że wiesz, co robisz – stwierdził. Teraz Halt z pewnością się do niego uśmiechnął, choć trwało to tylko ułamek chwili.

– Wspominałeś już o tym – zauważył, a następnie spiął Abelarda kolanami; konik zatrzymał się, nastawiając uszu, gotów na dalsze rozkazy.

Oczy Halta skupiły się na chwilę na odległej postaci w czarnej zbroi, potem zaś zwiadowca przełożył prawą nogę przez łęk siodła i zeskoczył na ziemię.

– Zabierz go w bezpieczne miejsce – polecił Horace'owi, który schylił się i ujął wodze konika. Abelard zastrzygł uszami i popatrzył pytająco na swojego pana.

– Idź – nakazał mu Halt półgłosem, toteż konik pozwolił się odprowadzić.

Halt rzucił jeszcze okiem na młodzieńca. Horace całą swą postawą wyrażał najgłębszą troskę.

– Horace? – zawołał, a chłopak zatrzymał konia i odwrócił się. – Bądź spokojny. Ja naprawdę wiem, co robię.

Horace zdołał zmusić się do bladego uśmiechu.

– Skoro tak twierdzisz – rzekł.

W trakcie tej krótkiej wymiany zdań Halt wybrał starannie trzy strzały z dwóch tuzinów, które miał w kołczanie i wsunął je, grotami do dołu, za cholewę prawego buta. Horace dostrzegł, co czyni zwiadowca, i zdziwił się – Halt nie musiał mieć przecież strzał pod ręką, bo potrafił sięgnąć do kołczana po następną, a także wycelować ją i wystrzelić w ułamku sekundy.

Nie zdążył jednak o to zapytać. Deparnieux odezwał się donośnym głosem z przeciwległego krańca łąki:

– Panie Halt – dosłyszał Horace wyraźnie – czy jesteś gotów?

Halt uniósł tylko w odpowiedzi rękę, nie racząc się odezwać. Horace'owi wydał się mały i bezbronny, gdy tak stał pośrodku skoszonej łąki, naprzeciw rosłego rycerza w czerni, dosiadającego potężnego rumaka.

– A więc niech zwycięży lepszy! – zawołał szyderczo Deparnieux, a tym razem Halt odezwał się:

– Owszem, zamierzam zwyciężyć.

Deparnieux spiął ostrogami wierzchowca i ruszył naprzód, przyspieszając aż do galopu.

Nagle Horace zdał sobie sprawę, że Halt nie wytłumaczył ani słowem, jak chłopak ma się zachować, gdyby Deparnieux odniósł zwycięstwo. Spodziewał się, że zwiadowca każe mu próbować ucieczki. Był zaś niemal pewien, że zabroni mu wyzywać Deparnieux bezpośrednio po ich walce – co Horace oczywiście zamierzał uczynić, gdyby Halt przegrał. Zastanawiał się teraz, czy Halt nic nie powiedział dlatego, iż zdawał sobie sprawę, że Horace go nie posłucha, czy też po prostu dlatego, że był całkowicie pewien, kto ze starcia wyjdzie zwycięsko.

Jak dotąd, nic nie wskazywało, by miał jakiekolwiek szanse. Ziemia drżała pod kopytami czarnego rumaka, a wprawne oko Horace'a odnotowało fakt, że gallijski wielmoża jest wielce doświadczonym wojownikiem o niebagatelnych umiejętnościach. Jego ruchy były

doskonale zgrane z ruchami konia, utrzymywał w siodle idealną równowagę i trzymał długą, ciężką kopię z taką łatwością, jakby była to lekka lanca. Pędził, pochylony do przodu, unosząc się nieco w strzemionach, gdy grot kopii zbliżał się już do niewysokiej postaci okrytej szarozielonym płaszczem.

Właśnie ten płaszcz sprawił, że przez moment Deparnieux poczuł się nieswojo. Halt poruszył się nieznacznie, a wówczas wzory na tkaninie zafalowały także, zlewając się z płaszczyzną skoszonej łąki; postać przeciwnika rozmyła się w oczach Deparnieux. Trwało to tylko sekundę, ale efekt okazał się bardzo sugestywny. Deparnieux zaklął i zamrugał oczyma, starając się skupić swą uwagę na twarzy łucznika. Był już blisko, zaledwie trzydzieści metrów, a łucznik jeszcze nie…

Ujrzał ją w locie. Niewiarygodnie prędki ruch, gdy łuk uniósł się i pierwsza strzała poszybowała ku niemu, zbliżając się z niesamowitą szybkością, wymierzona prosto w szparę hełmu, przez którą patrzył. Niosła ze sobą natychmiastowe zapomnienie i śmierć.

Lecz choć strzała mknęła prędko, Deparnieux był jeszcze szybszy. Błyskawicznym ruchem uniósł tarczę pod takim kątem, by ją odbić. Poczuł uderzenie, usłyszał zgrzyt stali o stal, gdy grot zdarł długie pasmo czarnej, lśniącej emalii, a potem strzała ze świstem upadła na bok.

Jednak teraz tarcza zasłaniała mu przeciwnika, więc musiał ją opuścić.

Piekło i szatani! A więc taki był plan Halta: wystrzelił drugą strzałę jeszcze wtedy, gdy tarcza wciąż była uniesiona! Tylko koci refleks ocalił Deparnieux, który jakimś cudem zdążył powtórnie unieść tarczę, by odbić i drugi zdradziecki pocisk. Jak to możliwe, żeby strzelać tak szybko? – przemknęło mu przez myśl, a potem zaklął znów, bo zdał sobie sprawę, że właśnie minął łucznika, który najspokojniej w świecie zszedł mu z drogi.

Deparnieux zwolnił i wierzchowiec zatoczył szeroki łuk. Rycerz nie zamierzał ryzykować, że rumak odniesie jakąś kontuzję, gdy będzie próbował zawrócić zbyt gwałtownie. Nie ma pośpiechu…

W tej samej chwili poczuł ostry ból w lewym ramieniu. Odwrócił się odruchowo, a choć zamknięta zasłona przyłbicy ograniczała jego pole widzenia, zorientował się, że gdy przejeżdżał obok Halta, ten wypuścił kolejną strzałę, trafiając bezbłędnie między blachy jego zbroi.

Miejsce to osłaniała kolczuga, która mocno osłabiła uderzenie strzały. Jednak piekielnie ostry grot zdołał przebić się i sięgnąć ciała. Rana była

bolesna, lecz powierzchowna – uświadomił sobie, poruszając pospiesznie ramieniem, by upewnić się, że nie zostały uszkodzone ważniejsze mięśnie lub ścięgna. Gdyby się okazało, że starcie zapowiada się na dłużej, ręka mogłaby zesztywnieć i stracić zdolność utrzymywania tarczy.

Jednak rana okazała się uciążliwa, ale niegroźna. Uciążliwa w bolesny sposób – stwierdził cierpko. Czując krew spływającą pod pachę, Deparnieux przysiągł sobie, że Halt zapłaci mu za to. Najwyższą cenę.

Czarny rycerz doszedł bowiem do wniosku, że rozszyfrował już plan Halta. Przeciwnik zamierzał zmusić go, by własną tarczą sam się oślepiał podczas natarcia i korzystać z tego, by w ostatniej chwili schodzić z linii ataku.

Tyle że rycerz nie zamierzał drugi raz powtórzyć wcześniejszego błędu. Zamiast gwałtownego natarcia i ciosu kopią, dość mu będzie podjechać w zwykłym, niespiesznym tempie. Nie miał przecież do czynienia z drugim odzianym w zbroję rycerzem dosiadającym konia. Jego przeciwnik występował pieszo, bez zbroi, więc Deparnieux nie potrzebował takiej szybkości i siły, jak podczas normalnego pojedynku.

Gdy tylko podjął decyzję, odrzucił długą i nieporęczną kopię na ziemię, potem sięgnął do ramienia i złamał drzewce wbitej strzały, ciskając je w ślad za kopią.

Następnie, dobywszy długiego miecza, ruszył truchtem w stronę, gdzie stał oczekujący go Halt.

Zbliżał się tak, by mieć Halta po swej lewej stronie i móc osłaniać się tarczą od strzał. Miecz zataczał swobodnie kręgi w jego prawej dłoni; rozkoszował się znajomym ciężarem broni, która nigdy go nie zawiodła, a także jej doskonałym wyważeniem.

Przyglądający się walce Horace czuł, jak serce łomocze w jego piersi. Bo teraz spotkanie mogło się zakończyć tylko w jeden sposób. Skoro Deparnieux zrezygnował z szarży galopem i zdecydował się na taktykę wolniejszą, lecz precyzyjniejszą, Halt znalazł się w poważnych opałach. Horace wiedział, że dziewięciu na dziesięciu rycerzy dalej nacierałoby z pasją, dając się ponieść złości z powodu chytrej taktyki Halta, i pragnęłoby tym bardziej zgnieść go i zmiażdżyć, wykorzystując przewagę prędkości oraz masy. Tymczasem Deparnieux, jak się okazało, od razu zorientował się, że to do niczego nie prowadzi i natychmiast zdał sobie sprawę, w jaki sposób obrócić wniwecz największą przewagę Halta.

Czarny rycerz znajdował się w odległości czterdziestu metrów od niskiej postaci i zbliżał się do niej nadal. Jak przedtem, łuk uniósł się i strzała już mknęła ku niemu. Zręcznie, niemal pogardliwie, Deparnieux machnął tarczą, odbijając strzałę. Usłyszał, jak grot trafia w tarczę i natychmiast ją opuścił. Dostrzegł kolejny pocisk wymierzony już w jego głowę. Łucznik właśnie go wypuścił, więc Deparnieux powtórnie uniósł tarczę.

Nie zauważył jednak pewnego istotnego szczegółu.

Była to jedna z trzech strzał, które Halt zatknął uprzednio za cholewę swojego buta. Ta różniła się nieco od pozostałych, opatrzona znacznie cięższym grotem z hartowanej stali. W przeciwieństwie do większości strzał znajdujących się w kołczanie Halta, jej grot nie miał liściastego kształtu. Przypominał raczej prosty szpikulec z umieszczonymi wokół czterema ostrogami, dzięki którym ostrze nie odbijało się od blachy i mogło przejść na wylot.

Był to specjalny grot przeznaczony do przebijania zbroi; Halt poznał jego sekret już wiele lat wcześniej, nauczywszy się tej sztuczki od groźnych konnych łuczników ze wschodnich stepów.

Gdy Deparnieux uniósł tarczę, nie mógł dostrzec, że strzała zmierza nieco innym torem. Świsnęła tuż pod krawędzią jego tarczy i wbiła się w sam środek napierśnika, grzęznąc aż do połowy swej długości.

Deparnieux usłyszał ją. Głuche uderzenie metalu o metal – raczej dudnienie niż brzęk. Nie wiedział, co to takiego. A potem poczuł rozdzierające kłucie, potworny ból rozchodzący się od piersi na całe ciało. Oczy zaszły mu mgłą. Ciało zaczęło sztywnieć. Znikająca świadomość podpowiadała mu, że oto on – słynny kawaler Deparnieux, niezwyciężony rycerz – przegrał…

Gdy zwalił się z hukiem na ziemię, już nie żył.

Halt opuścił łuk. Przygotowaną zawczasu wydobytą zza cholewy drugą strzałę odłożył do kołczanu.

Pan na Zamku Montsombre leżał bez ruchu. Zdumieni gapie spoglądali w milczeniu. Nie wiedzieli, jak się zachować. Nikt z nich nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy. Służący, kucharze i stajenni cieszyli się w głębi serc, ale starali się tego nie okazywać. Deparnieux nigdy nie był przez nich lubiany, raczej nienawidzili go, gdyż szczodrze szafował surowymi karami – za najbłahsze przewiny albo i całkiem bez powodu. Jakże jednak mogli się spodziewać, że brodaty cudzoziemiec okaże się lepszy od ich pana

i zabije go? Wszyscy byli teraz przekonani, że rozprawił się z nim, by przejąć władzę nad Montsombre. Takie rzeczy były w Gallii na porządku dziennym, a doświadczenie nauczyło ich, że nowy pan nie oznacza polepszenia losu. Przecież kilka lat wcześniej Deparnieux zwyciężył poprzedniego tyrana. O ile więc radowali się, widząc, że bezlitosny, bestialski satrapa poniósł sromotną klęskę, o tyle nie oczekiwali zbyt wiele po jego następcy.

Co do zbrojnych, którzy służyli pod rozkazami Deparnieux, sprawa wyglądała nieco inaczej. Czuli się nieco bliżej związani z zabitym, choć przesadą byłoby określić te uczucia słowami takimi jak wierność czy lojalność. Poprowadził ich jednak ku wielu zwycięstwom, dzięki którym zdobyli niemało łupów, toteż trzech z nich ruszyło teraz w stronę Halta z prawicami na rękojeściach mieczy.

Widząc to, Horace spiął ostrogami Kickera i znalazł się między napastnikami, a okrytym szarym płaszczem łucznikiem. Świsnęła stal, gdy dobył miecza, w którym zalśnił odblask popołudniowego słońca. Żołnierze zatrzymali się. Słyszeli niemało o Horace'em, Rycerzu Dębowego Liścia i żaden z nich nie czuł się na tyle wytrawnym fechtmistrzem, by się z nim zmierzyć. Potrafili walić na oślep w zamęcie bitewnym, natomiast tam, gdzie liczyła się technika szermierki, finty, zasłony i wypady… czuli się mocno niepewnie.

– Przyprowadź konia – zawołał Halt do Horace'a. Zdziwiony chłopak spojrzał w jego stronę. Halt stał w tym samym miejscu, w lekkim rozkroku, bokiem do zbliżających się żołnierzy. Znów na cięciwę jego łuku nałożona była strzała, choć łuk wciąż trzymał opuszczony.

– Co takiego? – spytał Horace, nie rozumiejąc. Zwiadowca ruchem głowy wskazał mu rumaka wielmoży, który przestępował z nogi na nogę, niepewnie potrząsając łbem.

– Przyprowadź konia, należy teraz do mnie – powtórzył, więc Horace podjechał na Kickerze z wolna do miejsca, w którym mógł się pochylić i sięgnąć po wodze wierzchowca czarnego rycerza. Aby to uczynić, musiał z powrotem schować miecz do pochwy, toteż spoglądał z ukosa ku trzem zbrojnym oraz tuzinom innych, którzy stali za nimi, lecz wciąż nie opowiedzieli się po niczyjej stronie.

– Kapitanie! – krzyknął donośnie Halt.

Zwalisty mężczyzna w półpancerzu postąpił krok naprzód. Halt przyglądał mu się przez chwilę, po czym zapytał:

– Twoje imię?

Kapitan rozejrzał się niepewnie. Wiedział, że zazwyczaj zwycięzca takiego pojedynku po prostu zajmuje miejsce swojego poprzednika, spodziewał się więc, że życie na Montsombre toczyć się będzie mniej więcej tak samo jak dotąd. Zdarzało się jednak całkiem często, że nowy pan usuwał ze swych stanowisk lub po prostu zabijał dowódców poprzednika. Zerknął ostrożnie na łuk w rękach cudzoziemca, ale uznał, że nie ma powodu ani sensu, by ukrywać swą tożsamość. Inni i tak zaraz wskazaliby go, licząc, iż da im to szansę na zyskanie lukratywnej pozycji. Odezwał się więc:

– Nazywam się Filemon, panie – oznajmił.

Halt wpił w niego zimny wzrok; na chwilę zapanowało milczenie.

– Podejdź tu, Filemonie – rozkazał Halt, po czym odłożył strzałę do kołczanu i zarzucił łuk na lewe ramię. Gest ten oznaczał, że kapitan nie ma się czego obawiać, choć jednocześnie Filemon zdawał sobie przecież sprawę, że gdy tylko Halt zechce, w mgnieniu oka zsunie śmiercionośną broń z ramienia i naszpikuje go strzałami, nim on zdąży uczynić choćby krok. Podchodził więc ostrożnie, spięty, niepewny.

Gdy znalazł się już w takiej odległości, że mogli swobodnie rozmawiać, Halt przemówił:

– Nie zamierzam pozostać tu dłużej, niż to będzie konieczne – oznajmił spokojnym głosem. – Wkrótce przełęcze Teutonii wiodące do Skandii staną się przejezdne. Wówczas wraz z moim towarzyszem wyruszymy w drogę.

Przerwał, a Filemon zmarszczył czoło, próbując zrozumieć jego słowa.

– Pragniecie, panie, byśmy wam towarzyszyli? – spytał w końcu. – Mamy wyruszyć z wami?

Halt potrząsnął głową.

– Nie życzę sobie już kiedykolwiek was oglądać – stwierdził stanowczo. – Nie chcę niczego z tego zamku, nie chcę niczego od jego mieszkańców. Zabieram tylko konia Deparnieux, bo należy mi się, jako zwycięzcy pojedynku. Co do reszty, wszystko jest twoje: zamek, jego wyposażenie, skarby, ziemie. Co chcesz – o ile zdołasz obronić te dobra przed swymi przyjaciółmi. Jeśli tylko zechcesz.

Filemon z niedowierzaniem potrząsnął głową. Nie wierzył własnemu szczęściu! Cudzoziemiec wybierał się w dalszą drogę, a jemu zostawił cały zamek i władzę nad przynależnymi mu posiadłościami. Jemu, zwykłemu kapitanowi straży. Gwizdnął cicho. Będzie mógł zająć miejsce Deparnieux. Będzie panem całą gębą, mając do swej dyspozycji zamek, zbrojnych i sługi!

– Pod dwoma warunkami – przerwał jego rozmyślania Halt. – Natychmiast wypuścicie wszystkich zamkniętych w klatkach. Co do reszty sług i niewolników oraz poddanych, daję im swobodę wyboru. Mogą zostać lub odejść. Nie będą ci podlegli w żaden sposób. Uwalniam ich.

Kapitanowi zrzedła mina, a jego krzaczaste brwi uniosły się. Otworzył usta, by się sprzeciwić, ale coś w spojrzeniu Halta nie pozwoliło mu wykrztusić ani słowa. Było to spojrzenie zimne, zdecydowane i przerażająco spokojne.

– Propozycję tę przedstawiam tobie, ale oczywiście mogę przedłożyć ją twojemu następcy – dodał. – Wybór należy do ciebie. Jeśli nie zgadzasz się z moją decyzją, postanawiał będzie ten, kto zajmie twe miejsce, kiedy cię zabiję.

Na dźwięk słów zwiadowcy Filemon zdał sobie sprawę, że Halt swą groźbę wprowadzi w czyn bez wahania. Albo on, albo ten młody rycerz łatwo sobie z nim poradzą.

Cóż miał czynić? Z jednej strony klejnoty, złoto, wielki zamek i zbrojni na każde skinienie, którzy pójdą za nim, gdyż zdoła im zapłacić. Co prawda może zabraknąć sług.

Skoro jednak alternatywą była śmierć, tu i teraz?

– Tak, panie. Oczywiście, panie – rzekł z zaciśniętym gardłem. – Zgadzam się, panie.

Bądź co bądź, jak uzmysłowił sobie Filemon, większość służących oraz niewolników i tak nie ma dokąd pójść. Istniała spora szansa, że większość z nich zostanie w Château Montsombre, ufając, iż przecież nie może być już dużo gorzej niż było, a kto wie, może będzie odrobinę lepiej?

Halt powoli skinął głową.

– Tak myślałem, że się zgodzisz.

Evanlyn pracowała w najwyższym skupieniu. Koniuszek języka przytknęła do górnej wargi, zmarszczyła lekko brwi – starając się przyciąć do odpowiedniego kształtu skrawek miękkiej bydlęcej skóry.

Nie mogła sobie pozwolić na popełnienie błędu. Miała tylko jeden taki kawałek, znalazła go w stajennej przybudówce. Był miękki, cienki i giętki. W przybudówce znalazła też rozmaite inne fragmenty uprzęży, ale wyschnięte i sztywne. Tylko ten jeden jedyny skrawek nadawał się do tego, co postanowiła zrobić.

Evanlyn sporządzała procę.

Po jakimś czasie zrezygnowała z prób wyuczenia się łucznictwa. Doszła do wniosku, że prędzej oboje umrą z głodu, niż zdoła opanować tę sztukę na tyle, by trafić choćby w ścianę domu. Westchnęła. Wychowano ją na królewnę, a nie na łuczniczkę. Potrafiła więc szyć i haftować, docenić dobre wino lub podjąć szlachetnie urodzonych gości. Potrafiła dyrygować służbą oraz umiała całymi godzinami siedzieć wyprostowana i udawać, że słucha uważnie każdego słowa podczas najnudniejszych dworskich ceremonii.

Wszystkie te umiejętności były bardzo przydatne – swego czasu. Jednak w obecnej sytuacji nie zdawały się na nic. Żałowała, że nie poświęciła

choćby paru godzin na naukę podstaw łucznictwa. Choć z niechęcią, musiała przyznać, że sama nie jest w stanie tej umiejętności opanować.

Natomiast proca to całkiem co innego. Gdy była małą dziewczynką, sporządziła, wraz z dwoma kuzynami, proce, a potem włóczyli się po lasach wokół Zamku Araluen, ciskając z nich kamieniami w najrozmaitsze cele.

O ile pamiętała, była w tym całkiem niezła.

Gdy ukończyła dziesiąty rok życia, ku jej niemałej irytacji, ojciec oznajmił, że czas już, by jego córka przestała włóczyć się z chłopakami, a zamiast tego zaczęła zachowywać się jak dama. Skończyły się więc wędrówki po lesie i zabawa procą. Rozpoczęły się hafty i koronki.

Miała jednak nadzieję, że zdoła sobie przypomnieć to i owo z dziecięcych czasów i że gdy trochę poćwiczy, dawne umiejętności powrócą.

Uśmiechnęła się lekko, wspominając stare, dobre czasy na Zamku Araluen. Jakże teraz odległe się wydawały! Ostatnio oddawała się zgoła innym zajęciom. Nauczyła się, jak to jest, gdy trzeba ciągnąć za sobą konia przez śnieg sięgający do pasa, spać na gołej ziemi i kąpać się o wiele rzadziej, niż to przyjęte w eleganckim towarzystwie – oraz, jeśli szczęście dopisze, zabijać, patroszyć i gotować upolowaną przez siebie zwierzynę.

To ostatnie jednak wyłącznie pod warunkiem, że uda się jej zrobić tę przeklętą procę jak należy. Wyciętym kawałkiem skóry owinęła spory okrągły kamień, naciągając go tak, aby utworzyła się miseczka. Powtarzała tę czynność kilkakrotnie, wgniatając kamień w skórę. Od wysiłku zaczęły boleć ją ręce. O ile dobrze pamiętała, w dzieciństwie tę część pracy wykonywali za nią służący.

– Niewielki ze mnie pożytek – westchnęła do siebie.

W gruncie rzeczy była niesprawiedliwa wobec siebie samej. Bo przecież dysponowała niemałym zasobem odwagi, determinacji i lojalności, a także pomysłowości.

Jak na kogoś, kto od dziecka przyzwyczajony został do królewskich warunków, nieźle sobie radziła. Może nie zawsze wpadała na najlepsze rozwiązanie problemu, ale jednak w końcu dawała sobie radę. Nie poddawała się – nigdy. Jej zdecydowanie i umiejętność dostosowywania się do okoliczności świadczyły, że w przyszłości będzie doskonałą władczynią – o ile oczywiście zdoła kiedykolwiek dotrzeć z powrotem do Araluenu.

Usłyszała za sobą jakiś hałas; odwróciła się. Serce jej się ścisnęło, gdy ujrzała, że Will stoi przy niej. W jego oczach widniała pustka, twarz pozbawiona była wyrazu. Przez jedną straszną chwilę sądziła, że będzie domagał się kolejnej dawki zioła i wystraszyła się na dobre. Ostatnią dała mu bowiem dwa tygodnie wcześniej. W woreczku nie zostało już nic. Nie miała więc pojęcia, co się stanie, gdy głód znów go chwyci w swe szpony.

Każdego dnia lękała się, że znów poprosi o zioło, a jednocześnie z każdym dniem rosła jej desperacka nadzieja, że może już więcej tego nie uczyni. Od chwili, gdy zdjął cięciwę z łuku, oczekiwała niecierpliwie jakichś innych oznak świadomości czy pamięci – lecz jak dotąd na próżno.

Wskazał palcem dzban z wodą stojący na ławce. Odetchnęła z ulgą. Nalała mu wody do kubka, a on wziął go i odszedł, wciąż zamknięty w tym odległym koszmarze odurzenia. Nie – pomyślała – nie jest jeszcze uleczony, ale przynajmniej chwila, której tak się bała, nie nadchodziła. Mogła więc dalej mieć nadzieję.

Oczy zaszły jej łzami. Otarła je i wróciła do pracy. Wcześniej z sakwy wycięła dwa długie rzemienie, które przywiązała teraz po obu stronach skórzanego skrawka. Włożyła kamień i na próbę zakręciła procą. Tak, to działo się bardzo dawno temu, lecz uczucie było jakby znajome. Ciężar kamienia był akurat odpowiedni, wgłębienie wyciśnięte w miękkiej skórze wystarczające, by nie wypadł z niego przedwcześnie. Spojrzała na Willa. Siedział skulony pod ścianą, z zamkniętymi oczyma, nieobecny. Wiedziała, że może pozostawać w takiej pozycji całymi godzinami.

– Nie ma co tracić czasu – stwierdziła do siebie, a do Willa zawołała: – Wybieram się na polowanie. Trochę to potrwa.

Nazbierała kamieni i wyruszyła. Poprzednie doświadczenia z łukiem nauczyły ją, że okoliczna zwierzyna omija chatę z daleka – przynajmniej teraz, gdy ktoś w niej mieszkał. Zapewne było to wynikiem jakichś gorzkich doświadczeń z przeszłości, bowiem z pewnością nie jej żałosnych łowieckich wysiłków.

Aby wypróbować swój nowy oręż, umieściła w skórzanej miseczce kamień i zakręciła procą nad głową, aż rozległ się głuchy warkot, a następnie wypuściła pocisk w kierunku pobliskich pni drzew.

Z początku szło jej dość kiepsko – pociski osiągały co prawda odpowiednią prędkość, znacznie gorzej było z celnością. Jednak z czasem dawna wprawa zaczęła powracać. Coraz częściej kamienie trafiały w cel.

Jeszcze lepszy rezultat uzyskiwała, włożywszy do miseczki dwa kamienie i podwajając tym samym prawdopodobieństwo trafienia. W końcu uznała, że jest już gotowa; ruszyła nad strumyk, gdzie widywała króliki przychodzące do wodopoju i wygrzewające się na ciepłych kamieniach.

Szczęście jej sprzyjało. Duży, puszysty królik siedział z zamkniętymi ślepiami, poruszając nozdrzami i uszami, rozkoszując się ciepłem rozgrzanego w słońcu kamienia.

Poczuła dreszcz satysfakcji, gdy włożyła do miseczki procy dwa spore kamienie i zakręciła nią. Wibrujący dźwięk narastał w miarę, jak obracała nią coraz szybciej; oczy królika otworzyły się. Odgłos jednak nie skojarzył się mu z niebezpieczeństwem, więc nie uciekł. Evanlyn zobaczyła, jak otwiera ślepia, ale powstrzymała pokusę, by wystrzelić od razu. Zakręciła procą jeszcze dwu – czy trzykrotnie i dopiero wówczas wypuściła jeden jej koniec, a pociski poszybowały w kierunku celu.

Być może miała szczęście początkującego, ale oba kamienie trafiły nieszczęsnego królika z całą siłą impetu nadanego im przez wirującą procę. Większy z nich złamał zwierzakowi tylną łapkę, toteż gdy próbował uciec, miotał się tylko bezsilnie w śniegu. Triumfująca Evanlyn przebiegła przez polankę, pochwyciła stworzenie i ukręciła mu łepek, aby skrócić jego cierpienia.

Świeże mięso będzie mile widzianym dodatkiem do ich jednostajnej diety. Upojona powodzeniem, postanowiła spróbować szczęścia gdzie indziej. Bez wątpienia co dwa króliki, to nie jeden.

Poruszała się ostrożnie, powoli, a miękki śnieg pod nogami tłumił odgłos jej kroków. Gdy zbliżyła się do kolejnej polany, jeszcze zwolniła kroku. Uważała, by odgarniane przez nią gałęzie wracały na swe miejsce, nie wydając żadnego dźwięku.

Najprawdopodobniej właśnie ta ostrożność ocaliła jej życie.

Miała właśnie wyjść spośród drzew, gdy nagle jakimś szóstym zmysłem zorientowała się, że coś jest nie tak. Usłyszała coś – a może instynktownie wyczuła – coś, co nie było tu na swoim miejscu. Cofnęła się w cień,

czekając, czy ów odgłos się nie powtórzy. Rzeczywiście, usłyszała go znów i tym razem rozpoznała. Stąpanie końskich kopyt w miękkim śniegu, wciąż jeszcze zaścielającym ziemię.

Poczuła suchość w ustach, serce biło jej jak oszalałe. Evanlyn zamarła w bezruchu, pamiętając nauki Willa na Skorghijl.

Na szczęście gęsto rosnące sosny zapewniały niezłą osłonę, prócz tego mocne poranne słońce rzucało głębokie cienie pomiędzy pniami. Poczuła zimny dreszcz na plecach. Poruszała tylko oczyma, spoglądając na prawo i lewo, próbując coś dostrzec. Po chwili usłyszała wyraźniej parskający oddech konia. Teraz była już pewna, że to nie złudzenie. Nad polaną uniosły się kłęby pary, a po chwili ukazał się koń i dosiadający go jeździec.

Przez krótką chwilę ogarnęła ją bezrozumna radość, bowiem wydało jej się, że ten koń to należący do Willa Wyrwij. Mały, krępy i kudłaty, niewiele większy od kucyka. Na jego widok chciała natychmiast wyjść na słońce, lecz powstrzymała się w porę, gdy spojrzała na jeźdźca.

Ubrany był w futro, na głowie miał płaską futrzaną czapkę, łuk przerzucony przez ramię. Widziała wyraźnie twarz przybysza: ogorzałą skórę i wysokie, wystające kości policzkowe, przez co jego oczy wyglądały jak ukośne szparki. Był niewysoki i krępy, całkiem jak jego wierzchowiec, a coś w postawie tego człowieka zwiastowało niebezpieczeństwo. Odwrócił głowę, spoglądając w prawo, a Evanlyn skorzystała z tego, by cofnąć się dalej w cień. Jeździec ujechał jeszcze kilka kroków, po czym zatrzymał się na środku polany.

Wydawało się, że jego oczy przenikają na wskroś chropawy pień wielkiej sosny, za którą ukryła się teraz Evanlyn. Przez kilka przeraźliwie długich sekund miała wrażenie, że ją dostrzegł. Potem jednak piętą obszytego futrem buta dotknął boku wierzchowca, kierując go w prawo i po chwili zniknął wśród drzew. Jeszcze tylko przez chwilę w mroźnym powietrzu unosiły się kłęby pary.

Przez dobrych parę minut Evanlyn stała bez ruchu, przyciśnięta do pnia, obawiając się, że jeździec może powrócić. Potem, gdy odgłos kopyt umilkł zupełnie, pobiegła przez las do chaty.

Will spał. Budził się powoli, stopniowo docierała do jego umysłu świadomość, że siedzi na twardej drewnianej podłodze. Otworzył oczy i zmarszczył brwi. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Patrzył na wnętrze jakiegoś drewnianego domu, przez nieoszklone małe okienko wpadało do wewnątrz jaskrawe światło słońca, tworząc na podłodze jasną plamę.

Wstał niepewnie, wciąż jeszcze nie mogąc otrząsnąć się ze snu. Zastanowił się przez chwilę, dlaczego spał, siedząc na podłodze, oparty o ścianę. Przecież mógł wybrać sobie wygodniejsze miejsce, bo w pokoju stała prycza i dwa krzesła. Kiedy dźwignął się na nogi, coś upadło ze stukotem – coś, co leżało na jego kolanach. Spojrzał: był to mały myśliwski łuk. Podniósł go, zaciekawiony. Nic specjalnego. Nadaje się do polowania na drobną zwierzynę i prawie do niczego innego – pomyślał machinalnie. A gdzie podział się jego własny łuk? Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek miał do czynienia z tą tutaj zabawką.

Potem nagle pamięć powróciła. Jego łuk przepadł, odebrali mu go Skandianie przy moście. Wraz z tym wspomnieniem, powróciły też inne: wędrówka przez bagna i mokradła, gdy pojmali go Skandianie, żegluga przez Morze Białych Sztormów. Okręt Eraka… Potem pobyt na Skorghijl; tam przeczekali porę sztormów, a następnie podróż do Hallasholm.

A potem… potem nic.

Nie dawał za wygraną, usilnie starał się przebić przez mrok, który otaczał to, co zdarzyło się potem. Odnaleźć jakieś wspomnienia wydarzeń w skandyjskiej stolicy. Nie odnalazł jednak niczego. Tak jakby we własnym umyśle natknął się na ścianę nie do przebicia.

Nagle ogarnął go lęk. Evanlyn! Co się z nią stało? Pamiętał, jak przez mgłę, że groziło jej jakieś okropne niebezpieczeństwo. Nie wolno dopuścić, by ktokolwiek dowiedział się, kim jest naprawdę. Czy na pewno dotarli do Hallasholm? Tego nie był pewien, a miał wrażenie, że pamiętałby, gdyby tak się stało. Nieważne. Ale gdzie podziała się ta zielonooka dziewczyna o jasnych włosach, która znaczyła dla niego tak wiele? Czyżby zdradził ją mimo woli? Czy Skandianie ją zabili?

Pamiętał teraz: złowieszcze ślubowanie Ragnaka, oberjarla Skandian, który zaprzysiągł krwawą zemstę całemu rodowi Duncana, króla Araluenu. A przecież Evanlyn była w rzeczywistości rodzoną córką władcy, królewną Cassandrą. Rozpaczliwie usiłując przeniknąć pustkę swej pamięci, Will uderzył się pięścią w czoło, próbując przypomnieć sobie cokolwiek,

próbując odnaleźć w zakamarkach umysłu coś, co by go uspokoiło, co świadczyłoby o tym, że nie zawiódł Evanlyn, że królewna żyje.

Gdy tak zmagał się z przeraźliwą pustką, drzwi otworzyły się i ujrzał ją, otoczoną światłem odbitym od białego śniegu, piękną jak z obrazka i wiedział, że taką ją zawsze będzie pamiętać, choćby żył sto lat, choćby zestarzeli się oboje…

Podszedł, promieniejąc uśmiechem niezmiernej ulgi. Wyciągnął do niej ręce, a ona stała, bez słowa, wpatrując się w niego, jakby był duchem przybyłym z zaświatów.

– Evanlyn! – zawołał. – Dzięki Bogu, że nic ci nie jest!

Nie miał pojęcia, dlaczego łzy popłynęły po jej policzkach.

Przecież nic takiego się nie stało.

Epilog

Halt i Horace jechali w dół krętą drogą, pozostawiwszy za sobą Château Montsombre. Jechali w milczeniu, lecz łączyło ich to samo uczucie zadowolenia. Znów wyruszyli w drogę. Zima minęła; nim dotrą do granicy, przełęcze, przez które wiedzie droga do Skandii, będą już przejezdne.

Horace odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na ponure zamczysko, w którym spędzili tyle czasu.

– Halt – odezwał się – spójrz.

Halt zatrzymał Abelarda i odwrócił się niedbale. Ze szczytu donżonu wznosiła się smuga szarego dymu, najpierw cienka, potem coraz grubsza i wyraźniejsza. Gdy spoglądali, dym gęstniał z każdą chwilą i stawał się coraz czarniejszy. Z oddali doszły ich okrzyki ludzi Filemona usiłujących gasić pożar.

– Wygląda mi na to – rzekł z namysłem Halt – że ktoś przez nieuwagę rzucił płonącą pochodnię na stos naoliwionych szmat. Chyba gdzieś w dolnej części głównej wieży.

Horace pojął w lot i uśmiechnął się.

– Potrafisz to stwierdzić, widząc tylko dym?

Halt poważnie skinął głową.

– O tak. My, zwiadowcy, obdarzeni jesteśmy niezwykłą przenikliwością oraz zmysłem obserwacyjnym – odparł z kamienną twarzą. Po czym dodał rzeczowo: – Uważam, że Gallia będzie piękniejszym krajem, gdy akurat ten zamek zniknie z jej krajobrazu. Co innego malownicze ruiny na szczycie. To zawsze ładnie wygląda. Nie uważasz?

W donżonie mieszkał tak naprawdę tylko Deparnieux. Żołnierze i służba zajmowali inne części budowli, toteż z pewnością będą mieli dość czasu, by

umknąć. Nawet jeśli zdołają z czasem ugasić szalejący ogień, przynajmniej potężna wieża, ongiś siedziba okrutnego możnowładcy, przepadnie. I tak być powinno. Zamek Montsombre przez wiele lat stanowił scenerię grozy i zbrodni, toteż Halt nie miał zamiaru pozostawić go w nienaruszonym stanie. Poza tym, pozbawiony bezpiecznego schronienia w tej twierdzy, Filemon nie będzie już mógł tak łatwo pójść w ślady swego dawnego pana.

– Na szczęście kamiennych ścian płomień się nie ima – zauważył Horace, a w jego głosie słychać było coś na kształt ubolewania.

– Rzeczywiście, nie – przyznał Halt. – Ale z pewnością spłoną drewniane stropy i belki podtrzymujące konstrukcję. Niewątpliwie więc runą schody, sufity i temu podobne, a żar uszkodzi też ściany.

– Świetnie – stwierdził Horace, a teraz w jego słowach słychać było wyraźne zadowolenie.

Obaj odwrócili się plecami do ulatującego z dymem wspomnienia o Deparnieux. Spięli wierzchowce i ruszyli przed siebie: dwaj jeźdźcy, a za nimi kudłaty Wyrwij.

– Pora odnaleźć Willa – rzekł Halt.

www.zwiadowcy.com